

HISTORIE PRAWDZIWE

OPOWIEM CI O ZBRODNI

ze wstępem
MICHAŁA FAJBUSIEWICZA

CRIME
INVESTI
GATION
POLSAT

KATARZYNA
BONDA

IGOR
BREJDYGANT

WOJCIECH
CHMIELARZ

MARTA
GUZOWSKA

MALGORZATA I MICHAŁ
KUŹMIŃSCY

KATARZYNA
PUZYŃSKA

KOMPANIA
MEDIOWA



HISTORIE PRAWDZIWE

OPOWIEM CI O ZBRODNI

ze wstępem
MICHAŁA FAJBUSIEWICZA

**KATARZYNA
BONDA**

**IGOR
BREJDYGANT**

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

**MARTA
GUZOWSKA**

**MAŁGORZATA i MICHAŁ
KUZMINSCY**

**KATARZYNA
PUZYŃSKA**

 **KOMPANIA
MEDIOWA**

Redakcja: ANNA KĘDZIOREK

Korekta: EWA TAMARA ŁUKASIK

Okładka copyright © AETN Poland sp. z o.o.

Projekt okładki: Dark Crayon; Typo z JOLANTA UGOROWSKA

Zdjęcie na okładce: Fotolia

Fotografie:

Telewizja CI Polsat/Artur Wyrzykowski (s. 17, 41, 45, 87, 91, 137, 141,
181, 185, 227, 231, 275)

Adam Wołosz (s. 6, 14, 21, 28, 33, 36, 42, 52, 59, 76, 81, 88, 98, 107, 118,
138, 149, 158, 171, 174, 182, 196, 207, 214, 228, 240, 250, 265, 276, 278–
279)

Produkcja: LESZEK MARCINKOWSKI

Projekt wnętrza, skład i łamanie: TYPO z JOLANTA UGOROWSKA

Książka przygotowana we współpracy z Firmą wydawniczą

SEZAMM Małgorzata Maruszkin www.sezamm.pl

Copyright © Kompania Mediowa sp. z o.o., 2018

Cytat na s. 18 za: Sándor Márai, Żar, Czytelnik, Warszawa 2016

Cytat na s. 180 za: Milan Kundera, Żart, Wydawnictwo W.A.B.,

Warszawa 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-951569-1-5

Wydawca:

Kompania Mediowa sp. z o.o.

ul. Macedońska 74,

02-761 Warszawa, Polska

www.kompaniamediowa.pl

Konwersja: eLitera s.c.

*Dla tych, którzy o zbrodni
chcą dowiedzieć się czegoś więcej*



WSTĘP

MICHAŁ

FAJBUSIEWICZ

Całe swe zawodowe życie miałem do czynienia ze zbrodnią i złem. Niestety, wszystkie te dramaty, które przedstawiałem widzom, wydarzyły się naprawdę. Nieraz zazdrościłem twórcom literatury kryminalnej, że w swoim świecie fikcji mogą zaintrygować czytelnika niecodziennymi bohaterami, surrealistycznymi morderstwami, meandrami sztuki śledczej, których odpowiedniki trudno znaleźć „w realu”. Ja zawsze balansowałem na linie, mając świadomość, że wśród żywych są bliscy ofiar, mordercy, a także ich rodziny. Nieraz musiałem walczyć ze swymi zapędami jako twórcy scenariusza i reżysera, które skłaniały mnie do naginania rzeczywistości tak, aby uatrakcyjnić filmową opowieść, ubarwić ją „pod telewizora”, który przecież lubi się bać, ale uwielbia też rozwiązywać zagadki kryminalne. Zawsze jednak mówiłem sobie: „stop”. I kolejny raz z zazdrością patrzyłem na autorów kryminałów, których ograniczała tylko wyobraźnia. Ja tworzyłem prawdziwy do bólu przekaz z popełnionych zbrodni (często realizowany dokładnie w tych miejscach, w których do nich doszło) w telewizyjnym „Magazynie Kryminalnym 997”, który był pierwowzorem dla wielu późniejszych programów o tej tematyce. Przyświecała nam też swego rodzaju misja, zajmowaliśmy się bowiem tylko takimi sprawami, w których nie złapano mordercy – w przeciwieństwie do książkowych kryminałów, gdzie zło zostaje przykładowo ukarane, a zabójcy, dzięki znamienitym śledczym – złapani.

I oto po latach, dzięki niezwykłemu pomysłowi dziennikarzy z kanału telewizyjnego CRIME & INVESTIGATION POLSAT, powstał cykl programów zatytułowany „Opowiem ci o zbrodni”, który na swój sposób zmusił autorów kryminałów do zderzenia się z

rzeczywistością. Tego swoistego wyzwania podjęła się czołówka polskich twórców. Ponieważ chodzi tu o telewizję, pisarze musieli wejść też w nowe role: prowadzących-narratorów, a zarazem gospodarzy telewizyjnego studia. Nim jednak do tego doszło, twórcy programu „Opowiem ci o zbrodni” przedstawili elicie pisarzy kryminalnych kilkadziesiąt spraw (głośnych i znanych zbrodni), które w swoim czasie wstrząsnęły Polską. Pisarze mogli z tego różnorodnego wachlarza dramatycznych zdarzeń wybrać temat, który najbardziej ich zainteresował. Spektrum było ogromne, obejmowało bowiem okres ponad czterdziestu ostatnich lat. W efekcie dość długich prac przygotowawczych udziału w tym nowatorskim spojrzeniu na zbrodnię i niecodziennego sposobu opowiedzenia o niej podjęli się: KATARZYNA BONDA, IGOR BREJDYGANT, WOJCIECH CHMIELARZ, MARTA GUZOWSKA, MAŁGORZATA i MICHAŁ KUŹMIŃSCY oraz KATARZYNA PUZYŃSKA. Jak widać, są tu nazwiska pisarzy o ugruntowanej pozycji wśród czołówki autorów powieści kryminalnych, ale też takich, którzy dopiero niedawno posmakowali sukcesu w tym zawodzie.

Trzymacie Państwo w ręku pierwszy efekt prac związanych z tym projektem – tomik mini opowiadań, czy też nowel, opisujących wybrane zbrodnie. Od razu zastrzegam, że nie są to reporterskie lub dziennikarskie relacje, w każdej bowiem z tych opowieści czuć „pazur” autora kryminałów. Mają więc Państwo wyjątkową okazję powrotu do spraw, które zapewne znacie bądź o nich słyszeliście – jednak powrotu w formie nietuzinkowych relacji. Autorzy pokazują morderców i ich ofiary trochę inaczej niż zwykle, a przede wszystkim podejmują próbę odpowiedzi na pytanie: DLACZEGO? Żadne z tych opowiadań nie jest podobne do pozostałych, każde ma

odmienny styl narracji i prowadzi czytelnika do pointy różną drogą. Jedyne, co je łączy, to brak gliny-komisarza (z pokrętnym zyciorysem), który wreszcie trafi na ślad mordercy – jak na klasyczny kryminał przystało. Tu nie ma kluczenia – jest za to próba swoistej wiwisekcji, odpowiedzi na fundamentalne pytanie: co popycha człowieka do popełnienia zbrodni? Niektórzy autorzy nawet na nie odpowiadają, udowadniając przy tym, jak prymitywne i małostkowe nierzadko motywy kierują przestępcami przy planowaniu zbrodni.

Co zawiera zbiorek „mini-kryminałów”, który oddajemy w Państwa ręce?

Autorka bestsellerów, dziennikarka i scenarzystka KATARZYNA BONDA powróciła do głośnej sprawy z 1997 roku – zabójstwa maturzysty Tomka Jaworskiego. Chłopak został porwany z plenerowej imprezy towarzyskiej przez grupę zwyrodnialców, której przewodziła dwudziestoczteroletnia matka trójki dzieci. Ten okrutny mord warszawiacy oprotestowali w jednym z pierwszych w Polsce czarnych marszów przeciw złu i bestialstwu. Bonda skupiła się na postaci negatywnej bohaterki tego dramatu, wykorzystując wcześniejsze dziennikarskie rozmowy, które przeprowadziła z morderczynią w więzieniu.

Niegdyś dziennikarz, dziś wzięty autor kryminałów, WOJCIECH CHMIELARZ, zdradził mi, że od dzieciństwa wiedział, iż zostanie pisarzem zajmującym się tą tematyką. Nie ukrywał, że był pod wpływem telewizyjnego „997”. Autor wybrał do programu – a zarazem do tej publikacji – wstrząsającą sprawę z 2008 roku, kiedy to była prostytutka „po przejściach” morduje swego partnera,

czyhając na jego majątek. W zbrodni pomaga jej o dwadzieścia lat młodszy kochanek. Chmielarz stara się prześledzić losy morderczyni, która kiedyś była nienaganną matką i żoną...

Kolejny autor, a właściwie autorka, to KATARZYNA PUZYŃSKA. Ta filigranowa pisarka od lat związana jest z okolicami Bydgoszczy, dlatego też, pisząc kryminały, osadza swych bohaterów w miejscowych realiach (okolice Brodnicy). Nic więc dziwnego, że wybrała zbrodnię, która wydarzyła się przed laty w Bydgoszczy. Dwudziestosiedmiolatek, potajemnie kochający się w sąsiadce, uroczej dwudziestodwuletniej studentce szkoły muzycznej, na wieść, że dziewczyna ma wyjść za mąż za innego – morduje ją. Puzyńska, jak przystało na psychologa z zawodu, znajduje w tym dramacie paralelę do tragicznej zbrodni popełnionej z miłości i zazdrości przez bohatera słynnego dramatu Szekspira – Otella.

Tajemnicza MARTA GUZOWSKA powieści kryminalne pisze od pięciu lat, odnosząc znaczne sukcesy na niełatwym rynku czytelniczym. W prezentowanym zbioru opisuje zbrodnię, którą śląski biznesmen zleca bandytom-nieudacznikom: zabójstwo swego współnika. Zbrodnia zostaje wykryta po latach. Ale Guzowska większość swego życia poświęciła archeologii i to dlatego w tym dramacie mniej interesuje ją zło i złoczyńcy, a bardziej działania śledczych, które doprowadziły do ujawnienia prawdy. Porównuje je do prac wykopaliskowych prowadzonych przez archeologów.

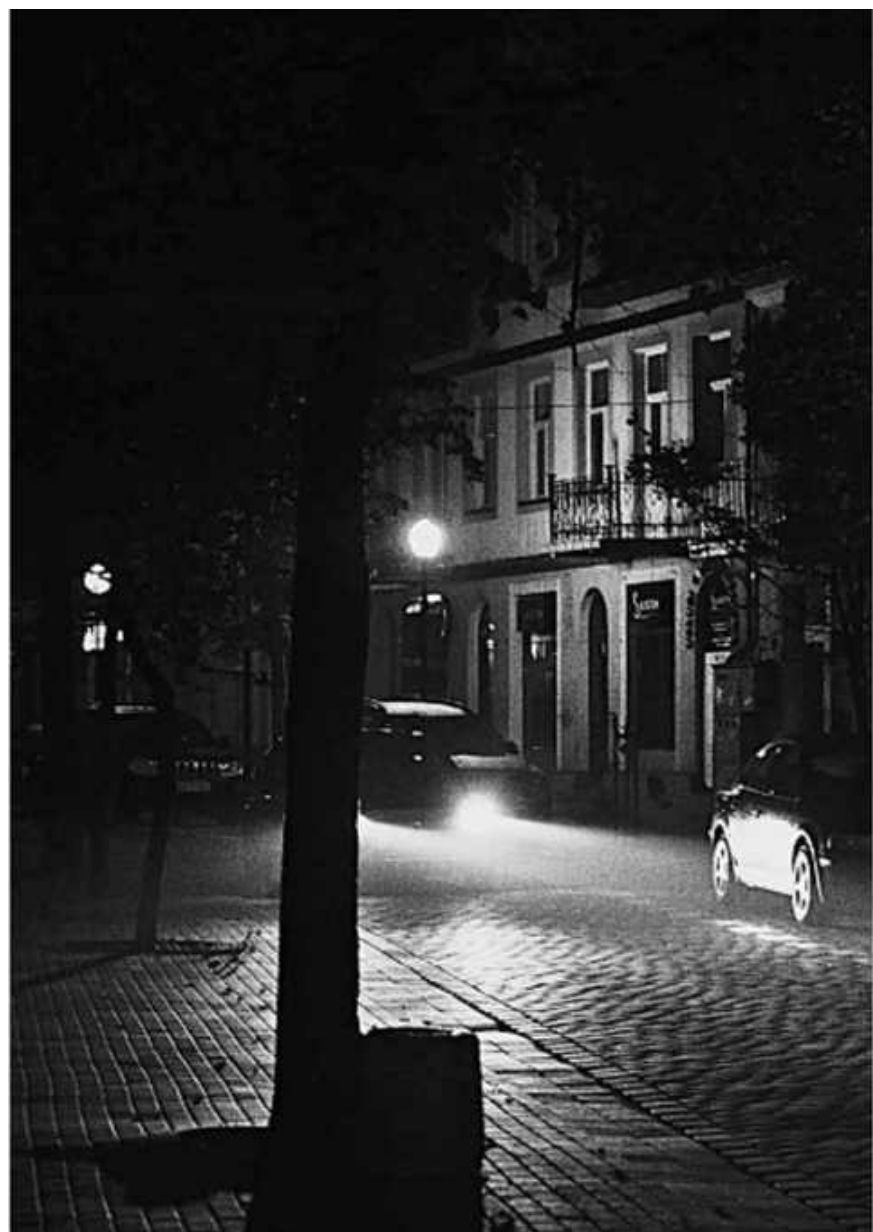
Przypominający z wyglądu filmowego amanta IGOR BREJDYGANT, od niedawna dopiero piszący kryminały w formie

książkowej, wybrał do przeprowadzenia swoistej wiwisekcji sprawę z Tatr, gdzie zaledwie trzy lata temu młody góral chciał sprawdzić, „jak to jest kogoś zabić”. Pod wpływem oglądanych na YouTube wywiadów z seryjnym mordercą sprzed ponad trzydziestu lat z USA zamordował szesnastolatka z Zębu. Brejdyganta od dawna – choć najczęściej na niwie filmowo-telewizyjnej (scenariusze, reżyseria) – fascynują postacie morderców. W zamieszczonym tu opowiadaniu również stara się wniknąć do duszy i umysłu zabójcy, próbując odpowiedzieć na pytanie, co popchnęło go do tej zbrodni.

Ostatni z grona autorów to nader interesująca para pisarzy, wzajemnie się uzupełniających – małżeństwo MAŁGORZATA i MICHAŁ KUŹMIŃSCY. Ona jest antropologiem kultury, on – dziennikarzem i blogerem. Wybrali zapomnianą już sprawę sprzed ponad czterdziestu lat, kiedy to na oczach prawie całej wsi, tuż po pastercie, zostaje zamordowana niewinna rodzina. Zmowa milczenia mieszkańców Zrębina w Świętokrzyskiem jest dla autorów tylko punktem wyjścia – przekopując opasłe tomiska akt sądowych, usiłują znaleźć korzenie tej zbrodni.

Sądowe lub policyjne akta były bardzo ważnym – a właściwie dla prawie wszystkich autorów tej niezwyklej publikacji jedynym źródłem wiedzy o opisywanych sprawach. Sprawach, w których nie ma mowy o fikcji, tak lubianej przez pisarzy kryminalnych. Sprawach, w których musieli opierać się tylko na nagich faktach. Czy podołali temu nowemu dla siebie zadaniu? Warto przeczytać zawarte w tym tomie opowiadania, aby się przekonać.

A jeśli chcecie Państwo zobaczyć, jak nasi pisarze sprawdzili się w nowych dla siebie rolach telewizyjnych prezenterów, musicie zobaczyć program „Opowiem ci o zbrodni” na kanale TV CRIME & INVESTIGATION POLSAT.



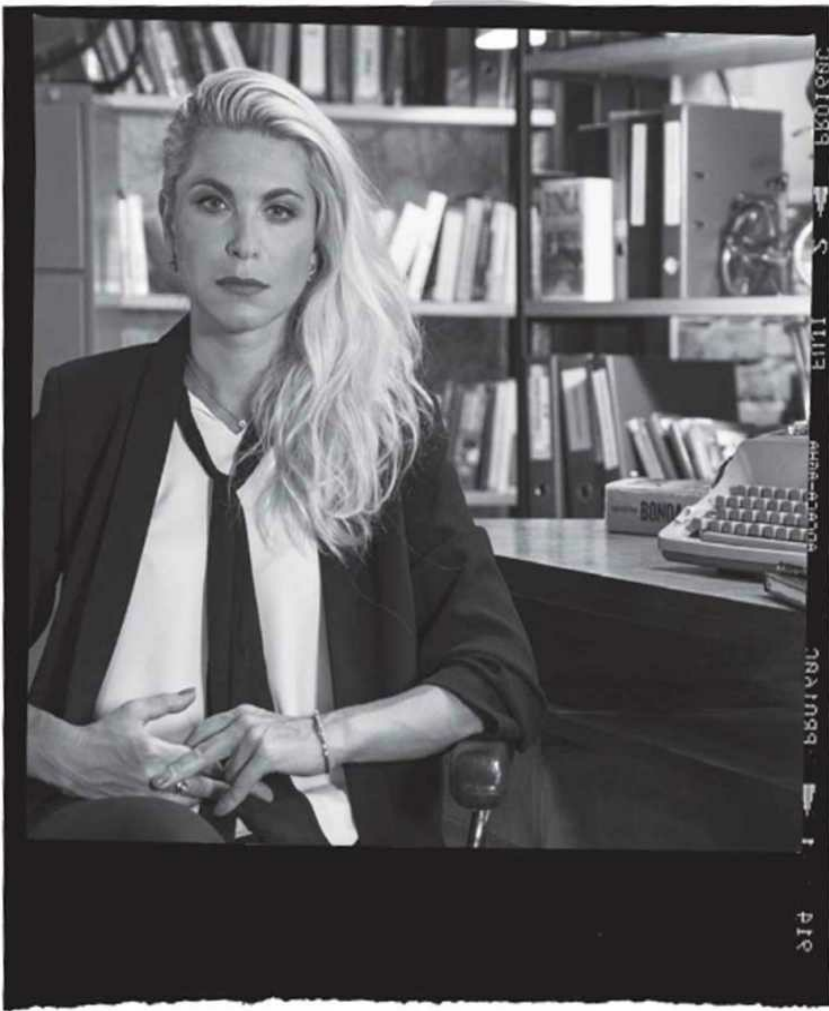
ŁASKA

KATARZYNA

BONDA

KATARZYNA
BONDA

Urodzona w 1977 roku w Białymstoku. Najpopularniejsza autorka powieści kryminalnych w Polsce. Z wykształcenia dziennikarka i scenarzystka. Obecnie mieszka w Warszawie. Wszystkie jej powieści zyskały status bestsellerów. Jest autorką trylogii kryminalnej z Hubertem Meyerem: *Sprawa Niny Frank*, *Tylko martwi nie kłamią*, *Florystka*, dokumentów kryminalnych *Polskie morderczynie* i *Zbrodnia niedoskonała* oraz podręcznika *Maszyna do pisania*. Ogromną popularność oraz prestiżowe nagrody przyniosła jej seria z profilerką Saszą Załuską: *Pochłaniacz*, *Okularnik*, *Lampiony*, *Czerwony Pająk*. *Pochłaniacz* otrzymał Nagrodę Publiczności na Międzynarodowym Festiwalu Kryminałów w 2015 roku, a *Okularnik* – nagrodę Bestsellery Empiku 2015. Prawa do wydań zagranicznych zostały dotąd sprzedane do dwunastu krajów, zakupiły je największe wydawnictwa na świecie, m.in. Hodder & Stoughton i Random House.



„To, co nieprzepracowane, wraca w postaci Przeznaczenia”.

*Lecz fakty są niekiedy tylko żalonymi konsekwencjami.
Człowiek nie grzeszy tym, co uczynił,
ale zamiarem, który doprowadził do tego czy tamtego.
Wszystko jest zamiarem.*

Sándor Márai, Żar

Rzeka w czerwcu przypominała jej o pierwszej ciąży. Miała piętnaście lat i uciekała z domu przed ojczymem na łachę. Wystawiała brzuch do słońca, trwała tak aż do zachodu. Wyobrażała sobie białą suknię, kościół pełen ludzi. Kwiaty, ryż, może tort z dwiema figurkami z marcepanu – jak na filmach. Dalej jasne mieszkanie w bloku, z centralnym ogrzewaniem, więc nigdy już nie będzie miała brudnych dłoni od węgla. Flaszki w barku. Ciastka w kredensie. Koniecznie serwety haftowane krzyżykami na stole. Parująca zupa w wazie z porcelany. Żadnych siniaków, zadrapań i śladów od uderzeń. Odkurzać będzie codziennie, obiecywała sobie. I uciekała w marzenia. Bo, że po porodzie jej życie się zmieni, była przekonana. Grzesiek zwykle był przy forsie, miał gest. Niczego jej nie będzie żałował. Tysiące razy myślała o tym, jak triumfalnie opuszcza tę norę, w której przyszło jej się wychowywać. A jej przyszły mąż – zbój, oszust i złodziej – na odchodne wali ojczyma w mordę, za wszystkie niegodziwości, których doznała, aż posypią się nieliczne zęby jej kata.

To były ostatnie chwile, kiedy wierzyła, że ma szansę żyć inaczej niż jej babka i matka. Że to w ogóle jest możliwe. Dziś minęło dziesięć lat, a ona urodziła Grześkowi jeszcze dwójkę dzieci. Nigdy

nie założyła białej sukienki. Ślub wzięła w urzędzie z takim jednym kolegą, który chciał się uwolnić od wojska, bo w międzyczasie Grzesiek poszedł siedzieć, a dziecko powinno mieć ojca. Założyła połyskliwą, fioletową spódnicę z kreszu, przyjęcie zrobili w jej rodzinnym domu. Zaraz po ceremonii ojczym podbił oko matce, a Monikę próbował zgwałcić i udusić, bo uznał, że ukradła mu pięćdziesiąt złotych. Jej małżonek udał, że niczego nie widzi. Kiedy zrobiła awanturę, wypił z ojczymem kilka flaszek na zgodę, a potem spali jak bracia, odwrócenii do siebie plecami, na jednym tapczanie. Po dwóch miesiącach Monika zorientowała się, że wzięła sobie pod dach alkoholika i zamiast marzeń o innym życiu powinna nauczyć się radzić sobie z tym, jakie ma. Wrócili do siebie z Grześkiem, ale zaraz odwiesili mu stare wyroki, więc jak wszystkie kobiety w jej rodzinie była sama. Podczas kolejnych ciąż nie bywała już nad rzeką. O niczym nie myślała, starała się przetrwać. Legalnie przepracowała dwa miesiące. Głodowe stawki, ale przynajmniej uczciwie zarobione pieniądze, myślała. Przy wypłacie okazało się, że i tak nie płacili za nią ubezpieczenia.

– Skoro mam kręcić, to przynajmniej dla siebie – rzuciła pracodawcy w twarz i odeszła z kasą pancerną oraz kodem do jej otwarcia.

Chyba niezła była w oszustwach, bo nigdy jej nie złapali: wyłudzenia kredytów, otwieranie lipnych kont, fałszerstwa dokumentów. Potem samochody ściągane z Niemiec, handel spirytusem i „dokumentami” z łóżka na Stadionie Dziesięciolecia. Jakoś dawała radę z tego żyć. Jeszcze paczki Grześkowi do więzienia woziła. Miała odkurzacz, ale starego typu. Ciągnął tyle prądu, że rzadko go włączała. Powinna zrobić sobie nowe okulary, w tych ledwie co widziała, ale wciąż były pilniejsze potrzeby. Pieniądzy starczało akurat na fajki i jedzenie dla dzieci. Teraz już nie łudziła się, że miłość ją zbawi. Dawno temu przestała wierzyć w cuda.



Godziła się z tym, co rzuci jej los. Nie oczekuj niczego, bądź gotowa na wszystko. Jest dziś pogoda, wódka, zaczęły się wakacje. Jest dobrze. Była dumna, że zawsze widzi tę pełną połowę szklanki.

– Pijesz czy się modlisz?

Poczuła kopnięcie w brzuch, a potem słońce przysłonił cień. Nabrała powietrza, wypuściła i zdusiła w ustach przekleństwo. Nie widziała wyraźnie, ale rozpoznała postać po gwałtownych gestach. Szmidt stał z wyciągniętą w jej kierunku butelką. Na dnie było jeszcze wódki na trzy palce. Mieniła się tęczo w słońcu.

– Nie dajesz rady? – zakpiła.

– Ciepła – burknął, udając, że nie widzi jej zęza.

Usiadła, czując na sobie jego łakome spojrzenie. Zawsze, kiedy był pijany, miał ochotę na seks. Dziś nie miałaby nic przeciwko temu. Praktycznie nie pamiętała już, jak to jest się do kogoś przytulić. Z klientami się nie liczy. Grzesiek nauczył ją oddzielać miłość od służbowego rżnięcia. Dzieciaki przedwczoraj zawiozła do matki. Miała prawo zaszaleć. Ku uciechu kompanów jednym haustem wypila resztkę z butelki. Poprawiła ramiączko od kostiumu kąpielowego, tak, by Szmidt mógł zobaczyć fragment jej piersi i uśmiechnęła się zalotnie. Ale on już nie patrzył w tę stronę. Wyrwał jej z rąk szkło i rzucił do wody, jakby puszczał kaczkę.

– Zrywamy się – mruknął Kobus. Nazbyt gwałtownie, by nie wyczuła w jego głosie zazdrości. Połechtalo to jej próżność. Chłopak miał zaledwie dziewiętnaście lat i znała go od szczyła. Mieszkał klatkę dalej. Po sąsiedzku zajmował się jej dziećmi, organizował kasę, pomagał w drobnych naprawach w domu. Wpadał na obiad jak do siebie. Płakał czasem, zwierzał się. Umiała go rozśmieszyć. Nie awansował nigdy na jej absztyfikanta. Była dla niego jak ciotka, zastępcza matka. Choć wiedziała, że on myśli o niej inaczej.

– Coś bardzo dziś nerwowy?

Założyła okulary. Świat znów był 3D.

– Jest ekipa z Łomianek na Młocinach. Mam sprawę do jednego koleżki. Może wieczorem będzie hajs na balety.

Skinęła głową, zwinęła kocyk. Kiedy otworzyła bagażnik wozu, zobaczyła trzy kije do bejsbola. Wystuzone, jeden pękł wzdłuż perforacji.

– Przeżyje? – zażartowała, figlarnie wyjmując zapalonego papierosa z ust Kobusa. Nie zaprotestował. Zaciągnęła się głęboko.

– Zależy, czy będzie strugał gieroja.

Zanim Tomek wyszedł z domu na ognisko, musiał zjeść obiad z trzech dań. Jadwiga trzymała wazę na podgrzewaczu, by zupa nie wystygła. Wyjęła świąteczną zastawę, upiekła ulubione ciasto syna. Pomodlili się przed posiłkiem. W trakcie rodzinnej biesiady zadzwoniły wszystkie ciotki, by pogratulować maturzyście zdanego egzaminu. Jadwiga nie chciała zapeszać, więc nie powiedziała rodzinie, że syn złożył też dokumenty na wydział architektury i przeszedł już pierwszą selekcję. Była pewna, że dostanie się na wymarzony kierunek. Oceny w szkole miał bardzo dobre. Matematyka to dla niego pestka, a rysunki w szkicowniku zapierały dech w piersiach. Czasami wchodziła do jego pokoju i potajemnie przeglądała te prace. Choć Bóg nakazuje skromność, nie tłumila dumy. Dziękowała Najwyższemu za taki dar, jaki miało ich dziecko. Wiedziała, że to nieczęsto się zdarza. Kiedy tylko przyjdą wyniki, urzędzą przyjęcie. To już ustalone.

Syn pieczołowicie szykował się do wyjścia. Założył nowe dzinsy, spryskał się wodą kolońską ojca. Kiedy zadzwonił telefon, pierwszy podbiegł do aparatu. Prawie nic nie mówił, słuchał. Zapewnił, że zaraz będzie, i faktycznie zaczął się śpieszyć. Jadwiga obserwowała go i zastanawiała się, czy za tymi przygotowaniami nie kryje się jakaś dziewczyna. Nie miałyby nic przeciwko. To był już ten czas. Ona sama w wieku Tomka była już zaręczona z Walentym. Mąż też

chyba myślał o tym samym, bo delikatnie zapytał syna o plec rozmówcy. Wymienili z Jadwigą spojrzenia. Tomek splonął się i odparł, że to tylko Jarek – jego przyjaciel i kuzyn. Rodzicie znali chłopca, odetchnęli z ulgą.

– Wróć późno. Nie czekajcie.

Ojciec wcisnął synowi dodatkowy banknot na drogę. Kiedy Tomek wyszedł, włączyli telewizję i usiedli w fotelach. Tego dnia zapowiadali dobre kino nocne.

Szmidt brawurowo prowadził swojego fiata 125, choć kiedy wysiadł, z trudem utrzymywał się w pionie. Kobus szturchnął go szyjką od butelki, by trzydziestolatek nabrał animuszu. Szmidt chwycił wódkę i podniósł do góry niczym trofeum. Rozległ się zachęcający aplauz. Przy ławie siedziała grupa wyrostków w dresach. Też byli wypici. Na widok Kobusa jeden z nich wstał i wskazał Monice miejsce obok siebie.

– Robert – przedstawił się.

– Szymon – odparła, wzbudzając kolejną salwę śmiechu.

Dopiero wtedy zrozumiała, że szydzą z jej zeza. Zacerwieniła się po czubki uszu i uderzyła w potylicę tego, który rechotał najgłośniej. Kobus postawił na stole kilka butelek. Młodzi przyjęli gościniec. Monika wypięła pierś odzianą jedynie w skąpe bikini.

Obejrzała się, czy wziąć bluzkę, bo wokół stołu roiła się chmara meszek, ale Szmidt zamknął już auto. Nie chciała go drażnić. Siedziała więc prawie goła przy stole, piła równo z mężczyznami i coraz głośniej zaśmiewała się z przygód młodych wilczków z Łomianek. Kiedy się ściemniło, a w butelkach pojawiło się dno, atmosfera zaczęła się zagęszczać. Poza Kobusem nikt nie chciał stawiać. Szmidt wyciągnął kieszenie na lewą stronę, by udowodnić, że jest kompletnie splukany; inni też nie mieli pieniędzy. Wszyscy patrzyli na ognisko pod lasem. Dzieciaki miały jeszcze sporo piwa i

kielbasek. Część rozeszła się w parach po krzakach.

– Jeść się chce – rzucił do kolegów znacząco Robert. Sięgnęli po kije leżące pod ławkami. Monika poczuła, że w staniku jest jej zimno. Na polanę wjechał ford transit.

Jarek zajął miejsce na pniaku obok Tomka. Mdlilo go już od wypitego piwa i zjedzonych kielbasek.

– Wracamy?

Tomek wpatrywał się w grupę dziewcząt siedzących po drugiej stronie. Ta, wokół której kręciły się pozostałe, nie była nadzwyczaj urodziwa, ale wyróżniała się ekscentrycznym strojem. Jarek słyszał, że między nimi coś kiedyś było i Tomek chciałby, by nadal trwało, ale może to były tylko szkolne plotki.

– Za chwilę – odrzekł przyjaciel.

Jarek zdjął plecak, wyciągnął sweter i założył go przez głowę. Dopiero wtedy zauważył metkę pod szyją. Nie dość, że włożył ciuch na lewą stronę, to jeszcze tyłem do przodu. Matka powiedziała, że to zły znak. Była zabawnie przesądna. Jarek machnął ręką, jakby odganiał jej wróżby: ciemno, nikt nie zauważy.

– Ona ma chłopaka. Wiedziałeś?

Tomek niestrudzenie dłubał patykiem w ziemi.

– Kolo studiuje na AWF-ie. Ma samochód.

Tomek wstał.

– A ty dokąd? – zaniepokoił się Jarek. Nie otrzymał odpowiedzi. Za ramię chwyciła go koleżanka dziewczyny w oryginalnej katanie.

– Patrz, będzie dym.

Jarek spojrział na dresiarzy przy stołach. Powyciągali kije spod ławek i zaczęli się między sobą szarpać. Blondynka w bikini stała w pewnej odległości, paliła papierosa i patrzyła wprost na nich. Kiedy spotkał jej spojrzenie, pochylił głowę.

– Wiesz, gdzie jest najbliższa budka telefoniczna? – odwrócił się do

spozstrzegawczej koleżanki, ale zorientował, że przy ognisku siedzi sam. Natychmiast przerzucił sweter na prawą stronę.

To miał być piękny początek wakacji, a może i romans. Dziewczyna podobała się Markowi od dawna, ale uparcie odmawiała spotkania. Poszli coś zjeść, rozmawiali. Ona głównie słuchała. W sumie to wielka zaleta. Rzadko dziś zdarzają się tak dobrze wychowane panienki. Nie była już młoda, ale miała dziewczęcy uśmiech, coś w gestach, co go ujmowało. Nie przypominała wcale jego byłej żony. Zgrabna, inteligentna, raczej ostrożna. Kiedyś, dawno temu, jeszcze w szkole, chodził z kimś podobnym. Pewnie dlatego chciał przedłużyć ten wieczór. Połowa czerwca, ale już upalnie, niebo praktycznie bez chmur. Szykowała się magiczna noc. Pojechał z nią do lasu młocińskiego, niby na spacer, choć oboje wiedzieli, że nie wysiądą z auta. Ona miała sandałki na obcasie, a on nie mógł skupić się na niczym innym niż jej opalone uda. Włączył klimatyzację, pochylił się, by ją pocałować, kiedy rozległ się huk i szyba po jej stronie zamieniła się w szklaną pajęczynę. Ona wtuliła się w niego. Przez milisekundę myślał, że to przyjemne, po to przecież tutaj przyjechali, ale potem rozum wrócił; starał się osłonić ją przed odłamkami. Trwali tak kilka, kilkanaście sekund, nie dłużej. Sam nie wiedział, ile był w tym szoku, bo kiedy zobaczył kilka kijów do bejsbola wdzierających się do wnętrza auta, niczym głowy hydry szukające ofiary, dalej działał już odruchowo. Uruchomił silnik, szarpnął wsteczny i wręcz staranował czerwonego, starego fiata 125, który usiłował zajechać mu drogę. Nie myślał o uszkodzeniach, blachach, ludziach. Wiedział, że musi stąd uciec. Uratować siebie i ją. Dziewczyna już nie krzyczała, ale wciąż była roztrzęsiona. Tusz z rzęs spływał jej po policzkach w atramentowych strugach. Poprosiła, by wysadził ją na najbliższej stacji benzynowej. Był wtedy pewien, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Odwiózł ją pod sam dom, sam zaś

ruszył na komisariat. Facet we fiacie nie odpuści tak łatwo. Od kilku uderzeń transitem Marka odpadł mu zderzak, cały przód miał skasowany. Marek nie chciałby, aby tamten wyprzedził go ze złożeniem zawiadomienia. Policjanci nie uwierzą wtedy, że to tamten atakował.

– Bierz któregoś dzieciaka.

– Co?

– Bierz, mówię. Tam, w lesie są.

– Pojebało cię?

– Zadzwońmy do jego matki, ojca, dziadka i zapłacą za zderzak. Normalka. Okup.

– Schowały się do lasu, skurwysyny.

– Wyjdą – Robert pokiwał kijem. Spojrzał na kolegów, którzy mieli pełne ręce fantów: plecaków, portfeli, ciuchów zdartych z maturzystów. – Wykurzymy ich. Przyjdą jak mrówki do cukru.

– Poeta, kurwa – prychnęła Monika. – Czas leci. Ruchy. Tymi blaszakami studenciaków nie zapłacę za zderzak.

– Ty lepiej, Szymon, pilnuj samochodu.

– Pierdol się. Mam pomysł. I daj fajkę, bo się z lekka zakurwiłam.

Mężczyźni rozpierzchli się, wrzeszcząc, rzucając groźby. Monika ruszyła za nimi.

– Hej, nie bójcie się – odezwała się, kiedy ludzie z Łomianek zagonili maturzystów w głąsę. – Chcemy tylko porozmawiać.

W lesie panowała idealna cisza. Ciemno jak oko wykol. Licealiści siedzieli w czarnej otchłani niczym trusie.

– Nic wam się nie stanie – kontynuowała Monika łagodnie. Do jej monologu dołączyli mężczyźni. – Poszukujemy tylko tego gościa od transita. On nas interesuje.

– Obiecujesz? – padło z krzaków.

Monika obejrzała się za siebie, starając się zlokalizować licealistę.



Znasz tego gościa? – zagrzemiał silny głos Kobusa. A kilku innych mężczyzn dorzuciło: – Wyłaź.

Jarek leżał twarzą do ziemi, bojąc się ruszyć. Pod brzuchem miał skotłowane swoje rzeczy: wybebeszony plecak, notatnik, długopisy, portfel. Między liśćmi słyszał przyspieszone oddechy. Nie widział twarzy, ale mógł ręczyć, że to dziewczyny. Gdzieś w oddali jedna z trudem tłumiała szloch. Liczył, że ktoś ją uspokoi, bo jeśli nie – z pewnością zdradzi resztę. Kilku chłopaków weszło na drzewa. Mieli szczęście, że było już ciemno, a tamci nie mieli latarek. A może

mieli? Wystarczyłoby, żeby podjechali autem bliżej na polanę i zaświecili reflektorami. Jeśli obława potrwa dłużej, z pewnością wyłapią wszystkich. Jarek czołgał się w kierunku jezdni, choć wiedział, że tuż obok, za linią krzaków, czekają agresorzy z kijami. Nagle przypomniał sobie, gdzie jest ta budka. Nie miał zetonów, ale numer alarmowy jest przecież bezpłatny.

– Obiecujesz? – usłyszał głos Tomka.

– Wyłaź – padło w odpowiedzi.

Jarek wykrzywił twarz w grymasie rozpaczony. A potem zerwał się na równe nogi i rzucił biegiem, by jak najszybciej zawiadomić policję o napadzie.

Bagażnik był przerdzewiały i śmierdziało w nim moczem. Leżał na kijach do bejsbola, trzonku od siekiery i workach, w których były jakieś metalowe przedmioty. Kant jednego z nich boleśnie wbijał mu się w brzuch. Czuł, że rozbita warga wciąż krwawi. Twarz miał wtuloną w mokre ciuchy tej kobiety. Był pewien, że zapach jej potu zapamięta do śmierci. Ostry, piźmowy. Tak pachną drapieźniki w rui. W ustach miał knebel ze szmaty unurzanej w ropie. Dławił się, zapowietrzał. Momentami zdawało mu się, że się dusi. Ucho pulsowało, nos spuchł jak balon, dwa zęby z przodu chyba się ruszały. Stracił czucie w rękach. Zasznurowali mu nadgarstki drutem, na głowę wsunęli worek, ale spadł, kiedy wciskali jego głowę do bagażnika. Nie przejęli się tym. I tak widział ich twarze, kiedy atakowali na polanie. Nie walczył. Może dlatego nie związali mu nóg, wrzucili jak pakunek, zatrzasnęli wieko i jechał tak teraz w tej tymczasowej trumnie, nie mogąc się ruszyć. Starał się przewidzieć ich następne działania. Wierzył, że jeśli dostaną pieniądze, wypuszczą go. Podskakiwał na wybojach, auto z pewnością nie miało sprawnych amortyzatorów. Z trudem rozchylił powieki zlepione zakrzepłą krwią i zdało mu się, że dostrzega niedużą dziurę w karoserii. Gdyby nie był skrępowany, mógłby

wsunąć w nią palec. Było czarno, ale skupił się na tej granatowej plamce nieba i zaczął się modlić. Jeśli Bóg go nie usłyszy, przynajmniej na chwilę będzie bliżej mamy.

Bródno to część Targówka, jednej z osiemnastu dzielnic Warszawy. Na powierzchni zaledwie dwudziestu czterech kilometrów kwadratowych mieszka tutaj ponad sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Przez wielu analityków teren ten był uznawany za jeden z najniebezpieczniejszych, głównie w ocenie samych mieszkańców, którzy za powód wskazywali: przemoc, uzależnienia i anonimowość, ponieważ większość widokówek z Targówka, będącego dziś jedną z sypialni Warszawy, przedstawia bloki mieszkalne. I chociaż to jedna z bardziej zielonych dzielnic, z dobrą infrastrukturą handlowo-usługową (wszystko można załatwić na piechotę), doskonałą komunikacją miejską i zapleczem medyczno-urzędowym, zła sława nie wzięła się znikąd. Mieszkania, zwłaszcza na Bródnie, gdzie stoją jedne z najstarszych lokali wielorodzinnych, były tak tanie, że nabywała je specyficzna klientela.

Szmidt zaparkował przed klatką Moniki, Kobus otworzył bagażnik. Chłopiec zataczał się, kiedy prowadzili go do wejścia. Z daleka mogło to wyglądać na powrót z zakrapianej imprezy. Tomek dostrzegł w kilku oknach poruszające się firanki. Poczul przyływ nadziei.

– Tam mieszka moja ciotka – ożywił się nagle i wskazał ostatnią klatkę wieżowca. – Może ona da wam pieniądze. Nie wiem, ile potrzebujecie.

M bluzę jednego z mężczyzn. Sięgała jej do kolan.

– Tam onika podeszła do niego i chwyciła go za ramię. Miała już na sobie mieszka ktoś z twojej rodziny? – upewniła się. – Byłeś tu już kiedyś?



Skinał głową.

– Mogę zadzwonić domofonem – zapewnił skwapliwie.

Monika zatkała chłopcu usta.

– Nic nie mów – powtórzyła bezgłośnie. – Nic, kurwa, o tym.

Tomek zamrugał, nie rozumiejąc.

– Co jest, Monia – Szmidt obłąpał już Monikę w pasie. Wiedziała, że skoro jest miły, po przyjściu zaciągnie ją do łóżka. Ale ona nie miała już ochoty. Nowa wiadomość zmieniała całą sytuację.

Uśmiechnęła się do Tomka. Wzięła go pod rękę.

– Prześpisz się, a rano zadzwonimy.

Leżał przywiązany do kaloryfera. Nie widział już zupełnie nic. Krew zakrzepła i ściągnęła mu twarz niczym maska. Właściwie nie czuł już nawet żaru gaszonych na jego ciele papierosów, kopniaków, wrywanych włosów. Wcześniej był wdzięczny tej kobiecie, że go uratowała przed gwałtem lokówką, ale teraz chciał jedynie, by to się skończyło. Miał dość.

– Czy pani wie, na jakim ognisku jest syn i gdzie?

– Tak wiem, ale o co chodzi?

– Czy pani wie, że był wypadek i jest uszkodzony ford transit?
Jakim samochodem przyjechał pani syn?

– Syn nie ma samochodu. O co chodzi?

Zadzwonili już wszędzie. Nie potrafili uzyskać pieniędzy, ale też nie mieli odwagi puścić go wolno. Wiedzieli, że ich rozpozna. Niepotrzebnie wspominał o ciotce. Bali się, że jeśli go wypuszczą, sami pójdą siedzieć. Wściekli na siebie, na niego, na ten cholerny zderzak i faceta z transita, uderzali raz za razem – ale on wciąż żył. To tylko pogarszało sprawę. Wiedział, że go zabiją. To jednak, że coś jest nieuniknione, nie oznacza, że nas nie zaskakuje, kiedy się wydarza. Dlatego gardził swoimi katami. Nie potrafili podjąć żadnej

decyzji. Byli amatorami, którzy bali się jeszcze bardziej niż on.

Czwarta rano. Jarkowi udało się dotrzeć do budki telefonicznej, zawiadomić policję. Potem złapał okazję i wrócił do domu.

– Z tobą wszystko w porządku?

– Tomek? – ucieszył się Jarek. – Tak, u mnie okej. A z tobą bardzo źle?

Długa cisza, szmery. Dalej prawie szept:

– Bardzo.

– Jedziesz do szpitala?

– Nie.

Rozmowę przerwano.

Jadwiga i Walenty stawili się na komisariacie kilka minut po dziwnym telefonie. Komenda była wypełniona poturbowanymi maturzystami, którzy czekali na złożenie zeznań. Tomka wśród nich nie było. Policjanci ustalili, że większość licealistów wróciła do domu przed północą. Reszta około piątej nad ranem. Tomka nikt nie widział. Jego koledzy nie mieli pojęcia, co się z nim stało. Jarek w tym czasie był w swoim domu. Nie powiedział rodzicom, nie zawiadomił rodziców Tomka. Może już był po kąpieli i spał.

– Pewnie nic się nie stało i syn wróci rano – pocieszał przerażonych rodziców jeden z policjantów.

– Nie on, nie Tomek. Pan go nie zna – rozpląkała się Jadwiga.

Monika była cała poobcierana, posiniaczona, bo Szmidt potrafił być w seksie brutalny. Kiedy skończyli, poszła do toalety i skrzywiła się – pomieszczenie było całe zbryzgane krwią chłopca. Trzeci dzień katowali go w jej mieszkaniu i miała tego dosyć. Nigdy tego nie posprząta! Zawołała Kobusa i wręczyła mu nóż.



– On nas wyda na psiarni – wyciągnęła chleb, kielbasę. Przesunęła w kierunku sąsiada.

– Jego ciotka mieszka w ostatniej klatce. Jak go wypuścimy, nawet jeśli uda się wynegocjować okup, to dzieciak i tak nas przypucuje. Mnie, ciebie...

Kobus ugryzł kawałek kielbasy, odciął pajdę chleba. Posypały się okruchy.

– Tępy – rzekł z dezaprobatą, podnosząc nóż do oczu.

Monika sięgnęła do szuflady, wyjęła ostrzałkę.

Medycy sądowi stwierdzili, że Tomek zginął od noża. Cztery rany klute z zamachu – narzędzie zbrodni godziło w ciało ze znaczną siłą. Każdy z ciosów był śmiertelny. Ciało zostało spalone, by utrudnić identyfikację, a potem zakopane na głębokości półtora metra. Ciosy zadawał Kobus. Moniki nie było przy zakopywaniu zwłok. Szmidt ujawnił miejsce ukrycia ciała podczas pierwszego przesłuchania po zatrzymaniu. Policjant obiecał mu szklanekę wódki, a on od razu opowiedział wszystko ze szczegółami, podał też miejsce ukrycia zwłok i nazwiska kompanów. Spędził w więzieniu tylko kilka lat. Sąd za współpracę z organami ścigania nagroził go nadzwyczajnym złagodzeniem kary. Kobus siedział parę wiosen dłużej, ale ożenił się w więzieniu, spłodził dziecko. Korespondował z Moniką, w ostatnich listach prosił ją o wybaczenie, ponieważ w trakcie procesu mężczyźni zrzucali winę na nią. Monika, jako jedna z pierwszych kobiet w Polsce, została skazana na dożywocie i nie mogła skorzystać z przedterminowego zwolnienia warunkowego ani wychodzić na przepustki, by spotkać się z rodziną. Jej dzieci dorosły, zmieniły nazwisko. Oczywiście miały konflikty z prawem, ale przynajmniej córki nie zaszły w ciążę jako niepełnoletnie. Monika ukończyła w więzieniu kilka kursów, w tym językowych, zrobiła maturę z najwyższą notą. Jest nagradzana przez służbę

więzienną za zachowanie, dużo czyta. Pomaga współosadzonym w kwestiach prawnych. Nigdy nie przyznała się do winy.

– Znalazłam się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Jak Tomek, jestem ofiarą tej sytuacji.

Odkłada niedokończoną makatkę z wizerunkiem papieża, którą haftuje od tygodnia haftem krzyżykowym i patrzy na starą gazetę.

– Pani prokurator obiecała, że mnie skaże i skazała.

Zdjęcie w gazecie zajmuje pół strony. Rozczochrane blond włosy, pstrokaty dres. Twarz wykrzywiona w grymasie gniewu przypomina zwierzę gotujące się do ataku. Wokół kordon strażników. Wizerunki współsprawców prowadzonych na rozprawę giną w tle. Drugie pół strony wypełnia napis: „mózg bandy”. Tekstu jest niewiele. Ale nawet z tej odległości można odczytać wytłuszczone fragmenty: „była taka dziwna”, „nieprzeciętnie inteligentna”, „matka trójki dzieci”, „wybrała mordercę Tomka”. Na samym dole nieduża fotografia z „czarnego marszu” przeciw przemocy, w którym ulicami Warszawy przeszły tysiące ludzi.

– Do dziś nie rozumiem, dlaczego to się musiało stać. Dlaczego Bóg na to pozwolił – rodzice Tomka w trakcie procesu byli oskarżycielami posiłkowymi.

– Po co on wychodził? – wtedy po nocnym telefonie Jarek długo siedział w ciemności, łudzając się, że Tomek jest w domu, bezpieczny, i mówił tak konfidencjonalnie, by nie denerwować rodziców. – Dlaczego musiał koniecznie odgrywać bohatera?

– Może gdybym nauczyła syna agresji, dzisiaj by żył – rozważała Jadwiga. – Bo nie wierzę, że to było nieuniknione.

Zawsze, w każdą Wielkanoc, podczas każdej wizyty w kościele, Marek myśli tylko o tym, że gdyby wtedy nie staranował czerwonego

fiata 125, maturzysta może by żył. Możliwe jednak, że ten sam nóż czterokrotnie sięgnąłby jego własnej klatki piersiowej. Myśli czasem i o tym, czy on sam wyszedłby i oddał się w ofierze, by ratować resztę klasy. Czy gdyby w grupie z Łomianek nie było półnagiej Moniki, dresiarze byłiby tak nakręceni? Czy gdyby Monika nie zaszła w ciążę w wieku piętnastu lat, nie związała się z włamywaczem i ukończyła wszystkie te szkoły na wolności, a nie w więzieniu – po zbrodni – ta historia miałaby szansę opowiedzieć się w taki sposób? Czy w ogóle by się zdarzyła? Czy gdyby Szmidt nie był alkoholikiem i nie wydał oprawców, sprawa zostałaby kiedykolwiek ujawniona? Czy policjanci znaleźliby ciało chłopca? Czy ta dziewczyna, z którą wtedy przyjechał na polanę, zostałaby jego żoną i urodziła mu syna? Nazwaliby go Tomasz.

– Zabijcie mnie już – poprosił Monikę maturzysta po kilku dniach tortur, kiedy poła go przez słomkę. Widziała, że jest wyczerpany, wymaga natychmiastowej hospitalizacji. Bała się, że umrze tutaj, w jej domu, na tej wykładzinie. Nie chciała na to pozwolić.

– Tak będzie lepiej dla wszystkich – przekonywał.

– Lepiej? – Monika była coraz bardziej poirytowana.

– Przecież wiem, że nie chodzi o okup. Po prostu się boicie.

– A ty?

– Ja mam dość. Wolę umrzeć z godnością.

– I ja mam to załatwić? Zwariowałeś.

– To jest łaska. Rodzaj łaski. Powiedzmy, że w tej sytuacji nie możesz zdecydować inaczej.

– Nie chcę cię zabijać.

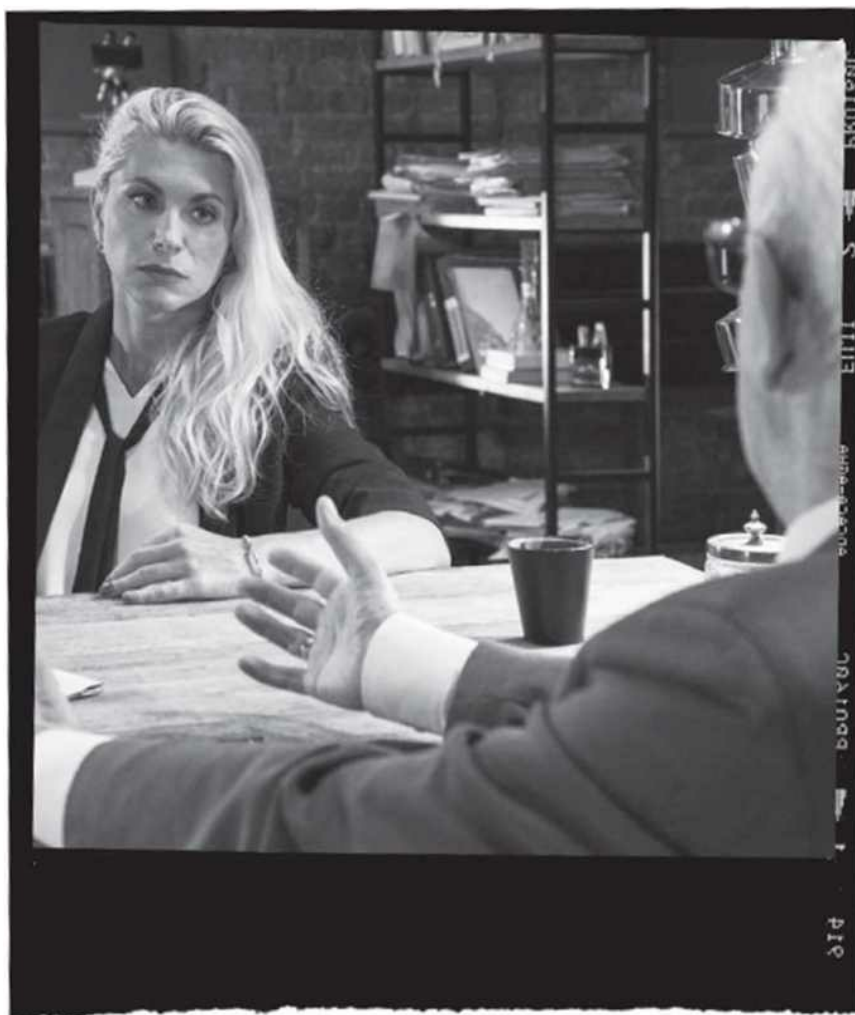
– To mnie wypuść.

– Nie mogę. Wtedy oni zabiją mnie.

– No widzisz. Ktoś musi ponieść ofiarę. Ty masz taką rolę do zagrania, ja inną.

Chciała go wtedy przytulić, ale nie zrobiła tego. Kiedy jednak mieli wieść go do lasu, pieczołowicie obmyła mu twarz z krwi i ubrała w rzeczy swojego syna.

* Niektóre elementy tej historii zostały zmienione



Biegły Lew Starowicz wyjaśnia, że Monika Sz. jest typem osobowości androgynicznej. Jej dominujące, typowo męskie cechy: stanowczość, agresywność, a jednocześnie kobiece: czułość, troska powodowały, że potrafiła manipulować mężczyznami i konsekwentnie, niezauważenie ich wykorzystywała.



„SASQUATCH”¹

IGOR

BREJDYGANT

1 Sasquatch w języku Indian Salish oznacza Wielką Stopę – mityczne zwierzę, które według niepotwierdzonych relacji żyje w Górach Skalistych i w sąsiednich regionach USA i Kanady. Według podań hipnotyzuje ludzi, by następnie zjadać ich żywcem w celu zatarcia śladów.

IGOR
BREJDYGANT

Urodzony w 1971 roku. Pisarz, scenarzysta, reżyser, fotograf. Autor scenariuszy do filmów fabularnych *Palimpsest* (reż. Konrad Niewolski), *Prosta historia o morderstwie* (reż. Arkadiusz Jakubik) oraz do seriali *Paradoks*, *Zbrodnia*, *Belle époque* i *Ultraviolet*. Studiował na wydziale produkcji w łódzkiej PWSFTiTV. Jako reżyser pracuje przy formach dokumentalnych – seria *Szaleńcy Pana Boga* dla Religia TV, cykl *Handlarze* dla TTV oraz fabularnych – serial *Paradoks* dla TVP2. Napisał do tej pory trzy bardzo dobrze przyjęte przez czytelników i krytykę powieści kryminalne: *Paradoks* (2016) – na motywach scenariusza własnego autorstwa, *Szadź* (2017) oraz *Rysa* (2018).



„Nigdy do końca nie pojmę, dlaczego człowiek zabija człowieka”

Mózgowie bez zmian ogniskowych. Linia środkowa nieprzemieszczona. Układ komorowy symetryczny, nieposzerzony. Wskaźnik Evansa w normie – 0,28. Kości czaszki w normie – 0,28.

Wnioski: Nie stwierdzono zmian zanikowych o charakterze korowym i podkorowym².

– Zamkną cię i tyle z tego będzie – usłyszał głos, który od lat już przeszkadzał mu w realizacji powziętego marzenia. Czasem był to głos przyjaciela, który zginął, czasem dziewczyny, która odeszła, a czasem jego własny, ale chyba z kiedyś.

Swoją drogą, czy to rzeczywiście było marzenie? Czy marzenie można powziąć? Nie, to była raczej jakaś natrętna myśl, coś, co powinno było już dawno go opuścić, a im bardziej powinno, tym bardziej zadomawiało się w jego głowie.

– Zabij, poczuj to, zrozum, przejdź na drugą stronę – słowa, zdania, równoważniki powtarzały się w głowie jak mantra, nachodziły na siebie, multiplikowały się jedno z drugich. Wszystko działo się gdzieś tam, w tym drugim, mrocznym, podziemnym nurcie myśli, którego nie ujawniał przed nikim. Najbardziej zaś ukrywał go przed ojcem.

– Czy w nocy z dziesiątego na jedenastego sierpnia tego roku wioził pan kogoś swoim samochodem po dyskotecę w Zębie? – usłyszał nagle w głowie głos, którego nigdy jeszcze wcześniej nie słyszał.

– Zapytaj cię o to potem, może po kilku dniach, może po kilku tygodniach albo latach. Ktoś cię zapyta. Co wtedy powiesz? – normalny, ludzki, zwyczajny głos zapytał znowu.

– Nie zapytaj, nikt mnie nie znajdzie, nie będzie śladów, nie

² Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

będzie świadków, nie będzie nic, nigdy nie dojdą – przekonywało to, co zadomowiło się w głowie i funkcjonowało jak coś, co musiało tam być i dostać to, czego chciało.

Tego wieczora zrozumiał, że nic już nie da się z tym zrobić i żeby dalej normalnie funkcjonować, będzie musiał to zrobić. Jak alkoholik, który – żeby rano móc pójść do pracy albo w ogóle z kimś choćby porozmawiać – musi się napić, tak on będzie musiał to zrobić.

Na początek wypił cztery piwa.

Jeżeli w krytycznym czasie, dokonując zarzucanych mu czynów, znajdował się pod wpływem alkoholu, brak podstaw do przyjęcia u niego w tym czasie upojenia patologicznego lub innego atypowego³.

Czterdziestoletni leśniczy szedł wraz z dwoma kolegami wśród pni ułożonych jedno na drugim i jak każdego ranka od wielu lat myślał o tym, jak by to było być drzewem. Droga kawałek dalej łączyła się z większą, prowadzącą z Brzezin wprost na Halę Gąsienicową. Był poranek, chłodny już o tej porze roku. Rozglądając się po lesie, obserwował ściółkę, szukając na niej śladów szronu, który od kilku już dni zostawiał po nocy gdzieś swoje ślady. Środek lata, a znów przymrozek, pomyślał. To znaczy później, kiedy siedział już przy biurku ze sklejki, zawalonym górą papierów, zastanawiał się, co myślał wtedy, kiedy zobaczył tę dziwną rzecz – tak jakby to, co pomyślał, mogło mieć w tej sytuacji w ogóle jakiegokolwiek znaczenie. Niestety owa dziwna rzecz po kolejnych kilku krokach okazała się ciałem leżącym twarzą do ziemi. To znaczy początkowo nie była jeszcze ciałem, bo najpierw w jego świadomości była człowiekiem. Z odległości kilku metrów nie widać było żadnych śladów przemocy,

3 Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

więc leśnik przez moment miał nadzieję, że może to jakiś lekkomyślny turysta, który w nocy podjął karkołomną decyzję, żeby dotrzeć do Murowańca, ale był tak pijany, że obalił się twarzą w błoto i zasnął. Jeśli jednak nawet, to przecież mógł się udusić, zadławić, utopić w błotnistej brei. No bo czemu się nie ruszał? Poza tym w powietrzu wisiało coś, czego przesłuchiwany teraz mężczyzna nie był w stanie ani nazwać, ani nawet opowiedzieć. Nie był to zapach ani światło, ani jego brak – nic się nie działo, nic nie szumiało, a on i tak to czuł.

– No więc, co konkretnie pan czuł? To bardzo ważne, może się przydać w śledztwie – wiatrak miał bezskutecznie upalną mazię powietrza, a sympatyczny, szczupły komisarz z kilkudniowym zarostem, który czynił go nieco groźniejszym, przyglądał się leśnikowi.

– Czulem śmierć – odparł tamten po chwili.

Komisarz pokiwał głową. Póki co nie mieli zbyt wiele. Na miejscu zabezpieczono krew, płyn mózgowo-rdzeniowy oraz ślady kół samochodu w błocie. Co do tych ostatnich kryminalistyka sprawdzała jednak jeszcze, czy nie były to przypadkiem odcisnięte koła gazika, który dowoził zaopatrzenie do schroniska na Hali Gąsienicowej. Dodatkowo wokół zwłok było też sporo śladów stóp, ale na ten trop komisarz przesadnie nie liczył. Leżące ciało kilkakrotnie okrążyli najpierw pracownicy leśni, a potem ich koledzy i fiakrzy, którzy zjechali się nagle nie wiadomo skąd. Czemu zawsze, kiedy wydarza się coś takiego, nagle – choćby to było w największej i najczarniejszej dziurze – nie wiadomo skąd biorą się tłumy ludzi i jest ich wciąż więcej i więcej, jakby pączkowali z siebie nawzajem? W końcu pojawiła się prewencja, lekarz pogotowia, sanitariusze. Śladów było zbyt wiele, żeby wyluskać z nich cokolwiek wartego uwagi.

Komisarz pracował w policji od lat; znalezienie ciała

szesnastolatka było dramatem, który przerastał wyobrażenie, ale nie przerastał jego doświadczenia. Sprawa zapowiadała się na dość trudną do rozwiązania, co z jego punktu widzenia czyniło ją tym bardziej interesującą. Jedyne, co utrudniało myślenie i w ogóle wszystko, to ten cholerny upał, który od wielu tygodni nie odpuszczał ani na chwilę. Padało od czasu do czasu, ale korzyść z tego była mierna, bo już po pół godzinie wszystko, co spadło, unosiło się w powietrzu w postaci gęstej, lepkiej zawiesiny.

– Czemu panowie tam byli tak wcześniej rano? – komisarz zapytał rutynowo, wplatając między słowa nutę delikatnej podejrzliwości.

– Zawsze jesteśmy w lesie o tak wczesnej porze, a jak upały, to tym bardziej – przesłuchiwany odruchowo zaczął się bronić.

– Czemu? – docisnął komisarz, który wiedział już, że leśnik, który ich powiadomił, i jego dwaj koledzy najprawdopodobniej są poza wszelkim podejrzeniem, ale doświadczenie – czy może raczej rutyna – nakazywały mu sprawdzić nawet ich. Weryfikacja odbywała się najczęściej w ten sposób, że komisarz zadawał najpierw delikatnie podejrzliwe pytanie, żeby w kolejnym wzmocnić jeszcze swój sceptycyzm. Nie interesowały go odpowiedzi. One, bez względu na to, czy ktoś był winny czy nie, przeważnie mało wносиły do sprawy. Znacznie ważniejsze było to, co działo się z odpowiadającym przed, w trakcie i po udzieleniu odpowiedzi. Tiki, nerwowe oblizywanie ust, uciekanie spojrzeniem albo wręcz przeciwnie – natarczywe utrzymywanie kontaktu wzrokowego, zaciskanie palców, przekładanie nogi na nogę, poszerzone nozdrza, kropelki potu – słowem wszystko, co pojawiała się nagle i czego nie było wcześniej. Komisarz w ogóle uważał, że wariograf wynaleziono tylko dlatego, że ludzie nie umieli w skupieniu przyglądać się przesłuchiwanym.

– Dziękuję – powiedział już trochę łagodniej, próbując w ten sposób zadośćuczynić leśnikowi za swoją wcześniejszą podejrzliwość. – Jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, damy

znać. Proszę odbierać telefon.

Mężczyzna pokiwał głową i zmiażdżył trzymaną w ręku czapkę.

– Chciałby pan spotkać się z naszym psychologiem? – zapytał komisarz zupełnie innym tonem.

– Nie – tamten zerknął na czapkę i delikatnie zmniejszył nacisk pobladyłych knykci. – Dam sobie radę.

– Może pan iść – komisarz pokiwał głową.

Leśniczy wstał, popatrzył na stosy papierów zawalające biurko, na kubki po kawie, puste paczki po papierosach i pomyślał, że chyba właśnie dlatego woli wczesnym rankiem zastanawiać się w środku lasu, jakby to było być drzewem.

Pierwszy był chłopak mniej więcej w jego wieku. Potrącił go lusterkiem, kiedy odwoził kolegę do Poronina. Czemu potrącił? Może był zdenerwowany, może trochę wczorajszy. Kolega, którego odwoził, zwrócił mu nawet uwagę, że jest jakiś dziwny, pytał, czy pił albo coś. Gdy potrącony wykaraskał się z rowu, wsiadł do samochodu właściwie bez namysłu. On nawet proponował, że zawiezie go do szpitala albo wezwie karetkę. Jak tamten miał na imię? Damian. Tak się przedstawił, ale kim był naprawdę? Odwieźli najpierw kolegę, po czym przez jakiś czas jechali w milczeniu. On myślał o młotku, który leżał w bagażniku. Przeszło mu przez myśl, że może się tam zacząć obijać na zakrętach, a wtedy Damian zapytał, co to takiego. Co mu wtedy powie? W końcu chłopak odezwał się pierwszy. Zaczęli gadać; okazało się, że mają sporo wspólnych zainteresowań. Obaj lubili amerykański rap, obaj chodzili czasem na długie piesze wycieczki. On pomyślał nawet, że być może tamten też gdzieś – na przykład pod kurtką – trzyma w tej chwili młotek. Uśmiechnął się. Pojechał z nim tam, czyli do Brzezina, zapalili papierosa, ale nic mu nie zrobił; potem odwiózł go do Poronina, wysadził przy przejeździe kolejowym. On udał, że od razu rusza, po

czym przez chwilę patrzył za odchodzącym. Czemu go nie zabił? Bo fajnie im się gadało, bo byli zbyt podobni, bo nie był jeszcze gotowy? A może dlatego, że w tym momencie jeszcze był człowiekiem? W takim razie istniała opcja, że uda się dziś tego nie zrobić, może w ogóle uda się tego nie zrobić. Przez moment nie był pewien, czy próbuje się migać, bo jest jeszcze człowiekiem, czy dlatego, że po prostu najzwyczajniej w świecie się boi. „Marne szanse – głos w głowie wydawał się lekko szyderczy. – Jak nie zrobisz tego teraz, to zrobisz potem, a do tego czasu będziesz sobie wyrzucał”.



– Ty mi będziesz wyrzucał – poprawił go, a potem zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego ty i ja, że jest tylko on i pora przyjąć na klatę ten fakt. Kiedy myślał o tym później, doszedł do wniosku, że chyba w tym właśnie momencie klamka zapadła. Uświadomił sobie, że głos w głowie stał się jego głosem, zamysły stały się jego zamysłami. Nie miał już jak się bronić. Zresztą czy rzeczywiście chciał się bronić?

A może Damiana w ogóle nie było, może mu się tylko wydawało, że był, może przećwiczył na nim to, co miało się stać później, ale na razie zrobił to tylko we własnej głowie?

EEG z dnia 23 lutego 2015 – Zapis w granicach normy⁴.

– Panie komisarzu, wywiad elektroniczny ustalił z siecią, że z tego telefonu, co znaleźli przy denacie, ostatnie połączenie było do matki – aspirant stał w drzwiach i patrzył na komisarza z zadowoleniem, które po chwili zmieniło się w niepewność, bo siedzący wcale nie wydawał się ucieszony tym, co usłyszał.

Ludzie przeważnie nie myślą do przodu, nie zastanawia ich, jakie konsekwencje przyniosą wypadki, co będzie potem. Nie myślał o tym zapewne zabójca chłopaka, porzuconego twarzą w błocie w Brzezinach na drodze do Hali Gąsienicowej, nie myślał o tym aspirant, który wciąż stał w drzwiach i nie wiedział, co ze sobą począć. Matka. Jeśli znaleźli matkę, to teraz ktoś – czyli z dużym prawdopodobieństwem on, bo był komisarzem prowadzącym sprawę – będzie musiał pojechać do ich domu i powiedzieć jej to, czego nigdy nie chciałaby usłyszeć. To, czego żadna matka nigdy usłyszeć nie powinna.

– No dobrze, zabijesz, a co z rodziną, co z jego matką? Co, jeśli kiedyś będziesz z nią później musiał stanąć twarzą w twarz? – znów

4 Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

zatrzymał samochód kilkaset metrów od miejsca, w którym odbywała się impreza. Czekał i myślał, że o czymś wciąż decyduje, choć przecież klamka już zapadła.

– Zdarza się, czasem dzieci umierają młodo, czasem giną w wypadkach i co wtedy? Matki też muszą sobie jakoś radzić. Poza tym nie mogę się już teraz dekoncentrować, bo za chwilę zamiast kogoś zginę ja sam – teraz nie prowadził już dialogu z kimś innym w sobie, teraz gadał sam do siebie.

Matka chłopca stwierdziła, że przynajmniej na razie nie jest w stanie mu wybaczyć.

– Dzień dobry pani... – zaczął komisarz i utknął. Przed nim stała kobieta dość młoda, o sympatycznym i ciepłym wyrazie twarzy. Pomyślał, że za chwilę przybędzie jej bardzo dużo lat, a jej twarz zapadnie się w otchłań mroku. – Jestem komisarzem wydziału kryminalnego komendy powiatowej w Zakopanem.

Normalnie nigdy nie przedstawiał się tak długo, raczej pokazywał blachę i mówił „jestem z policji” lub coś równie zdawkowego. Teraz mówił dużo, bo za wszelką cenę chciał odwlec moment, w którym...

– Czy jest Marcin? – miał jeszcze ślad nadziei, że może to jednak pomyłka, że chłopak miał przy sobie nie swój telefon, że to nie ten dom, nie ta matka. Wiedział, że wcześniej czy później i tak będzie jakaś matka, jakiś dom, ale może jeszcze nie teraz, może da się to jakoś odwlec, najlepiej w nieskończoność.

– Nie ma go, właśnie nie wrócił do domu po tym festynie, co był wczoraj w Żębie u strażaków, szukamy od rana – odpowiedziała, a ciepły uśmiech wciąż nie znikał z jej twarzy. – Narozrabiał?

Komisarz pokręcił głową. Przez moment pomyślał, żeby może odwlec jeszcze tę chwilę. Przecież dopóki jej nie powie, chłopak w

pewnym sensie będzie wciąż żył. Ona, ojciec, rodzeństwo, ciotki, koledzy, sąsiedzi, szkoła. Dla nich wszystkich Marcin wciąż żyje i tylko chwilowo gdzieś się zapodział, a część z nich pewnie nawet nie wie, że się zapodział. Zaraz koniec wakacji, przestanie być tak cholernie gorąco, zacznie się rok szkolny, a on przyjdzie i usiądzie w ławce. Ciekawe, jaki był? Towarzyski, energiczny, ekstrawertyk czy może wręcz przeciwnie – wsobny, skupiony, milczący? Patrząc na mamę, można przypuszczać, że na pewno był lubiany: ciepli ludzie wychowują ciepłych ludzi. Komisarz miał trzydzieści sześć lat; to w sam raz wystarczająco, żeby akurat tyle na temat ludzi wiedzieć na pewno.

– Marcin nie żyje – powiedział i natychmiast zaczął myśleć o czymś innym. Taki miał sposób, bo już dawno odkrył, że tylko tak można to było wytrzymać.

– Ale przecież on jest dzieckiem – odpowiedziała kobieta, a on pokiwał głową, bo powiedziała prawdę.

W końcu ruszył, bo z oddali zobaczył, że z remizy wyszła kolejna grupa ludzi, od której odłączyły się dwie osoby. Kto byłby idealnym kandydatem? Przyszło mu do głowy, że wcześniej kompletnie tego nie rozpatrywał. Czy to ma jakieś znaczenie? A co, jeśli napatoczy się ktoś młody – za młody, jakiś nastolatek albo nastolatka? Co, jeśli pojawi się dzieciak? Siedział tu od godziny i nie przyszło mu do głowy zastanowić się, kogo chciał. Kogo chcesz? Kogokolwiek. Nie ma znaczenia, kto to będzie. Jedyne, co ma znaczenie, to żeby to już zrobić. Jakiś czas temu, po tym, jak zginął jego przyjaciel, a potem odeszła od niego dziewczyna, najpierw do zabicia wytypował samego siebie. Nie wyszło: może zbyt się bał, żeby zrobić to jak należy, może zabrakło szczęścia. Przeciął żyły w prawej ręce, bo lewa wydała mu się zbyt delikatna, krew płynęła słabo i niechętnie. Tego samego dnia, nieco później, chciał się jeszcze powiesić, ale związał

zbyt długą linię.

Teraz wszystko się zmieniło. Nie będzie się już czał na samego siebie. Przyszedł czas na kogoś innego. Może chce się po prostu na kimś zemścić: za przyjaciela, za dziewczynę, za nieudane życie, za brak odwagi, za swoją samotność, za ojca, którego się bał całe życie? Tak naprawdę teraz to już nie miało dla niego właściwie żadnego znaczenia.

Komisarz i matka przez chwilę milczeli. Policjant myślał o tym, że dom taki zadbane, widać kobiecą rękę; może niedługo tak będzie też u niego. Przydałaby się kobieta; dość już miał kawalerskiego życia.

Matka nie myślała o niczym, czuła tylko, że spada w dół. Nagle, żeby się ratować, zaczęła szlochać. Komisarz dotknął jej ramienia. Próbował sobie przypomnieć, ile razy w życiu musiał już to robić. Ilu ludziom przyniósł tę najgorszą z możliwych informacji? Przyszło mu nawet do głowy, że to trochę jakby sam zabijał. Jeśli to on przynosił te wiadomości tym, którzy wcześniej nie mieli pojęcia, którym przez głowę nawet nie przeszło coś takiego, to tak, jakby te zbrodnie wydarzały się właśnie w momencie, gdy przekazywał wiadomości.

Przypomniał sobie – osiem razy. Ale nie, on nie zabijał, on szukał tych, którzy to zrobili.

– Jak to się stało? – matka zapytała nagle zupełnie przytomnie, bo przez myśl jej przeszło, że to jakieś nieporozumienie i kiedy ustali okoliczności, to pomyłka wyjdzie na jaw i będzie po wszystkim.

– Dokładnie nie wiemy, ale podejrzewamy udział osób trzecich – komisarz wiedział, co przyszło do głowy stojącej naprzeciwko niego kobiecie, z której twarzy przed chwilą ulotnił się ciepły uśmiech. Miał też świadomość, że odpowiedź, której udzielił, była w tym kontekście raczej wymijająca. Nie mógł skłamać, a nie potrafił też powiedzieć całej prawdy.



– Ale gdzie znaleźliście, co się stało? – dopytała, wpatrując się w jego usta.

– Na drodze z Brzezin na Halę Gąsienicową – odpowiedział szybko.

– To nie on, nie on! Marcin był na zabawie w Zębie, tutaj nieopodal – ucieszyła się kobieta. – Co by robił w Brzezinach?

– Tego jeszcze nie wiemy... Ciało znalazł leśnik dziś nad ranem – komisarz zawiesił głos, wiedział, że teraz musi zaprosić kobietę na identyfikację; taka była procedura; chyba że może mąż... – Czy jest mąż?

Grupka osób, które wyszły na ulicę, podzieliła się: prawie wszyscy poszli w jedną stronę, a w drugą oddaliły się tylko dwie dziewczyny. On powoli ruszył, minął tamtych. W momencie gdy przechodzili obok samochodu, spojrzał w drugą stronę. Zrobił to nie tyle po to, by pozostać niezauważonym, co raczej po to, by nie nawiązywać teraz żadnego kontaktu wzrokowego. Bał się, że w czyichś oczach zobaczy coś, co odwiedzie go od już postanowionego, że, idąc zadać śmierć, w czyichś źrenicach zobaczy nagle życie. Ten, którego zabierze do samochodu, to już zupełnie coś innego. To będzie ofiara i bez względu na to, co zobaczy w jej oczach, zrobi to, co zaplanował.

Oczy Marcina były zamknięte. Przy identyfikacji zawsze są zamknięte. Przyjęło się, że martwi mają zamknięte oczy; oczy martwych są inne i nie ma w nich już życia, tylko mgła pustki. Matka i dwoje rodzeństwa bardzo chcieli zobaczyć jego oczy, ale zrozumieli szybko, że to nie będzie możliwe, bo tych oczu już nie ma. Uleciały wraz z nim i teraz były już może gdzieś indziej.

– Czy rozpoznają państwo...? – komisarz musiał być też i tutaj; może nawet nie było to absolutnie konieczne, ale coś kazało mu tu być mimo to.

Matka zaczęła znów szlochać, a syn podtrzymał ją lekko, żeby nie przewróciła się na białe kafle podłogi.

– Podrzuca was? – zwolnił do prędkości idących i uchylił okno.

– A kaj jedziesz? – jedna z dziewczyn zatrzymała się i zajrzała przez półotwartą szybę do wnętrza samochodu.

– Na dół do Zakopca, ale mogę kajsik zjechać – odpowiedź była nieco nienaturalna i zdradzała trochę sztuczny nadmiar życzliwości, ale dziewczyna miała już mocno w czubie i nie zwróciła na to uwagi.

– Witów? – zapytała.

Dziewczyny, i do tego góralki, zobaczy się, pomyślał.

– Wsiodójcie – otworzył drzwi i znów pomyślał o młotku i rękawicy, które miał w bagażniku. Po co je ma? Przecież nie zabije dwóch dziewczyn, z których jedna nawet mu się podobała.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Dziewczyny zastanawiały się, czy nie pójść jeszcze na zabawę do Chochołowa, on zastanawiał się, czy da radę je zabić.

– A ty kaj pracujesz? Kim jesteś? – dziewczyna, która siedziała na fotelu obok, uśmiechnęła się; a może tak mu się tylko zdawało.

– Hydraulikiem – zawstydził się. Tak naprawdę nie czuł się hydraulikiem. Nie czuł się właściwie nikim i to stanowiło kolejny problem, który musiał w końcu przestać mieć znaczenie.

– A ty byłek na festynie? – dziewczyna zmieniła temat. Przyszło jej do głowy, że może ten nieco dziwny, przygodny znajomy pomoże jej podjąć decyzję, czy zachować się rozsądnie i pojechać już do domu, czy może jeszcze się odbić i gdzieś poszaleć.

– Byłek, ale wczesnie – odpowiedział krótko. Generalnie nie był przesadnie gadatliwy, a większość rozmów prowadził sam ze sobą w zaciszu domowych pieleszy bądź jeżdżąc po mieście samochodem.

– Fajno? – zapytała.

– Cy ja wim – jeśli już rozmawiał, to rzadko stawał się w pozycji,

która określałaby go w jakikolwiek sposób. Przeważnie odpowiadał tak, żeby za nic nie dało się wywnioskować jego stosunku do czegokolwiek. Inna rzecz, że przeważnie do niczego stosunku nie miał. Życie spędzał sam ze sobą, swoimi gramy, swoją muzyką i swoimi idolami, takimi jak na przykład słynny Ted Bundy. Czasem zastanawiał się, co na jakieś pytanie odpowiedziałby właśnie ten usmażony przed blisko trzydziestu laty na krześle elektrycznym wielokrotny zabójca zza oceanu. Czy Tedowi podobałby się festyn w Zębie?

– No juzci – dziewczyna odezwała się po chwili. – Chyba jesteście do Chochołowa pójdymy.

– To lepiej – udał, że się ucieszył. – Pojadymy przez Dzianis.

Całość posiadanych danych pozwala na stwierdzenie u opiniowanego zaburzeń osobowości i występujących na tym tle problemów adaptacyjnych⁶.

Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Skręcili w prawo w stronę Gubałówki, za chwilę mieli dojechać do odcinka drogi, na którym było najmniej zabudowań. Jeśli gdzieś, to tam – pomyślał. Wcześniej wielokrotnie ćwiczył ten moment. Mówi, że musi się zatrzymać na chwilę, wysiada, idzie do bagażnika, wyciąga młotek, otwiera drzwi, lewą ręką łapie pasażera za ramię, prawą bierze pełny zamach i uderza. Jest ciemno, więc pasażer nie ma szans zareagować, nie widzi nadciągającego niebezpieczeństwa. Może w ostatniej chwili, ale wtedy już nie zdąży. A jeśli zdąży? Dojechali do odcinka wśród pól, noc była bezksiężycowa. Normalnie jasno byłoby może od samych gwiazd – na tej wysokości powietrze było już na tyle czyste, że nieboskłon wyglądał jakby świeciły na nim diodowe lampy – tyle że dziś było pochmurnie. Gruczoły tłoczyły adrenalinę

⁶ Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

do krwiobiegu, oddech przyspieszył, myśli przebiegały przez głowę bez ładu i składu. Jedno uderzenie ogłuszy dziewczynę, ale jest przecież jeszcze druga, z tyłu. A co będzie, jeśli ta uśmiechnięta sięgnie po coś akurat w tym momencie i ręka osłoni ją od uderzenia? Jak się ginie od młotka? Szybko? Czy to boli? Musi cholernie boleć, przynajmniej dwa pierwsze uderzenia, zanim się straci przytomność, zanim czaszka nie wgniecie się w mózg, który odłączy zmysły, potem świadomość – a może na odwrót. A co, jeśli dziewczyna się obroni, dołączy druga, to w końcu góralki, stłuką go tym samym młotkiem tak, że stanie się warzywem? Będzie słyszał, będzie czuł, ale nie będzie mógł mówić, jeść, patrzeć, nie będzie nawet wiedział, gdzie jest, ale będzie wiedział, że jest. Zaczął się bać, bo nade wszystko nie chciał dostać w głowę młotkiem.

– Co tak nic nie godoś? – odezwała się dziewczyna, a on pomyślał, że to wszystko niedorzeczne, bo dziewczyna jest miła i uśmiecha się do niego. Teraz był już tego pewien.

Komisarz stał z matką pośrodku kuchni, w której było jeszcze goręcej niż na zewnątrz.

– On był na tej zabawie, na festynie w Zębie. Potem do niego dzwoniłam, bo późno było i nie wracał. Ale nie odbierał. Zasnąłam. Obudziłam się koło czwartej nad ranem, coś mnie obudziło, jakieś wrażenie, strach taki... Potem już nie spałam. Od rana dzwoniliśmy po znajomych i nic.... Potem... Potem pan przyszedł – głos matki się załamał. Nie mogła mówić dalej.

Komisarz popatrzył na brata Marcina, który do tej pory nic jeszcze nie powiedział. Za oknem paliło słońce, w oddali stały snopy, lato chyliło się ku upadkowi. To znaczy tak naprawdę było w pełni, ale on czuł już, że na szczęście do końca było bliżej niż dalej. Milczeli dobrą chwilę.

– A z kim on tam poszedł, do tego Zębu? – zapytał w końcu brata.

Brat wzruszył ramionami.

– Ze mną, z siostrą, a z kim miał iść? – brat sprawiał wrażenie spokojniejszego, ale jednocześnie wydawało się, że był w znacznie słabszym kontakcie z rzeczywistością niż matka, może był wolniejszy, a może w ten właśnie sposób odreagowywał nieszczęście, którego nie dawało się odreagować. – Potem trocha popił, chcieliśmy go zabrać, nie kciół iść, nikt nie będzie ciśł.

– Brat miał jakieś problemy, wrogów, jakieś zatargi z kimś? – komisarz celowo w pytaniu zawarł tak naprawdę całą serię pytań. W ten sposób chciał uniknąć wrażenia, że odpytuje, że w tak dramatycznych okolicznościach próbuje pozyskać informacje operacyjne, że jest ciekaw. Seria pytań przekształcała się w ten sposób w monolog, stawała się wypowiedzią, która nie niosła w sobie wrażenia odpytywania, a raczej stanowiła fragment rozmowy. Z drugiej strony z doświadczenia wiedział, że informacje uzyskane na świeżo są najbardziej miarodajne, bo otrzymuje się je od ludzi, którzy znajdują się w stanie największego emocjonalnego napięcia. Ich synapsy, aksony, neurony są tak pobudzone, że odtworzenie takiej sytuacji nie będzie później już nigdy możliwe.

– Nie miał wrogów, woził ludzi na kucyku na Gubałówce, kochał narty, problemy pewno miał, każdy ma, jak jest młody, potem też – odpowiedziała matka.

– Przepraszam, że państwa pytam, ale chciałbym dopaść człowieka, który mu to zrobił – komisarz powiedział nagle coś, czego sam nie przewidział. Dla niego ta sytuacja, ci ludzie, na których teraz patrzył, i to, że Marcin po prostu woził ludzi na kucyku – wszystko to razem też było przez chwilę jakby zbyt trudne.

Zatrzymał się w Witowie zaraz przy remizie. Dziewczyny wysiadły, a ta, która siedziała obok niego, uśmiechnęła się raz jeszcze. Wydawało mu się, że w tym uśmiechu było coś więcej, tak jakby

mówił: nie rób tego, jeszcze nie wszystko stracone. Uśmiechy nie mówią, pomyślał po chwili.

Popatrzył chwilę za nimi i przyszło mu do głowy, że dobrze się stało, iż jednak nie zatrzymał się i nie wyciągnął młotka. Po chwili ruszył dalej, dojechał do Kościeliska, skręcił w lewo, skąd najdalej za dziesięć minut miał nadzieję dojechać do Zębu.

Wtedy jeszcze Marcin, którego matka stała teraz, tępo wpatrując się w okienko pod sufitem, żył i zastanawiał się, czy zamówić jeszcze jedno piwo i pięćdziesiątkę wódki. W końcu zdecydował, że tego nie zrobi, bo strasznie nie lubił, gdy czekająca w domu mama patrzyła na niego ze smutkiem.

– Dlaczego on ma ręce zapakowane w torebki? – siostra patrzyła na leżące w wyżłobieniu kamiennego stołu sekcyjnego ciało Marcina.

– Na dłoniach, pod paznokciami mogą być ślady biologiczne, chodzi o to, żeby nie zniknęły w trakcie transportu – odpowiedział komisarz.

– Transportu? Chcecie nam go zabrać, po tym wszystkim? – wtrącił się brat.

– Taka decyzja prokuratora. Zwłoki muszą trafić do zakładu medycyny sądowej w Krakowie. Na ciele mogą być ślady, musimy wszystkie zabezpieczyć, chodzi o to, żeby ująć sprawcę – komisarz mówił jak automat. Myślał o tym, jak dobrze się stało, że zwłoki leżą na plecach. Z przodu, na twarzy, oprócz wyschniętych już teraz zacieków krwi, która wypłynęła z uszu, i drobnej rany na czole, nie było właściwie żadnych śladów. Marcin wyglądał jakby spał. Z osób tu obecnych tylko on wiedział, że z tyłu w czaszce są potworne, krwawe otwory, które ktoś wyrąbał twardym narzędziem. Może obuchem siekiery, a może młotkiem.

Spieszył się. Dochodziła trzecia w nocy, za chwilę impreza po festynie miała się skończyć. Potem mogły się oczywiście trafić jeszcze jakieś niedobitki, ale to już tylko kompletnie pijane wory, a on przecież nie chciał zabijać kogoś, kto byłby kompletnie pijanym worem. Znów Gubałówka i niebo bez gwiazd, ciemne pole, do remizy jeszcze kilka minut. Znów podniecenie, świderki w żołądku. Czy zdąży, czy będzie tam jeszcze ktoś? Czy będzie ten ktoś? Nagle opanował go trudny do okiełznania lęk. Co będzie, jak o wszystkim dowie się ojciec?

Tata nie był złym człowiekiem, całe życie przepracował jako strażak, wychowywał go po bożemu, ale surowo. W domu panował dryl i nie mogło się zdarzać nic, co zdarzyć się nie powinno. Zabicie kogoś na pewno nie mieściło się wśród rzeczy, które zdarzyć się powinny. Co robi mu ojciec, kiedy się dowie? Nie może się dowiedzieć, trzeba precyzyjnie zatrzeć wszelkie ślady, wszystko przemyśleć dwa razy.

Kryminaliści na miejscu odkrycia zwłok oprócz krwi, płynu mózgowego i śladów opon, które ktoś próbował zatrzeć, dodatkowo na jednym z kamieni znaleźli ślad lakieru. Samochód, którym zabójca przywiózł tu prawdopodobnie żywego jeszcze denata, musiał być nisko zawieszony i w jednym miejscu zawadził podwoziem o podłoże.

– Skąd wiecie, że przywiózł żywego? – komisarz wpatrywał się w rozłożone na blacie zdjęcia z miejsca zbrodni.

– Dużo krwi na miejscu, czyli jak się znalazł tam w tym błocie, serce jeszcze pompowało – kryminaliastyk wskazał na zdjęcie różowo-czerwonej plamy rozlanej na wciśniętych w błoto kamieniach.

– Mamy przybliżoną godzinę zgonu? – komisarz spojrział pytająco na stojącą obok nich ładną, młodą kobietę. Sierżant była jego

współpracownicą, właściwie partnerką w zespole. Pracowali razem już od jakiegoś czasu, ale to była pierwsza ich tak poważna sprawa.

– Między trzecią a czwartą nad ranem – odpowiedziała.

– Ruchu pewno dużego nie było – lapidarnie skonstatował komisarz.

– Ściągam już monitoringi, ale to potrwa jakiś czas, w czterdzieści osiem godzin tego nie zamkniemy – uśmiechnęła się policjantka.

– Wiem – komisarz pokiwał głową. Tak naprawdę dwie rzeczy były już pewne. Jedną z nich było to, że sprawcy nie złapią szybko, a drugą, że trzeba go złapać szybko, bo w innym przypadku rychło znów znajdą ciało z rozłupaną czaszką.

Kiedy przejeżdżał obok wejścia do remizy, impreza wciąż jeszcze trwała. Wprawdzie zgodnie z jego przewidywaniami z wnętrza wychodzili już teraz głównie ludzie w stanie daleko posuniętego upojenia alkoholowego, ale wśród nich wciąż jeszcze byli tacy, którzy błakali się na obrzeżach świadomości. Słowem, wśród pijanych byli nieco mniej pijani, a tacy interesowali go najbardziej. Zależało mu przecież na tym, żeby trochę porozmawiać, dowiedzieć się czegoś o swojej przyszłej pierwszej ofierze, przeżyć moment ekscytacji wynikający z tego, że ma do czynienia z żyjącą jednostką, która myśli i czuje. Tylko bowiem pozbawienie życia kogoś takiego było dla niego frapujące.

Wyniki badań testami psychoorganicznymi (test Benton -2, +2, test Bender 53, test Graham-Kendall 0) nie wskazują na występowanie u badanego organicznych zmian w układzie nerwowym⁷.

W realu nie żył już właściwie od lat. Chodził wprawdzie do pracy, spotykał ludzi, wymieniał zdawkowe opinie, w domu nawet czasami

⁷ Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

pozorował zainteresowanie sprawami rodziny, pomagał ojcu, którego się bał, ale tak naprawdę całe jego emocjonalne bytowanie mieszkało w sieci. Życie zaczynał dopiero w swoim małym, zaciemnionym pokoiku, kiedy wreszcie udawało mu się wejść do internetu. To tutaj spotykał się ze swoim idolem Bundym, po raz enty oglądając filmy o nim i wywiady, których udzielił. Najbardziej lubił ten nagrany kilka godzin przed włączeniem prądu, który zasilił krzesło elektryczne w więzieniu stanowym. Bundy był w tej rozmowie spokojny, rzeczowo opowiadał o dzieciństwie w dobrym i ciepłym domu, o tym, jak uczestniczył w obrzędach religijnych, jak kochał i cenił swoich porządných rodziców. Potem konstatował, że wszystko zaczęło się od oglądania pornografii, która po latach spaczyła go tak, że teraz czekał na włączenie prądu w krzesło elektrycznym. On też próbował oglądać pornografię, ale nie działała na niego tak stymulująco. Po stokroć wolał oglądać Bundy'ego i murzyńskich raperów z Bronxu. Włączył muzykę. Z pendrive'a podpiętego do radia popłynęły ciężkie bity, a on przypominał sobie kadry ze swojego ulubionego teledysku.

Marcin nie miał dokumentów; jedyną rzeczą, którą znaleźli przy jego zwłokach oprócz paczki papierosów, był telefon komórkowy. Komisarz przeglądał jego zawartość w poszukiwaniu sam nie do końca wiedział czego. W końcu natrafił na notatkę, która była szczególnie o tyle, że została napisana o czwartej dwadzieścia nad ranem, czyli wtedy, gdy Marcin już nie żył. Notatkę stanowiło jedno słowo napisane w dziwnym języku. Sasquatch. Komisarz wpisał słowo do wyszukiwarki. Na pierwszym miejscu wyświetlił się link do teledysku rapera Ice Cube'a. Muzyki nie dało się słuchać, a na obrazkach czarny wykonawca w zakrwawionym fartuchu rzeźnika gonił z nożem przerażoną kobietę po wnętrzu jakiegoś koszmarne domu, a potem po lesie.

– Pojeb – powiedział bardziej do siebie niż do kogoś. – Las jak w Brzezinach.

– Co? – zapytała siedząca po drugiej stronie biurka policjantka.

– Szukamy pojeba – popatrzył na nią.

– A nie pojebcy zabijają? – uśmiechnęła się przekornie.

– Różni zabijają. Czasem mają przesłanki, ktoś im coś zrobił, pieniądze, zazdrość, zawiedziona miłość, a my szukamy po prostu pojeba – zamyślił się.

Niestety Marcin miał mocno w czubie, pomyliły mu się kierunki i teraz zamiast do Zębu szedł w drugą stronę, czyli na Nowe Bystre. Było tak ciemno, że miał wrażenie, jakby otaczała go pustka – nie miał żadnych punktów odniesienia. Szedł poboczem, lekko się zataczając. Był pijany, ale nie na tyle, żeby nie zauważyć świateł nadjeżdżającego z przeciwka samochodu. On zwolnił i, mijając Marcina, najpierw bacznie mu się przyjrzał. Marcin też go zauważył i przystanął. On przejechał jeszcze kawałek, po czym zatrzymał samochód parę metrów dalej. Po chwili wrzucił wsteczny i odkręcił szybę. Teraz Marcin szedł wciąż przed siebie i wciąż w złą stronę, a tamten toczył się przy nim na wstecznym. Patrzyli na siebie, a gdzieś w tle zawiązywało się nieodwracalne, do którego potrzeba było dwojga. Kata i ofiary.

– Podwieźć? – zapytał, po czym dodał z uśmiechem: – Widza, że chyba lepiej by było.

– Ja blisko mom, trzy kilometry będzie – Marcin jeszcze się bronił, albo raczej coś broniło się w nim.

– No to w minutę zajedziemy – on zastanawiał się już, co będzie dalej. Zabijać tutaj we wsi, nawet mimo późnej pory, było zbyt ryzykowne. Może namówi go jeszcze na przejażdżkę, podjadą na stację w Poroninie, dokupią piwa, coś się wymyśli. – No dawaj, bo się jutro zrobi.

Marcin wsiadł, ale mimo że alkohol wyraźnie zaburzał mu ogłęd rzeczywistości, intuicyjnie czuł, że nie powinien. Coś było nie tak. Może zapach, może ta dziwna muzyka, może ten facet, który niby się uśmiechał, ale jakby go w ogóle nie było w tym aucie. Może wsiadł właśnie dlatego, że cała ta sytuacja wciągnęła go swoją zagadkowością. Może był ciekaw, a może po prostu rzeczywiście nie chciało mu się drałować o świcie trzy kilometry.

– Co to za muza jest? – zapytał z ironicznym uśmiechem chwilę po tym, jak zamknął drzwi.

– Ice Cube, taki amerykański raper – odpowiedział tamten bez uśmiechu. – Znasz teledysk?

– Co ty, ja nie słucham takich rzeczy, w bani by mi się pokręciło – w samochodzie było ciepło i przytulnie, więc po kilkuminutowym marszu na rześkim powietrzu promile zaczynały go dość szybko rozbierać.

Jechali wolno, bo on zorientował się już, że niewiele trzeba, żeby ten nastolatek o wyglądzie młodego faceta za chwilę zasnął. Tego właśnie było mu potrzeba. Sen byłby idealny.

– Czemu tak wolno? – zapytał jeszcze Marcin.

– Pijani łążą, już dziś jednego bym przejechał, stał przy samym skraju drogi – przypomniał mu się Damian.

Upływały kolejne dni. Wywiad, który na polecenie komendanta krążył po okolicznych wsiach, przyniósł w końcu ważną informację. Matka ani rodzeństwo denata nie powiedzieli policji o tym, że Marcin i jego brat mieli zatarg z trzema braćmi z sąsiedniej wsi. Jeden z mieszkańców Zębu doniósł o bójce, która zdarzyła się na ulicy w okolicach domu Marcina. W komendzie na Jagiellońskiej zapanował nastrój optymizmu, którego nie podzielał ani komisarz, ani jego partnerka. Tymczasem trzej bracia H. z Ratułowa zostali bardzo szybko namierzeni. W ich zatrzymaniu brało udział pół

komendy, szef zastanawiał się nawet, czy nie wezwać plutonu antyterrorystów, ale w końcu szczęśliwie zrezygnował.

Trzech młodocianych przywieźli na dołek kolejnego ranka. Już jednak po kilku godzinach, w trakcie których kryminaliści sprawdzali samochody podejrzanych pod kątem koloru i wzoru bieżnika opon, a śledczy ich przesłuchiwali, wiadomo było, że trop jest fałszywy. Młodzi mieli alibi, a żaden z posiadanych przez nich wiekowych samochodów nie odpowiadał charakterystyce. W świetle faktów prokurator nie wystąpił nawet o areszt tymczasowy i młodzieńcy z Ratułowa jeszcze tego samego dnia zostali zwolnieni do domów. Zapewne mieli niejedno za uszami, ale akurat nielubianego kolegi z sąsiedniej wsi z całą pewnością nie zatłukli.

– No to co dalej? – zmęczony komendant wpatrywał się w okno wychodzące na zakopiański Aquapark. Myślał o tym, jakby było przyjemnie zanurzyć się w chłodnej wodzie. Klimat nie działał, wciąż było gorąco, mimo że sierpień zdążył już niezauważenie przejść we wrzesień. – Zaraz będzie miesiąc.

– Jesteśmy blisko – komisarz też myślał o wodzie i o tym, że właściwie wciąż ma zaległy urlop, którego pewnie i tak nie wykorzysta w tym roku, a na pewno nie wykorzysta go przed rozwiązaniem tej sprawy.

– Proszę cię, kurwa – komendant przetarł czoło chusteczką i spojrzał na komisarza. – O tym, że jesteśmy blisko, słyszę od dwunastego sierpnia.

Marcin usnął. On zatrzymał samochód i chwilę wpatrywał się w twarz chłopaka, jakby upewniał się, czy jego sen jest już na tyle głęboki, że może zacząć działać. Kiedy stanęli na krzyżówce w Zębie, próbował go jeszcze obudzić, ale niespecjalnie się do tego przykładał. Wtedy już chyba wiedział, że to ostatnia przejażdżka, że teraz albo nigdy. Wciąż nie wiedział tylko ani po co, ani dlaczego.

Po kilkunastu sekundach ruszył, wjechał w podjazd prowadzący do jednego z obejść i zawrócił. Nie spodziewał się wprawdzie, że sprawy przybiorą aż tak pozytywny obrót, ale skoro tak się stało, mógł zacząć realizować plan najlepszy z możliwych. Miejsce, w którym wcześniej chciał jedynie wyrzucić zwłoki, a teraz być może miał szansę zrobić tam wszystko, znajdowało się przy drodze na Łysą Polanę. Był tam już z Damianem; a może mu się tylko zdawało. Nie było to w każdym razie miejsce przypadkowe. Droga, którą można było dotrzeć na Halę Gąsienicową, kojarzyła mu się ze spacerami odbywanymi tu kiedyś z dziewczyną – tą samą, która kilka lat temu nie wytrzymała jego dziwactw i odeszła do innego. Potem nie było już żadnej innej.

Miejsce wydawało się idealne. Droga zryta kołami potężnych ciężarówek, które wjeżdżały tu po zwożone z lasów drzewo, sama maskowała wszelkie ślady. Wyrąb trwał właściwie cały rok, bywało, że był planowy, ale częściej leśnicy ściągali z lasów drzewa, którym życie odebrał halny albo orawski. Taki los. Drzewa pięły się w górę przez dziesiątki lat, walcząc o lepszy widok na panoramę Tatr, a potem, najczęściej w kwiecie wieku, nagle potężny żywioł powalał je na ziemię w ciągu kilku sekund. Tak, może też i to powodowało, że wybrał właśnie to miejsce. Teraz nie musiał się już spieszyć, jego ofiara spała na fotelu pasażera głębokim snem przedostatnim.

Spokojny, zdyscyplinowany, nie wymagał leków o działaniu psychotropowym. Posiłki zjadał, w nocy spał, dbał o higienę osobistą, czystość w otoczeniu⁸.

Przez miesiąc przejrzeni w sumie kilkaset godzin monitoringów miejskich. Przeglądał komisarz, jego współpracownica i jeszcze dwóch młodszych kolegów. Niestety, ponieważ wtedy była noc, w

8 Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

przeważającej liczbie przypadków odpowiadało kryterium koloru. Zresztą sprawę dodatkowo utrudniał jeszcze fakt, że odkryty na kamieniu lakier po przebadaniu okazał się lakierem szczególnego rodzaju, który w zależności od temperatury mógł zmieniać barwę od fioletu aż po bordowy albo nawet brązowy. Na razie nie miało to zresztą zbyt dużego znaczenia, bo w kamerach monitoringu z braku światła wszystkie auta i tak były albo białe, albo czarne. Oni zajmowali się czarnymi, ale tych były niestety setki. Najpierw przeglądali monitoringi, które znajdowały się na trasie z Zębu przez Zakopane, później skupili się na innym wariantcie drogi: z Poronina na Bukowinę, potem w prawo przez Murzasichle i dalej do Brzezin. Ten wydawał się bardziej prawdopodobny, bo omijał Zakopane, w którym było większe prawdopodobieństwo napatoczenia się na przypadkowy patrol policji i więcej było właśnie monitoringów. Niestety, ani tu, ani tam do tej pory nie udało im się znaleźć poszukiwanego samochodu. Kilkanaście sprawdzili, odwiedzając właścicieli. Za dnia jednak okazywało się, że kolor był zupełnie inny od gamy kolorów typu kameleon, której szukali, nie zgadzały się też bieżniki.

– Mógł przemalować – sierżant przetarła oczy zmęczone od wpatrywania się w ekran komputera.

– Nie sądzę, żeby był aż taki cwany, a jeśli jest... – komisarz nie dokończył zdania.

– To co? – policjantka patrzyła teraz na niego.

– To mamy przesrane – pokiwał głową. – Na urlop pojedę za trzy lata. A co z tymi telefonami?

– Przejrzeli w tę i z powrotem, na BTS-ach przy numerze zamordowanego nie powtarzał się żaden inny – aspirant zreferowała bez entuzjazmu.

– Czyli wiemy już, że był na tyle sprytny, żeby nie mieć ze sobą telefonu albo mieć, ale wyłączony – komisarz zamyślił się na chwilę.



– Czyli może też przemalował.

– Czyli pojeb, ale z tych bardziej ogarniętych – skostatowała koleżanka.

– Niestety – znów się zamyślił i po chwili dodał – musimy tam pojechać.

– Gdzie „tam”?

– Tam, gdzie to wszystko się zaczyna – popatrzył na nią. – Do Brzezin.

– Po co? Po miesiącu tam już nic nie ma.

– Tam zawsze coś jest – teraz spojrzął na nią jakoś inaczej. – Drzewa i góry na przykład.

On przejechał Olczę, Toporową Cyrhlę, w końcu dotarł do Brzezin. Do skreću w ziemny dukt dla ciężarówek zostało kilkaset metrów. Spojrzął na śpiącego Marcina, po czym zwolnił, delektując się

ostatnimi chwilami przed momentem spełnienia. Może to jednak ma coś z pornografii – pomyślał. Może Ted, mówiąc o seksie, nie miał wcale na myśli gołych bab z filmów o dennych fabułach; może pornografią określał to właśnie, co czuł na moment przed. Świtało, ale wciąż noc była jeszcze ciemna jak smoła. Włączył długie światła i wypatrywał skrętu w las. W końcu go dostrzegł, zwolnił prawie do zera i bez wrzucania kierunkowskazu skręcił w błotnistą drogę. Samochód przetoczył się jeszcze kilkadziesiąt metrów. W pewnym momencie pod spodem zachrobotało, a Marcin przekręcił się trochę na siedzeniu i coś wymamrotał. On zatrzymał samochód; serce waliło jak młotem, tachykardia, sto sześćdziesiąt, może więcej uderzeń na minutę, oddychał szybko; czuł się tak, jak sekundy przed oderwaniem się od wiszącej sto metrów nad ziemią platformy, tuż przed skokiem na bungee, na który nigdy nie miałby odwagi. Wyłączył silnik i światła. Siedział i napawał się chwilą.

Komisarz i jego partnerka stali po kostki w błocie i wpatrywali się w drogę. Tę samą ziemną, leśną drogę, której wtedy on prawie nie widział przed sobą.

– I co? – zapytała aspirantka z lekką domieszką ironii w głosie. – Masz coś? Tam, gdzie to się wszystko zaczęło.

Komisarz pokręcił głową: nic nie miał, ale czuł, że za chwilę coś przyjdzie. Popatrzył w górę na chwiejące się korony drzew. Znów wiało.

– No dobra, to jeszcze raz – spojrzał na drogę niknącą gdzieś w górze wśród drzew. – Jak to było?

On wysiadł i zapalił papierosa, stał chwilę, ale już się nie wahał, a jedynie delektował nadchodzącą chwilą. W końcu zgasił papierosa, ale niedopałka nie rzucił w błoto, tylko schował do popielniczki w aucie. Podszedł do bagażnika, otworzył go, wyciągnął młotek i

rękawicę. Po chwili założył ją, złapał młotek i ścisnął go bardzo mocno w dłoni. Podeszedł do drzwi od strony pasażera, otworzył je, pociągnął Marcina silnie za ramię.

Chłopak nie obudził się od razu, jakby przeczuwał, że jeśli się ocknie, to zaśnie na zawsze. Co mu się wtedy śniło? Że bije się z chłopakami z Ratułowa, że mama budzi go rano do szkoły, że jest z dziewczyną dwa tygodnie wcześniej nad potokiem, że żar leje się z nieba, a ich to kompletnie nie dotyczy, bo mają siebie po raz pierwszy i czują chłód wody, która jest tu od zawsze.

– Dojechaliśmy. Wsiadaj – nie był natarczywy, bo chciał, żeby Marcin myślał, że właśnie przejechali trzy kilometry i że pięćdziesiąt metrów dzieli go od pierzyny. Poza tym nie był natarczywy, bo tak naprawdę nic nie miał do tego zaspanego chłopaka w bluzie od dresu.

Marcin otworzył oczy. Nie zobaczył dużo, bo wciąż było ciemno, ale poczuł bardzo intensywny zapach żywicy. U niego pod domem pachniało raczej sianem, może gnojówką, ale żywicą...? Pierwsze uderzenie w głowę bardzo zabolowało. Nie stracił przytomności, tylko wewnątrz głowy coś strasznie zaczęło gwizdać. Pośród tego gwizdu poczuł drugie uderzenie, tym razem gdzieś w okolicy żeber, po czym wypadł z samochodu wypchnięty siłą, której nie rozumiał. Upadł na kolana, w ustach poczuł krew, potem przyszło kolejne uderzenie, a po nim ciemność, jeszcze ciemniejsza od tej, która ich otaczała.

On ze spokojem spojrział na chłopaka, po czym uderzył go w głowę jeszcze dwa razy, ale teraz z pełnego zamachu. Czuł, jak młotek miażdży kość i wchodzi w coś miękkiego. Stał chwilę zaspany, w końcu obrócił Marcina na plecy, wyciągnął komórkę z kieszeni jego kurtki, poświecił na twarz, w której gasło życie. Patrzył chwilę – i to była ta chwila. Następnie przewrócił Marcina z powrotem na brzuch, bo nie chciał już, by patrzył na niego oczami, których nie było.



W komórkę chłopaka wpisał słowo *sasquatch*, które wydawało mu się być jak wyznanie wiary, i rzucił telefon na leżące, puste już teraz ciało.

Z rozjeżdżonej przez ciężarówki gruntowej drogi starał się wyjechać po własnych śladach, które następnie w snopach świateł mijania zaczął zacierać za pomocą gałęzi i swojej gumowej rękawicy. Po chwili skończył, bo usłyszał odgłos nadjeżdżającego ciągnika. Wtedy spojrzął na samochód i pomyślał, że koniecznie będzie musiał od razu go umyć.

– No i co? Jedyna korzyść z tej wycieczki taka, że będziemy musieli jechać jeszcze na myjnię – sierżant patrzyła na zabryzganym błotem bok samochodu.

Komisarz spojrzął na nią, na drogę, na samochód i znów na nią.

– Wtedy też było mokro? – zapytał.

– Tu zawsze jest mokro – wrzuciła ramionami.

– Myjnie – uśmiechnął się, może po raz pierwszy od miesiąca.

– Co myjnie? – ona jeszcze nie wiedziała, ale już przeczuwała, bo on uśmiechnął się po raz pierwszy od miesiąca. – Oczywiście ja mam pojechać na myjnię, tak?

Po miesiącu przetrząsania filmików z zakopiańskich skrzyżowań, parkingów, przejazdów kolejowych, nawet spod banków i centrów handlowych, teraz znalezienie samochodu zajęło im zaledwie pół godziny. Pod myjnią w Poroninie było już wtedy jasno, dlatego wątpliwości nie pozostawiał wreszcie też kolor auta, wokół którego uwijał się chudy mężczyzna średniego wzrostu, wyglądający na chłopca.

Z myjni pojechał prosto do domu; tego dnia spóźnił się wprawdzie do pracy dwie godziny, ale zadzwonił wcześniej, żeby uprzedzić. Po

pracy wrócił do siebie, zabrał ukrytą na poddaszu torebkę z młotkiem i zakrwawioną rękawicą, pojechał z nią do Białego Dunajca i tu zakopał na środku łąki. Po co zakopał, zamiast na przykład wrzucić do potoku? Myślał o tych rzeczach jak o swoistych reliktach, które – co więcej – nadawały się przecież do ponownego użytku. Na razie, po upływie miesiąca, miał się dobrze, wciąż odczuwał mrowienie satysfakcji, ale z filmów o Tedzie wiedział, że to uczucie może go w którymś momencie opuścić. A wtedy relikty nadadzą się jak ulał.

Godzinę po tym, jak obejrzeni film z myjni, mieli już adres właściciela samochodu, po półtorej stali na wzorowo uprzątniętym podwórzu i wpatrywali się w opalizujący lakier typu camel zaparkowanego równiutko przy ścianie audi A4. Kryminalistyk, którego zabrali ze sobą, podszedł dyskretnie do wozu i wyciągnął z teczki zdjęcie odlewu bieżnika – którego właściwie nie musiał wyjmować, bo znał je na pamięć. Spojrzał na tylne opony samochodu i pokiwał głową do stojących przy wejściu. Komisarz zapukał do drzwi. Po chwili otworzył na oko pięćdziesięcioletni, ogorzały mężczyzna.

– Czy zastaliśmy syna?

– A o co chodzi?

– Policja – komisarz wyciągnął odznakę. – Chcielibyśmy zadać kilka pytań.

– Słucham? – mężczyzna ze spokojem pokiwał głową.

– Synowi. Chcielibyśmy je zadać panu synowi.

– Co przeszkrobał? – mężczyzna uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech ciepły, raczej rodzaj chłodnego porozumiewawczego komunikatu wysłanego przez ojca do stróżów prawa.

– Możemy?

– Proszę.

Po drobiazgowym zrelacjonowaniu dnia, w którym miało dojść do przestępstwa, zatrzymuje się na momencie, w którym ofiara zdarzenia zasypia w jego samochodzie, po czym prosi o kubek wody, podaje, że nie może o tym mówić, wypowiedzi na ten temat poprzedza ocenami: „(...) nie wiedziałem, co robię (...), nie miałem kontroli (...), to był impuls (...), poczułem się jak postać z wideoklipu (...)”⁹

Weszli. W domu panował jeszcze większy ład niż na podwórku; w połączeniu z dziwnym uśmiechem ojca całość przedstawiała obraz budzący raczej lęk niż podziw. Policjantka pomyślała, że ludzie w tym domu przemykają chyba pod ścianami.

– Józek – ojciec nawet nie podniósł głosu.

W domu było bardzo cicho. Po dziesięciu sekundach ich oczom ukazał się ten sam młody, chudy, ani niski, ani wysoki mężczyzna, który wyglądał trochę jak chłopiec. Teraz dodatkowo zwracała uwagę jego ziemista cera. Józef C. sprawiał wrażenie człowieka, który z jakiegoś powodu nigdy nie wychodzi na słońce.

– Państwo są z policji do ciebie. Coś ty przeskrobał? – ojciec zaśmiał się nagle trochę rubasznie, a trochę nerwowo.

Przez moment nikt nic nie mówił. Oni zastanawiali się, czy ten ni to facet, ni dzieciak mógł rozłupać młotkiem czaszkę nastolatka. On zastanawiał się, czy dałoby się jeszcze uciec.

– Czy w nocy z dziesiątego na jedenasty sierpnia tego roku wiozł pan kogoś swoim samochodem po dyskotecę w Zębnie? – komisarza kompletnie nie interesowało, co ten dziwny człowieczek za chwilę mu odpowie. Patrzył na jego usta, oczy i dłonie.

Józefa C. tymczasem najbardziej zastanowiło to, że przecież słyszał już kiedyś w głowie to pytanie. Nie odpowiedział nic, komisarz

⁹ Cytaty z Opinii sądowo-psychiatrycznej.

wiedział wszystko, a jego partnerka dyskretnie dotknęła chłodnej rękojęści glocka za paskiem. Józef obejrzał się na ojca, na nich, nerwowo zerknął w stronę okna.

– Możemy wyjść przed dom? Duszno mi – spojrzał błagalnie na komisarza. – Tam powiem.

Policjant wahał się przez chwilę. Nie miał problemu z tym, żeby wyjść przed dom, też było mu zresztą duszno, choć z innego powodu. Nie obawiał się, co zrobi ten człowiek o ziemistej twarzy; nie chodziło nawet o to, że może uciec. Wahał się tylko, czy włączyć mu od razu karę dodatkową, którą byłoby powiedzenie tego wszystkiego w przytomności ojca, który utrzymywał ład.

– Możemy – komisarz przypomniał sobie, że nie jest od wymierzania kar, tylko od łapania przestępców.

Wyszli. Chwilę stali. Józef C. chciał sięgnąć po coś do kieszeni spodni. Policjant niespiesznie złapał go za rękę.

– Mogę zapalić?

Komisarz pokręcił głową. Za dużo było tych życzeń. Stali jeszcze chwilę.

– Chciałbym dostać karę śmierci – odezwał się w końcu Józef.

– W Polsce nie ma kary śmierci – odpowiedział komisarz.

– Ale ja chciałbym dostać – upierał się tamten.

– Ale nie dostaniesz.

– Myślałem, że mi się lapnie – po chwili Józef podjął jeszcze beznadziejną próbę żartowania.

– Nie lapnie – komisarz nie był w nastroju do żartów; wciąż było cholernie gorąco, pył włożył za kołnierz przepoconej koszuli, pod ziemią leżał chłopiec z głową podziurawioną młotkiem, a jego ciekawiło już tylko jedno. – Dlaczego?

Przez moment wydawało się, że Józef nie zrozumiał pytania, a komisarzowi nie chciało się powtarzać. Był zmęczony sprawą i upałem.

– Bo byłem ciekaw, jak to jest – okazało się, że Józef pytanie jednak zrozumiał, bo był inteligentny.

– I? – zapytał komisarz.

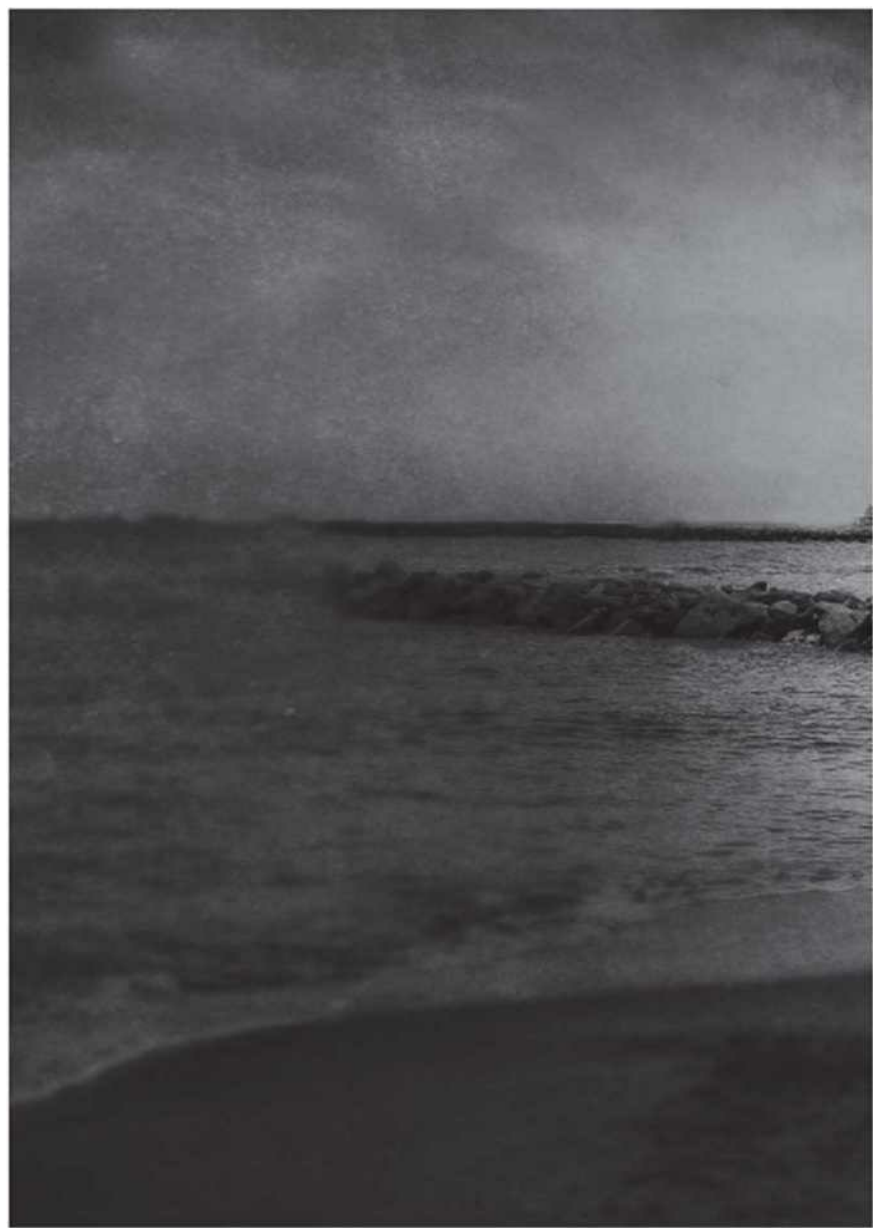
Józef uśmiechnął się nagle szelmowsko. Policjantce wydało się nawet, że jakby z satysfakcją; komisarz miał to w poważaniu.

– A co? Chciałby pan wiedzieć? – Józef stwierdził raczej, niż zapytał.

– Nie – komisarz pokręcił głową, chwilę jeszcze popatrzył na Józefa, po czym sięgnął po przytroczone do paska kajdanki.



Od chwili, kiedy Igor Brejdygant zapoznał się z aktami sprawy i porozmawiał z prowadzącym ją policjantem, wciąż nie potrafi zrozumieć motywu działania sprawcy i odpowiedzieć na pytanie, dlaczego dwudziestodwulatek zabija młodszego od siebie chłopaka. Dlaczego owej nocy wybrał właśnie jego. Pytany o to samo sprawca odpowiada: „nie wiem, dlaczego to zrobiłem”. Mało tego, pytanie: „dlaczego to zrobiłem?” stawia prowadzącemu sprawę prokuratorowi.



PORTRET KOBIETY NAD BRZEGIEM MORZA

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

WOJCIECH
CHMIELARZ

Urodzony w 1984 roku. Przez pewien czas dziennikarz, potem specjalista do spraw białego wywiadu i analizy gospodarczej. Zajmował się m.in. szarą strefą i wyłudzeniami VAT. Obecnie pisarz. Autor cyklu o komisarzu Jakubie Mortce: *Podpalacz* (2012), *Farma lalek* (2013), *Przejęcie* (20014), *Osiedle marzeń* (2016), *Cienie* (2018), cyklu gliwickiego: *Wampir* (2015) i *Zombie* (2017) oraz thrillera psychologicznego *Żmijowisko* (2018). W 2013 i w 2014 roku nominowany do Nagrody Wielkiego Kalibru, w 2015 roku został jej laureatem za powieść *Przejęcie*.

Jego powieści były tłumaczone na język francuski. Trwają prace nad ekranizacją jego książek.



„W tej niewiarygodnej sprawie jest wszystko: miłosny trójkąt, zgubne namiętności, brutalny mord i ciało, które znika...”

1.

Fale Bałtyku delikatnie obmywały jej stopy. Kobieta stała wyprostowana jak struna, z lekko uniesioną głową i wzrokiem wbitym w daleką linię horyzontu, znad której właśnie unosiła się błada jeszcze kula słońca. Kobieta powoli zapadała się w zimny piasek. Poruszała gołymi palcami, raz, drugi, jakby chciała przyspieszyć ten proces, jakby chciała zatopić się w piasku cała, po czubek głowy. Schować się, zniknąć. W dłoni trzymała parę białych kłapek.

Miała około pięćdziesięciu lat. Krótkie włosy. Przeciętnego wzrostu. Przeciętnej urody. Jedna z tych kobiet, na które zazwyczaj nie zwraca się uwagi. Mijają nas w jasnym świetle dnia, a minutę później nie jesteśmy nawet w stanie ich opisać. Całkowicie zwyczajne. Czasami to zaleta. Czasami to wada.

Plaża była niemal zupełnie pusta. W oddali, już w Gdańsku, dostrzec można było samotną sylwetkę z psem. Z drugiej strony biegł jakiś mężczyzna. Jego stopy uderzały miarowo o mokry piach, w uszach miał słuchawki. Całkowicie zatopiony w rytmie biegu i własnego oddechu, chyba nawet nie zauważył kobiety. Przy Grand Hotelu, na białym leżaku, spał w otoczeniu butelek po piwie młody chłopak. Jego ramiona bezwładnie zwisały po obu stronach, jakby ktoś go ukrzyżował.

Nagle fala rzuciła w kobietę kawałkiem wodorostu. Roślina wydawała się tłusta i gruba. Otoczyła jej kostkę, jakby chciała wciągnąć kobietę w morską toń. Kobieta tylko przyglądała się jej z zimną obojętnością.

Za jej plecami pojawił się mężczyzna. W średnim wieku. Z jego uśmiechniętej, opalanej na brązowo twarzy biło szczęście. Otoczył

talię kobiety ramionami, przytulił się mocno do jej pleców. Odetchnął głęboko, wciągając jej zapach. Przez chwilę wydawało się, że zaśnie w tej niewiarygodnej i niewygodnej pozycji.

– Pożegnałaś się już z morzem? – zapytał.

– Tak.

– Chcesz papierosa?

Potrząsnęła przecząco głową. Mężczyzna wypuścił ją z objęć i ruszył w stronę wyjścia z plaży. Przystanął, kiedy zorientował się, że kobieta za nim nie ruszyła.

– Idziesz?

Dopiero wtedy drgnęła. Obróciła się powoli. Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Smutny, wymuszony.

– Wiem – powiedział mężczyzna. – Ja też nie chcę wyjeżdżać.

– To nie o to chodzi.

– A co chodzi? – zapytał zaniepokojony.

Wzruszyła ramionami, jakby bała się odpowiedzieć. Coś ścisnęło ją głęboko we wnętrzościach. Uczucie, którego nie potrafiła nazwać, ale które towarzyszyło jej, od kiedy tylko otworzyła oczy. Przeczucie nadchodzącego nieszczęścia. Przeczucie, które nic jej nie dawało, bo w żaden sposób nie precyzowało, przed czym ją ostrzega.

Dopiero później je zrozumiała. W momencie, kiedy ich samochód otoczyła brygada antyterrorystów. Kiedy potężnie zbudowany policjant w kominiarce, pod którą pot zalewał mu oczy, wykręcał jej ramiona i zakładał kajdanki na przeguby.

Nie chodziło ani o Sopot, ani o morze. To był ostatni dzień jej wolności. I to właśnie jej miała powiedzieć: żegnaj.

2.

– Prawdziwe przestępstwa zawsze rozczarowują – powiedziałem i jak zwykle w tym momencie, zrobiłem efektowną pauzę.

Popatrzyłem na twarze siedzących przede mną ludzi. Kolejna grupa, którą uczyłem pisać kryminały. Kurs dla początkujących, chociaż przekonałem się, że trafiają do mnie także redaktorzy poważnych wydawnictw, scenarzyści z niezłym dorobkiem, a nawet doświadczeni autorzy, którzy myślą o zmianie gatunku. Uważam, że jestem dobrym nauczycielem. Solidnie przygotowuję się do każdych zajęć. Pracuję ze studentami, indywidualnie omawiając ich prace domowe. Bez trudu znajdujemy chętnych na każdy kolejny kurs. Martwi mnie tylko to, że jeszcze żaden z moich kursantów nie napisał i nie wydał własnej powieści. – Pod względem literackim, oczywiście – zakończyłem wypowiedź.

Zgodnie z moimi oczekiwaniami na kilku twarzach pojawił się lekki uśmiech. Oparłem się rękoma o blat stołu.

– Zazwyczaj to cholernie proste sprawy. Typowe polskie zabójstwo to „ktoś kogoś po pijaku”. Albo tzw. zabójstwo kuchenne, kiedy maltretowana żona w pewnym momencie w samoobronie pcha męża nożem. Żebyście mnie dobrze zrozumieli – zrobiłem pauzę i poczekałem, aż wszyscy skupią na mnie uwagę. – To tragiczne historie. One mają swój ciężar. Ale nie da się na nich zbudować kryminału.

– A głośne medialnie sprawy? – odezwała się blondynka w okolicach czterdziestki. Z rozmów w przerwie wiem, że zajmuje się marketingiem. Ma męża, dwójkę nastoletnich dzieci. Skacze od jednego kursu do drugiego, szukając czegoś dla siebie. Sympatyczna. – Zaginięcie Ewy Tylman, Iwony Wieczorek, zabójstwo Madzi z Sosnowca.

Kiwam głową z uznaniem. Ale tak naprawdę spodziewałem się takiego pytania.

– One oczywiście są interesujące, ale dlatego, że wydarzyły się naprawdę. To materiał na reportaż, a nie na powieść kryminalną, gdzie jest potrzebny wyraźny bohater, oś fabularna, bohaterowie

drugoplanowi i tak dalej. Poza tym bardzo często te medialne sprawy budzą nasze zainteresowanie z powodu pewnych podstawowych błędów, które zostały popełnione w pierwszej fazie śledztwa i w rezultacie uniemożliwiły znalezienie winnego. Tak było, na ile się orientuję, w przypadku Iwony Wieczorek. Tajemnicy jej zaginięcia nie udało się rozwikłać, bo w pierwszych dniach nie przesłuchano jak trzeba kilku osób.

Blondynka w skupieniu notowała coś w zeszycie. Była pilną studentką, ale wątpię, żeby kiedykolwiek napisała cokolwiek więcej niż opowiadanie. Nie znajdzie czasu w swoim zapracowanym życiu albo pójdzie na kolejny kurs, żeby zdobyć kolejny dyplom do swojej kolekcji.

– Z wymienionych spraw literacko tylko jedna jest ciekawa. Porwanie Madzi z Sosnowca. Tam fajnie zagrało kilka rzeczy. Po pierwsze, lokalizacja. Sosnowiec sam w sobie jest ciekawym miejscem na umieszczenie w nim akcji kryminału. Klimat Zagłębia. Ciągle żywe, chociaż oczywiście słabsze niż przed laty, antagonizmy ze Śląskiem. Legenda „Wampira z Sosnowca”. To są wszystko elementy, które można by mniej lub bardziej wykorzystać. Dalej samo zdarzenie. Porwanie małego dziecka. W środku dnia, w środku miasta. Szokujące. Tak na gorąco trudno mi wymyślić coś mocniejszego, coś bardziej przykuwającego uwagę. Do tego załamana młoda matka. Opowieść o tajemniczym porywaczu, który uderzył ją w tył głowy – przerwałem na moment, sięgając po kubek z kawą. Wypiłem dwa łyki. – Ale nawet w tej sprawie, jak państwo pamiętacie, był tylko jeden punkt zwrotny. A długa forma wymaga co najmniej dwóch.

Odstawiłem kubek i popatrzyłem na twarze moich kursantów. Byli zainteresowani. Zaintrygowani. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pociągnąć tematu dalej. Moglibyśmy pospekulować, dlaczego policyjna akcja wyglądała tak, jak wyglądała. Jak w tamtej sprawie

zachowali się policyjni profilerzy, a co naopowiadał Krzysztof Jackowski i skąd się wziął w tym wszystkim Krzysztof Rutkowski? Ale doszedłem do wniosku, że zamiast kolejnej dygresji grupa potrzebuje mocnej puenty.

– Prawdziwe sprawy są ciekawe, bo są prawdziwe – powiedziałem.
– Gdybyście przeczytali o nich jako o fikcji literackiej, odłożylibyście z nudów książkę na półkę.

3.

Żar lejący się z nieba zmienił wewnątrz samochodu w rozpalony piekarnik. Gorąco oblepiało ciała kobiety i mężczyzny jak dziesiątki warstw folii spożywczej. Odbierało dech. Więziło ciała w kropłach gęstego potu. Nie pomogły nawet szeroko otwarte okna. Kobieta opierała głowę o zagłówek, przymykała powieki, jedną dłoń wystawiła na zewnątrz. Poruszała nią powoli, w jedną i drugą stronę, w strugach pędzącego powietrza. Można było odnieść wrażenie, że tańczyła.

– Zaraz będziemy w domu – powiedział mężczyzna i położył rękę na udzie kobiety. Pogłaskał ją czule. Ona mruknęła z zadowoleniem, a potem położyła swoją dłoń na jego. Mężczyźnie sprawiło to wyraźną przyjemność. Wyprostował się, wypiął pierś. Na ułamek sekundy dostrzegł swoje odbicie w lusterku wstecznym. Uśmiechnął się sam do siebie.

- Podobało ci się? – zapytał.
- W Sopocie?
- Tak.
- Bardzo.
- Chcesz tam jeszcze kiedyś pojechać?
- Może.



– Podobno jesienią nad Bałtykiem jest pięknie.

– Tak.

– I nie ma tylu turystów. Mniejszy tłok. No i pewnie taniej, bo teraz to jednak strasznie drogo. To co? Wybralibyśmy się na jesieni?

– Dobrze.

Mężczyzna raz jeszcze pogłaskał kobietę po udzie. Pomyślał, że zdarzają się w życiu ulotne chwile absolutnego szczęścia. One zawsze zaskakują. Pojawiają się nie wtedy, kiedy się ich spodziewamy, ale wtedy, kiedy w ogóle ich nie oczekujemy. Nie w dniu ślubu, ale tydzień później, podczas wspólnego oglądania

głupiego programu w głupiej telewizji. Nie w dniu narodzin dziecka, ale kiedy miesiąc później stoimy przed śmietnikiem z wiadrzem wypełnionym brudnymi pieluchami. Nie podczas wymarzonego urlopu w Sopocie, ale podczas jazdy powrotnej samochodem. Kiedy w nozdrzach prócz woni zwisającej z lusterka sosenki zapachowej czuje się perfumy ukochanej kobiety i zapach domu. Wszystko jest wtedy na swoim miejscu. Doskonale i piękne. Wreszcie. Przez moment można ulec iluzji, że tak już będzie zawsze.

Po czterdziestu minutach dojechali do jednorodzinnego domu w Bielsku-Białej. Mężczyzna zatrzymał samochód. Wsiadł z auta. Rozprostował kości, przeciągając się w jedną i drugą stronę. Później otworzył bramę i wjechał na teren posesji. Wyskoczył z wozu i pobiegł dookoła pojazdu. Chciał jej otworzyć.

Niemal natychmiast zza budynku wybiegło kilku ubranych na czarno mężczyzn. Dojrzał w ich dłoniach broń. Przestraszył się. Pomyślał, że to napad. Chciał krzyknąć, ale w tym samym momencie jeden z napastników odepchnął go na bok. Przytrzymał. Dojrzał na kamizelce kuloodpornej kolejnego mężczyzny wyraźny napis „Policja”. Poczul ulgę. Ale na krótko. Coś było nie tak. Zdenerwowanie wróciło.

– Co tu się dzieje? – zapytał.

Pilnujący go funkcjonariusz nie odpowiedział. Spod kominiarki błyszczały tylko jego skupione, zimne, zielone oczy.

– Co tu się dzieje?! – powtórzył głośniejszym głosem mężczyzna.

Pozostali policjanci otoczyli samochód. Otworzyli drzwi. Mówili coś do siedzącej w środku, pobladłej kobiety. Jeden z nich krzyknął. Drugi uderzył w drzwi pojazdu.

– Ej! Nie rób tak! Spokojnie! – krzyknął mężczyzna. Spróbował zrobić krok w stronę auta, ale pilnujący go funkcjonariusz przytrzymał go i pokręcił ostrzegawczo głową.

Kobieta powoli wysiadła. Odwróciła się tyłem do policjantów.

Jeden z nich zapiął jej stalowe kajdanki na przegubach. Mężczyzna poczuł, jak uginają się pod nim nogi. Serce mocno biło, w ustach poczuł suchość.

– Co wy robicie?! – krzyknął. – Tak nie wolno! Zostawcie ją! Nie możecie tak zrobić! Nie możecie!

Na posesję powoli wtoczył się policyjny radiowóz. Błyskały lampy, ale bez syreny alarmowej. Albo mężczyzna ich po prostu nie słyszał. Szumiało mu w głowie. Cały świat wirował. Trudno mu było uporządkować myśli. Czuł się tak, jakby wpadł w jakąś szaloną pętlę i teraz pędził na spotkanie z twardą ziemią.

– Zostawcie ją! Zostawcie! – krzyczał tylko, bo jedynie do tego był zdolny.

Kobieta zniknęła we wnętrzu radiowozu, który wyjechał z posesji równie wolno, jak na nią wjechał, ale kiedy znalazł się na głównej drodze, ruszył z piskiem opon. Zniknął za najbliższym zakrętem.

Mężczyzna powoli osunął się na ziemię. Usiadł w kucki. Oddychał głęboko. Nagle zrobiło mu się strasznie zimno. Zadrżał raz, drugi. W oczach zaczęły mu się zbierać łzy. Podniósł głowę i spojrzał prosto w twarz pilnującego go, zamaskowanego funkcjonariusza.

– Co tu się stało? – zapytał cicho.

Funkcjonariusz długo milczał. Tak długo, że mężczyzna był przekonany, iż nie doczeka się już odpowiedzi.

– Pan nawet nie wie, jakie ma szczęście – odezwał się nagle policjant. Jego głos był zaskakująco miękki, łagodny, młody.

– Szczęście?

Funkcjonariusz kiwnął głową.

– Że pana też nie zabiła.

4.

Warszawa potrafi zaskoczyć. Tak jak tutaj. Z jednej strony blokowisko. Z drugiej strony blokowisko. Z trzeciej szeroka wstęga Doliny Służewieckiej. A w środku, nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego, małe osiedle domków jednorodzinnych.

Krażyłem samochodem po wąskich uliczkach. Wypatrywałem równocześnie dwóch rzeczy. Numerów budynku i miejsca do parkowania. Z obiema rzeczami jest w stolicy krucho.

Wreszcie odnalazłem właściwy adres. Krył się zupełnie na uboczu, na końcu ślepego zaułka. Zatrzymałem się niedaleko śmietnika. W tej samej chwili z domu wyszedł mężczyzna w grubym swetrze i jeansach. Kulił się pod podmuchami zimnego powietrza, ale nie przeszkodziło mu to wyjąć i zapalić cygaro. Zaciągnął się kilka razy i wypuścił z ust kłęby siwego dymu. Aromat tytoniu był tak mocny, że dotarł także do mnie.

– Dzień dobry – odezwał się, kiedy mnie dostrzegł.

– Dzień dobry.

– Pan do nas?

– Mam nadzieję.

– Mam prośbę – powiedział. – Mógłby pan przestawić samochód? Sąsiedzi trochę się burzą, kiedy nasi goście tutaj się zatrzymują.

– Ale wtedy zablokuję tamten samochód – wskazałem na białe auto.

– Nie szkodzi.

Zrobiłem to, o co mnie prosił. Przywitaliśmy się uściskiem dłoni. Uniósł trzymane w dłoni cygaro.

– Popalę jeszcze i przyjdę, dobrze?

– Jasne.

– Drzwi są otwarte.

Firma, do której przyszedłem, zajmuje się produkcją telewizyjną.

Jak zawsze w podobnych sytuacjach, zabawne wydaje mi się zderzenie wyobrażeń z rzeczywistością. Produkcja telewizyjna powinna być czymś szalonym i ekscytującym. Kojarzy mi się z nią rozgardiasz, pokrzykujący na siebie ludzie, sieć kabli na podłodze, tony sprzętu upychane we wszystkich możliwych miejscach. Tymczasem wewnątrz domu, do którego wchodzi, jest puste i ciche. Białe ściany ozdobiono nielicznymi obrazkami. W środku powitały mnie dwie producentki. Nastąpiła kolejna runda przedstawień i wymian uprzejmości. Zaproponowano mi kawę lub herbatę. Poprosiłem o wodę. Dwie minuty później wrócił facet z cygarem. Jedna z kobiet przeprosiła mnie. Powiedziała, że musi wyjść, i pożegnała się. W trójkę przeszliśmy do dużego pokoju, który w normalnym domu byłby salonem. W nim było już trochę więcej mebli. Jakieś biurko, fotel, kanapa. Regały pod ścianą wypełnione książkami.

Dalej toczymy rozmowę trochę o niczym, trochę o wszystkim. Zahaczamy o politykę. Rynek telewizyjny. Producent opowiada mi o ich firmie i o tym, czym się dokładnie zajmują. Okrasza to kilkoma anegdotami o znanych aktorach. Część z nich znałem. Albo nawet i nie. Szczerze mówiąc, wszystkie anegdoty o aktorach wydają mi się takie same.

Ciągle nie wiem, po co tutaj przyjechałem. Co jest kolejnym zabawnym aspektem tej sytuacji. Ludzie z branży telewizyjnej podczas rozmów telefonicznych są irytująco podekscytowani i uroczo tajemniczy. Jakby naprawdę głęboko wierzyli w to, że planują złożyć mi propozycję, która zmieni moje życie. Albo jakby praca dla nich w dowolnym charakterze była moim wieloletnim marzeniem. Nie jest. A propozycje, które otrzymywałem do tej pory z branży, zawsze kończyły się mniejszym lub większym rozczarowaniem. Podejrzywałem, że teraz będzie podobnie.

– Mamy pomysł na program – odezwał się producent. – Nowy

format, nasz oryginalny pomysł. Nikt jeszcze czegoś takiego nie robił.

– Okej – pokiwałem głową, ciesząc się, że przechodzimy do rzeczy.

– Chcielibyśmy zaprosić najlepszych i najpopularniejszych autorów kryminałów w Polsce, żeby opowiedzieli o najciekawszych sprawach kryminalnych. Ale żeby zrobili to jakby ze swojej perspektywy. Opowiedzieli te historie przez siebie, przez pryzmat swojej wrażliwości. Pan rozumie, panie Wojtku?

– Mniej więcej – powiedziałem. – Brzmi ciekawie – dodałem ostrożnie.

W głowie już analizuję, ile może zająć mi przygotowanie scenariusza takiego programu. Na pierwszy rzut oka jest tego bardzo dużo. Znalezienie sprawy, zebranie materiałów, wreszcie przetrwanie. Wiem już, że nie mam na to czasu. Właśnie wydałem książkę. Byłem w promocyjnym amoku i jeździłem po całej Polsce ze spotkaniem na spotkanie. W maju miałem wydać jeszcze jedną powieść – Żmijowisko. Z drugiej strony... Właśnie. Zawsze jest ta druga strona. To kolejna fucha. A o ile w tym kraju da się żyć z bycia pisarzem, to nie da się żyć z pisania. Co oznacza, że oprócz tworzenia powieści muszę non stop szukać dodatkowych zajęć. Kursy pisarskie, felietony, spotkania autorskie. A także scenariusze dla programów telewizyjnych. No i ostatnia sprawa. Będę miał pół godziny czasu antenowego, żeby się popromować.

– Będzie ciężko – stwierdziłem z ociąganiem.

– Może pan liczyć na naszą pomoc. Zapewnimy panu researcherów do zbierania materiałów. Ludzi, którzy pojedą dla pana do sądu, przeprowadzą wywiady, porozmawiają z kim trzeba.

– Czyli będę musiał tylko sięgnąć i napisać scenariusz?

– Właściwie to szkic scenariusza. Właściwy scenariusz, w porozumieniu z panem, stworzy osoba od nas – tłumaczył producent.

Zacząłem się robić odrobinę podejrzliwy. Czuję się trochę jak emeryt na prezentacji garnków, które same gotują, a do tego wyleczą mnie z reumatyzmu. Wszystko ładne i piękne, ale odrobinę podejrzane.

– Chcielibyśmy, żeby pan też napisał opowiadanie do antologii powiązanej z tym programem – dodała producentka.

Teraz ten układ wydaje mi się nieco jaśniejszy. Pracy będę miał trochę więcej, ale ciągle wydaje się, że korzyści przeważają nad kosztami.

– Na kiedy trzeba by to zrobić?

– Chcielibyśmy kręcić w wakacje.

Druga połowa roku. Zostało jeszcze sporo czasu. Ta długa perspektywa sprawia, że się odprężam. Książkę wydaję w maju. Nawet biorąc pod uwagę spotkania promocyjne, wywiady i tak dalej, to jeśli dostanę faktycznie wszystkie materiały, powinienem napisać swój tekst do końca czerwca.

– No dobrze – powiedziałem. – Wstępnie się zgadzam. Pojadę teraz do domu i zacznę się rozglądać za jakąś ciekawą historią.

Producent i producentka patrzą po sobie porozumiewawczo. Wreszcie ona wyciąga plik kartek. Podsuwa mi je.

– Wydaje się nam, że mogłoby to pana zainteresować – mówi.

5.

Chłopak stał w przedpokoju jak skamieniały. Był wysoki, krótko ostrzyżony i przeraźliwie chudy. W jego wielkich, błękitnych oczach widać było strach i ból. Krzywił się, kiedy dochodził do niego kolejny okrzyk. Przy każdym odgłosie uderzenia jego prawy policzek, na którym ma dużą, podłużną bliznę, czerwieniał, jakby to on sam dostał.



Miał zaledwie osiemnaście lat. Przez kilka poprzednich miesięcy włóczył się po śląskich ulicach. Spał po śmietnikach, melinach. Poznawał dziwnych ludzi, pakował się w nieprzyjemne sytuacje. Aż w końcu jeden z przygodnych znajomych postanowił go przygarnąć. Stary, katowicki pijak o niewyparzonej gębie, ostrym temperamentem i twarzy czerwonej od litrów wypitej wody. Chłopak w zamian za kąpiel i dach nad głową chodził dla niego po alkoholu do podejrzanych spelun, gdzie lali prosto do plastikowych butelek i nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, żeby zapytać o źródło pochodzenia. Pozostawało tylko cicho się modlić, żeby od tego nie oślepnąć.

Razem z nim w tym katowickim mieszkanku mieszkała jeszcze jedna osoba. Kobieta. Kilka lat później ta sama kobieta stanie na sopockiej plaży, żeby oglądać ostatni wschód słońca na wolności, ale teraz pijak, z którym się związała, rzuca nią od ściany do ściany.

Jego ręce były ciężkie, a pięści twarde.

Chłopak ciągle stał, wpatrzony w jasną plamę futryny. Widział w niej, jak na ekranie telewizora, moment, w którym kobieta upadła na podłogę, a potem uderzyła głową o nierówno ułożone, brudne linoleum. Z jej rozbitej wargi leciała krew.

– Pomóż mi – powiedziała bezgłośnie, ledwo otwierając usta.

Chłopak zrobił w jej kierunku jeden krok, ale zaraz cofnął się, kiedy naprzeciwko niego pojawił się pijak. Jego twarz była jeszcze bardziej czerwona niż zwykle. Oczy lśniły niezdrowo z podniecenia. Co chwila się wzdrygał, jakby powstrzymywał wymioty.

– Na co się... – przerwał, beknął, spróbował jeszcze raz. – Na co się, kurwa, gapisz?

– Na nic.

– No właśnie... To na co czekasz... – zamachał rękoma, wykonując trudny do interpretacji gest. – Leć po flachę...

Chłopak spuścił wzrok. Usłyszał krzyk bitej kobiety. I nagle,

niespodziewanie dla samego siebie, ruszył z miejsca. Wpadł do pokoju. Chwycił pijaka za szmaty. Rzucił nim o ścianę. Sam był zaskoczony, że poszło tak łatwo. Tak szybko. Że to wypełnione kiełbasą i alkoholem ciało prawie nie stawiało oporu, że tylko jęknęło, kiedy zderzyło się z murem. Uderzył go. Pięść zabolala, poczuł pod nią coś miękkiego i twardego równocześnie, stąd wiedział, że trafił. Ale nie widział, w co. Zaczął płakać, chociaż nie rozumiał, dlaczego. Nie był smutny. Nie był przerażony. Był wściekły.

Szarpnął pijakiem. Pchając go, kopiąc, bijąc gdzie popadnie, przemieszczał go, przesuwając, jak martwą bryłę, w stronę wyjścia z mieszkania. Kobieta podniosła się w międzyczasie z ziemi. Otworzyła drzwi do mieszkania i wspólnie wypchnęli go na klatkę schodową. Pijak zatoczył się, stracił równowagę, spadł z hukiem ze schodów, podskakując i tocząc się na stopniach. Przybierał dziwne pozycje, jakby wyjęte z komiksu o Spidermanie – ręce między nogami, nogi za głową, głowa blisko krocza, zgięty i na przemian wyprostowany, aż wreszcie padł jak długi na półpiętro. Przez długi czas tak leżał. Oni stali blisko siebie. Chłopak w drzwiach. Kobieta wciskająca się w niego, tak że czuł miękkość jej piersi, próbująca podejrzeć coś ponad jego ramieniem lub pod nim. Kropla za kroplą wypełniał ich przeraźliwy, lodowaty strach. I oboje niemal w jednym momencie jęknęli z ulgą, kiedy pijak zacharczał niewyraźnie i poruszył nogą. A potem chwycił się poręczy i niezgrabnie próbował wstać.

– Nie wracaj tutaj, chuju – powiedział chłopak. – Słyszałeś! Nie wracaj, kurwa!

Trzasnął drzwiami najmocniej jak potrafił. Huk wypełnił całą klatkę schodową. Chłopak zamknął wszystkie możliwe zamki. Założył łańcuch. Spojrzał prosto w oczy stojącej za nim kobiety. Ona otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale on nawet nie

poczekał, żeby jej wysłuchać. Minał ją bokiem. Zostawił samą.

Kilka godzin później leżał na wpeł nagi w środku nocy i nasłuchiwał odgłosów katowickiej ulicy. Bał się, że pijak wróci. Przejdzie się po melinach, zbierze swoich kumpli, a potem go dopadną. Skopią za to, co zrobił. Może nawet zabiją, jeśli będą wystarczająco pijani. Na przemian zaciskał pięści i je rozluźniał. Obiecywał sobie, że nie będzie błagał o litość. Nie będzie się płaszczyl przed tym pijakiem. Będzie walczył. Walczył tak długo, póki starczy mu sił. Jakaś jego część – ta ze zdrowym rozsądkiem albo ta szalona, nie potrafił zdecydować – podpowiadała mu, żeby zostawił to wszystko. Żeby uciekał, póki może. Póki nikt w zemście nie połamał mu nóg. Ale nie miał dokąd iść, a do domu w Jaworznie wracać nie miał zamiaru. Pozostawało czekać.

Usłyszał jakiś ruch w mieszkaniu. To była kobieta. Podeszła do niego. Przez minutę, może dłużej, stała nad nim jak zjawą. Przyczyna jego wszystkich nieszczęść. Chciał się odwrócić. Krzyknąć na nią, żeby sobie poszła. Ale nie zrobił tego. To ona położyła się obok niego. Jej skóra dotknęła jego. Poczuł miękkość jej piersi, ciepły oddech na swojej szyi. Pomyślał, że to szaleństwo. Pomyślał, że to głupie. Była od niego starsza o ponad dwadzieścia lat.

Pomyślał, że jej pragnie.

Pocałował ją.

Tamtej nocy spali ze sobą po raz pierwszy.

6.

– Ona jest od niego starsza o dwadzieścia trzy lata! – powiedziałem.

Był niedzielny wieczór i nadszedł czas na wspólne gotowanie. To

znaczy ja gotowałem. Żona piła wino. To jeden z naszych zwyczajów. Sposób na wyrwanie dla siebie trochę wspólnego czasu w gonitwie całego tygodnia.

– I?

– To dużo – stwierdziłem rzecz oczywistą.

Otworzyłem szufladę i wyjąłem z niej duży nóż. Opłukałem go wodą, przetrarłem szmatką. Sprawdziłem palcem, czy jest dość ostry, i zająłem się krojeniem warzyw. Mięso przygotowałem już wcześniej. Czekąło w lodówce, w misce przykrytej talerzykiem, i nasiąkało aromatem przypraw. Nie jestem dobrym kucharzem. W repertuarze mam może z pięć dań. Specjalizuję się w daniach jednogarnkowych. Curry, lecz i temu podobne. Wszystko, co wymaga ode mnie tylko pokrojenia składników, wrzucenia ich do gara i przyprawienia. Pożywne, proste w przygotowaniu i jednego wieczora można zrobić tyle, że wystarczy na dwa, trzy dni.

– Istnieje teoria biologiczna, która to tłumaczy – powiedziała żona.

– Dajesz.

– Według niej nawet najbrzydsza kobieta może znaleźć partnera. Natomiast najbrzydszy facet nie za bardzo. W drugą stronę to po prostu nie działa.

– Dlaczego?

– Ponieważ kobieta zawsze ma pewną ewolucyjną wartość. Potrafi rodzić dzieci. Faceci, kochanie, tego nie potrafią.

Przerwałem na moment krojenie papryki. Biologiczne teorie mojej żony zawsze były brutalnie przyziemne. Odzierały świat ze wszelkich złudzeń. Liczyło się w nich tylko przekazanie swoich genów następnemu pokoleniu.

– Nawet jeśli kobieta nie jest w wieku rozrodczym? – pytam, dostosowując słownictwo do żony.

– A skąd facet miałby o tym wiedzieć? Tutaj jakby przystosowanie biologiczne rozjeżdża się nam ze zmianami kulturowymi.

Skończyłem z papryką. Wyjąłem z szafki największy garnek, jaki mamy, a z lodówki mięso. Postawiłem garnek na gazie, nalałem do środka oliwy. Poczekaliśmy, aż się rozgrzeje. Dodałem mięso i przez chwilę podsmażałem, mieszając je drewnianą łyżką.

– Ale to ciągle dwadzieścia trzy lata różnicy.

– Młody chłopak, niedoświadczony. Może mający problemy z kontaktami z dziewczynami w swoim wieku. Dla niego ta twoja bohaterka naprawdę mogła być atrakcyjna.

– No tak...

Dorzuciłem paprykę, cukinię, dużo cebuli. Otworzyłem puszkę z mleczkiem kokosowym i wlałem do środka. Dodałem resztę przyprawy curry z saszetki, trochę świeżo zmielonego pieprzu i sól. Zamieszałem to wszystko i przykryłem pokrywką. Zostawiłem na niewielkim ogniu. Dopiero wtedy sięgnąłem po swój kieliszek. Białe wino. Australijski chardonnay. Bardzo przyjemny.

– Ta kobieta w ogóle jest zagadką – powiedziałem.

– Dlatego że uwiodła młodszego faceta? Wiesz, to nie jest aż tak niespotykane.

Kręcę przecząco głową.

– Przez lata żyła, jak pan Bóg przykazał. Mąż, córka, praca jako technik chemiczny w zakładach azotowych. Mąż pił i bił. Złamał jej nos. Rozciął łuk brwiowy. A ona przy nim tkwiła.

– Jak setki, tysiące innych kobiet w Polsce.

– Tak. Masz rację. Ale tutaj właśnie następuje zwrot akcji. Ona się rozwodzi. Rzuca pracę. Zostawia wszystko. Znika.

– Co to znaczy znika?

– To znaczy, że według akt nie utrzymuje kontaktu ani z córką, ani ze swoimi rodzicami. Cholera, ona nawet nie wie, czy oni ciągle żyją. Rozumiesz. Po prostu – szukałem przez chwilę w głowie odpowiednich słów. – Jakby rozpoczęła nowe życie.

– Lepsze od poprzedniego?

Podszedłem do kuchenki. Warzywa zdążyły puścić soki. Curry zaczęło bulgotać. Zamieszałem całą potrawę i nabrałem trochę sosu na łyżkę. Spróbowałem. Dodałem trochę soli i jeszcze odrobinę pieprzu.

– Raczej nie, skoro pracowała jako prostytutka na katowickim szaberplacu.

Żona zgodziła się ze mną. Oboje upiliśmy trochę wina.

– Chciałbym wiedzieć, co siedziało w jej głowie – powiedziałem, trochę do siebie. – Porzucić męża to rozumiem. Szczególnie takiego jak jej. Ale córkę? Zupełnie zerwać z nią kontakt? Przez te wszystkie lata zupełnie nie interesować się, co się z nią dzieje? Tak jakby naprawdę, ale to naprawdę próbowała zrzucić jedną skórę i stać się kimś zupełnie innym.

– Czasami każdy tak ma – zauważyła żona.

– Co takiego?

– Czasami każdy chce się stać kimś innym – uśmiechnęła się i pociągnęła nosem. – Ładnie pachnie – dodała, wskazując na garnek.

– Dzięki.

– Co się potem stało z tą kobietą?

– Potem? Potem spotkała Stanisława.

– Kto to był Stanisław?

– Facet, którego zabiła.

7.

Chłopak był już trochę starszy. Silniejszy. Większy. Życie go nie oszczędzało. Przyjmował ciosy ze wszystkich stron, ale się nie poddawał. Wrócili z kobietą do Jaworzna. Przedstawił ją rodzinie. Było ciężko. Brat się krzywił. Nie przepadał za kobietą. Nieustannie kręcił nosem i rzucał jakieś głupie uwagi. Parę razy chłopak chciał

mu odpowiedzieć. Pięściami. Ale kobieta mu nie pozwalała. Z ojcem było jeszcze gorzej. Twierdził, że to wszystko jest nienormalne. Że kobieta mogłaby być matką chłopaka. Że to nie przystoi. Ale chłopak miał kobietę, kobieta miała chłopaka i razem byli silni. Ojciec musiał więc w końcu zaakceptować, że jest jak jest i nic się nie zmienia. Kobieta się starała. Pomagała matce chłopaka, pomimo wszystkich złych słów i jeszcze gorszych spojrzeń, zachowała pogodę i życzliwość. I tak, krok po kroku, ułożyli sobie wspólnie życie.

Chłopak myślał sobie, że zdarzają się w życiu chwile absolutnego szczęścia. Pojawiają się nie wtedy, kiedy się ich spodziewamy, ale wtedy, kiedy w ogóle ich nie oczekujemy. Odnajdują nas wtedy, kiedy jesteśmy już na dnie i wydaje się, że gorzej już być nie może. W brudnym mieszkaniu zawszonego katowickiego pijaka, u boku o dwadzieścia lat starszej prostytutki. Ale to nie jest ważne. Ważne jest tylko to, że wszystko jest na swoim miejscu. Doskonałe i piękne. Przez moment można uwierzyć, że tak już będzie zawsze.

Wszystko jednak ma swój koniec.

Chłopak był starszy. Chłopak był silniejszy. Ale czuł się teraz tak, jak wtedy, gdy miał trzynaście lat i próbował się zabić. Znalazł wtedy tabletki. Nałykał się ich, ile był w stanie. Potem położył się spać, myśląc, że się nie obudzi. Jednak kiedy otworzył oczy, nie ujrzał przed nimi błękitu nieba ani czerwieni piekła, ale białe ściany ubikacji, w której ojciec wpychał mu dwa palce w gardło, prowokując wymioty. A potem karetka zawiozła go do szpitala. Śmieszne, ale nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego to zrobił. Pamiętał tylko taką szarą beznadzieję. Poczucie przytłoczenia, które odbierało dech i gasiło płomień w sercu.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Nie wracam z tobą – powtórzyła kobieta.

– Ale jak to?

– Spotkałam kogoś.

– Coś zrobiłem źle? Jesteś ze mnie niezadowolona? Mogę się poprawić. Naprawić wszystko. Powiedz mi tylko, co mam zrobić. Kurwa... Proszę... Ja dla ciebie... Ja się poprawię.

Kobieta kręci głową. Wstaje z ławki w parku. Poprawia torebkę na ramieniu.

– Spotkałam kogoś – powtarza i odchodzi.

On poderwał się z ławki. Chwytał ją mocno za ramiona. Szarpnął. Odwrócił i przytrzymał. Ale ona wtedy spojrzała na niego w taki sposób, że uleciała z niego cała odwaga i gniew. Został tylko ból i strach. Puścił ją i usiadł z powrotem na ławce. Oddychał ciężko. Kobieta fuknęła jak rozzłoszczona kotka i odeszła.

Gdyby miał te tabletki, co wtedy, to pewnie spróbowałby się znowu zabić. Ale nie miał. Poza tym brat coś przeczuwał. Pilnował go. Sprawdzał. Często dzwonił. Odwiedzał. Rozmawiał. Nie było kiedy się zastanowić, w jaki sposób popełnić samobójstwo. Dużo myślał, ale o czymś innym. Nie rozumiał, co się wydarzyło. Dawał jej wszystko. Robił wszystko. Był taki, jaki chciała, żeby był. Spełniał każdą jej prośbę. Nie przeszkadzało mu to, że znikwała, że była prostytutką, że pachniała innymi. On to wszystko rozumiał. I wiedział, wierzył, że jeśli tylko się będzie starać, dużo zarabiać, będzie dla niej dobry, to ona to zobaczy i doceni. Będzie potem już należała tylko do niego. Ale ona zamiast tego odeszła do kogoś innego. Nawet nie wiedział, do kogo. Czasami całymi dniami leżał na kanapie i myślał o tym wszystkim. Brat mówił, żeby sobie chociaż telewizor włączył, ale on nie chciał.

Zadzwoiła do niego kilka tygodni później. Chciała do niego przyjechać. Pomyślał, że chce wrócić. Popłakał się wtedy ze szczęścia. Ale nie chciała wrócić. Powiedziała, że znalazła sobie innego faceta. Jest bogaty. I ma u niego dobrze. Za to uprawiali wtedy seks.



Potem on pojechał do niej. Do Lipnika w Bielsku-Białej. Obrzeże miasta. Bardziej wieś. Kiedy zobaczył dom, w którym mieszkała, nie potrafił uwierzyć, że to ten. Spodziewał się willi jakiejś, bogactwa, mercedesa na podjeździe. A to był dom, jak dom. Biedny taki i zwyczajny. Minąłby go, a nie zauważył. Faceta, z którym mieszkała, też widział. Też zwyczajny. Przygaszony. Byle jaki strasznie. Chłopak nie rozumiał, dlaczego zostawiła go dla niego. Ale nie poruszał tego tematu z kobietą. Raz spróbował. Spojrzała na niego tak, że bał się, że znowu odejdzie. Teraz już naprawdę i na zawsze.

Ale pewnego dnia to ona wszystko mu powiedziała.

Leżał wtedy nago pod kołdrą. Jego penis był miękki i przyjemnie obolały. On sam spocony i zmęczony. Oczy mu się same zamykały. Zmuszał się, żeby podnosić powieki i patrzeć na kobietę. Zakładała właśnie gruby, biały stanik. Brzydki. Chciał jej kupić kiedyś inny, czarny, ładniejszy, koronkowy. Taki jak na reklamach. Taką niespodziankę jej sprawić. Ale jak poszedł do sklepu, zobaczył, ile

kosztują, to zrezygnował. Nie było go stać.

– Zostań – poprosił.

– Nie. Na pociąg się śpieszę – odpowiedziała ostro. Może trochę za ostro, nawet jak na nią. Musiała to wyczytać z jego twarzy. Skończyła zapinać spódnicę i usiadła na krawędzi tapczanu. Pogłaskała go czule po policzku. Tym z blizną.

– Jestem z nim tylko po to, żeby się go pozbyć – odezwała się. – Weźmiemy ślub, a wtedy on zniknie. A ja będę miała jego ziemię. Ty wiesz, ile ta ziemia jest warta?

– Ile?

– Dużo. Pół Bielska chciałoby się na tej ziemi budować. Żyć będzie za co aż do śmierci.

Chłopak nie miał odwagi zapytać, czy będzie żyła z nim. Uznał, że tak. Że jak tamten zniknie, to będą razem. Inaczej po co by mu to wszystko mówiła? Pocałowała go w czoło. Wstała. Podeszła do torebki. Pogrzebała w niej trochę i wyciągnęła wreszcie gruby zwitek banknotów.

– Trzymaj – powiedziała. – To od niego. Jest kasiasty. Kup sobie coś. Samochód albo coś innego.

Wyciągnął dłoń. Zawahał się. Spojrzał na nią. Kiwnęła aprobująco głową, więc chwycił pieniądze. Schował je pod koldrą, jakby się bał, że ona zaraz mu je zabierze.

Zadzwoiła trzy tygodnie później.

– Przyjedź do Bielska w sobotę – powiedziała. – Wtedy go zabijemy.

8.

Po raz kolejny odtwarzałem nagrania z programu reporterskiego jednej z największych stacji telewizyjnych. Około dwudziestominutowy materiał jest poświęcony sprawie, o której miałem

opowiadać. Dziennikarze skupili się na wątku pobocznym. Na historii dalekiej krewnej ofiary. Starszej kobiety, która samodzielnie przez lata walczyła o odkrycie prawdy o losie zamordowanego. Na pierwszy rzut oka to ciekawa historia. Intrygująca. Coś w stylu „Trzech billboardów za Ebbing, Missouri”. Nie dziwiłem się, że dziennikarze ulegli jej urokowi. Po przeanalizowaniu materiałów, które dostałem, uważam, że jej rola została mocno wyolbrzymiona. Szanuję jej starania, które ocierały się o bohaterstwo, ale mam wrażenie, że bez jej udziału ta historia zakończyłaby się podobnie.

Nagrania oglądałem z innego powodu. Można na nich zobaczyć kobietę. To zaledwie kilka sekund. Krótka migawka z sądu. Siedzi na ławie oskarżonych. Sztwno wyprostowana. Patrzy chłodno na skład sędziowski. Wydaje się zimna. Obojętna. Jakby wszystko, co się właśnie działo, dotyczyło kogoś innego. Nie jej. Zastanawiałem się, czy ona naprawdę taka jest, czy to po prostu maska, którą zakłada na rozprawy. Sposób, żeby odsunąć od siebie rzeczywistość, groźbę procesu, perspektywę więzienia. Uciec od tego. Zamknąć się przed tym w grubej skorupie. Uważnie przypatrywałem się jej twarzy. Co chwila zatrzymywałem nagranie, żeby obejrzeć je właściwie klatka po klatce. Szukałem czegokolwiek, jakiegokolwiek śladu, grymasu, czegoś, co pozwoliłoby mi rozwiązać tę zagadkę. Nic nie znalazłem.

– To trochę dziwne – zauważyła żona.

– Co takiego? – zapytałem, prostując się znad ekranu. Przetarłem palcami zmęczone oczy.

– To, że ze wszystkich tych osób wiesz tylko, jak wygląda ona.

Zastanowiłem się nad tym, co usłyszałem, i doszedłem do wniosku, że żona ma rację. To faktycznie było dziwne. Innych znam z suchych opisów. Nie widziałem żadnych ich fotografii. Są zbiorem słów, a nie żywymi ludźmi. Dlatego to nagranie jest dla mnie tak ważne. Cała ta historia nabiera dzięki temu realności.

Po raz kolejny cofam nagranie i naciskam przycisk play. Patrzę na twarz kobiety. Szukam odpowiedzi na pytanie, kim ona jest.

9.

Samochód zatrzymał się przed domem w Bielsku-Białej. Chłopak sięgnął do klamki. Jego brat wychylił się nad kierownicą, obserwując okolicę.

– Ona tutaj mieszka? – zapytał.

– Tak.

Chłopak poczuł ukłucie strachu. Badawcze spojrzenie brata. Jakby coś wiedział. Jakby coś podejrzewał. Przez chwilę ma wrażenie, że brat go nie wypuści. Ruszy z piskiem opon, a potem zawiadomi policję. Ale brat tylko mruknął coś pod nosem.

– Co takiego? – dopytał chłopak.

– Pozdrów ją ode mnie – powiedział głośniejszym głosem brat. Wymusił z siebie te słowa. Chłopak był mu za to wdzięczny.

Zebrał swoje rzeczy i wyszedł z samochodu.

Wszedł na teren posesji. Odwrócił się. Jeszcze zobaczył, jak jego brat odjeżdża. Zagryzł wargę. Ruszył przed siebie. Krok za krokiem. Myślał o kobiecie. O tym, że nie może jej zawieść. Że już zawsze będą razem.

Nawet się ucieszył, kiedy wyszła z domu. Ale tak krótko. Inaczej. A potem go zabolalo, kiedy chwyciła go za rękę i pociągnęła bez słowa za sobą.

– Chodź szybciej – rzuciła.

Wprowadziła go do przybudówki. Pachniało mokrym tynkiem.

– Ale co? Jak długo?

– Aż zje zupę.

Nie zrozumiał. Strzeliła oczyma w bok, w stronę wnętrza domu.

– Dorzuciłam mu do zupy trutki, tabletek, no – wyjaśniła. – Czekaaj tutaj, aż będę cię potrzebowała.

Wyszła, poprawiając włosy i bluzkę. On został sam w małym, ciemnym pomieszczeniu. W otoczeniu wiader, narzędzi, słoików pokrywających się kurzem na regałach i butelek po alkoholach z czeskimi etykietami. Niby w każdej chwili mógł wyjść, odejść, zanim będzie za późno, ale to było złudzenie. Tak naprawdę tkwił w pułapce. I jedyna droga, którą mógł pójść, to była ta, którą wskaże mu kobieta.

Coś łupnęło. Głucho i głośno. Wyszedł z przybudówki na korytarz. Zobaczył kobietę. Zobaczył mężczyznę. Tak jak wtedy w Katowicach. Tylko że teraz to ona biła jego. Czymś wielkim i twardym, co trzymała w dłoniach. Mężczyzna uciekał. Odbijał się od ścian.

– No pomóż mi! – krzyknęła kobieta.

Zrobił to. Chwycił go mocno. Przytrzymał. Upadli na podłogę. Kobieta uderzyła konkubenta jeszcze dwa razy i wtedy jego ciało zadrżało po raz ostatni. Mężczyzna zacharczał. I to był już koniec. Tylko jeszcze z ust wypłynęła mu wymieszana z krwią strużka śliny.

Puścił ciało. W uszach mu dudniło. Przeszedł do kuchni. Usiadł na taborecie. Oparł łokieć na białym stole, ścisnął głowę rękami, zakrywając czoło.

– Zakopimy go w piwnicy – powiedziała kobieta, myjąc ręce pod strumieniem zimnej wody z kranu. – Nic się nie martw.

Myślał tylko o tym, że ją kocha.

Poszli do piwnicy. Kobieta przyniosła dwie łopaty. Próbowali wykopać dół, ale się nie dało. Wrócili więc do kuchni. Kobieta wyciągnęła butelkę czeskiej wódki. Rozlała im. Najpierw nie chciał pić, ale ona piła, więc on też.

– Przeniesiemy teraz ciało do garażu.

Nie chciał tego zrobić. Bał się dotknąć ciała. Ale pomyślał, że ją kocha, więc pomógł.

Na drugi dzień (nie do końca był pewien, co wydarzyło się w nocy) ona poszła do sklepu. On siedział w pokoju. Bał się z niego wyjść. Kobieta wróciła z butelką wódki. Rozlała. Kazała mu wypić.

– Trzeba go pociąć – powiedziała. – W piwnicy jest wanna. Tam to zrobimy.

– Ja nie chcę.

Spojrzała na niego z politowaniem, jakby był małym dzieckiem.

– To ja to zrobię. Przynies mi tylko wapno.

Znowu zrobił to, co mu kazała. Był jak robot. Tylko taki, który się boi.

Potem przyszła, chyba znowu następnego dnia, i powiedziała, że już wszystko załatwione.

– Tylko nogi mu trzeba było obciąć, bo nie mieściły się do wanny.

Zszedł na dół. Wanna była zalana zaprawą. Obok stała zakrwawiona piła.

– Idź po wodę szklaną.

Zrobił to. Połął po zaprawie.

– Co dalej? – zapytał.

– Na razie musi tak zostać. Jak będzie zima, to spalimy to w piecu – odpowiedziała.

Kobieta dała mu kilka rzeczy. Kosiarkę, aparat i inne sprzęty. Kazała je sprzedać, bo będą potrzebować pieniędzy.

Potem przyjechał po niego brat.

– Jak było? – zapytał.

– Dobrze – odpowiedział chłopak.

Wrócili do Jaworzna.

10.

– Dlaczego miałyby go zabić? – zapytałem producentkę.

Rozmawialiśmy przez telefon. Był piękny, słoneczny, majowy

dzień. Dzieciaki biegały po pobliskim placu zabaw. Skakały od zabawki do zabawki. Siedziałem na ławeczce. Wypatrywałem swojego psa, który biegał dookoła z nosem wciśniętym w trawę.

– No przecież to jest w tych materiałach. Chciała przejąć ziemię, która należała do tego faceta.

– Ale w jaki sposób? Nie byli małżeństwem.

– Mieli być. Pamiętasz? Byli zaręczeni. Mieli się pobrać, ale wtedy zmarł ojciec tego faceta i odwołali ślub.

– Tak. I w końcu nie wzięli tego ślubu. Czyli zabijając tego koleśia, nie miała żadnych praw do jego ziemi. Żadnych.

– Ale była zameldowana w jego domu. Chciała go chyba zająć przez zasiedzenie. To też jest w materiałach.

– Zasiedzenie to bodajże dwadzieścia lat w dobrej wierze. W złej to chyba trzydzieści!

– Ale ona nie jest prawniczką, zdajesz sobie z tego sprawę, Wojtek?

Pies oddalił się trochę za daleko w swoich zapachowych poszukiwaniach. Zagwizdałem przeciągle. Ruki, bo tak się wabi mój pies, a właściwie suka, podniosła łeb, poszukała mnie wzrokiem i popędziła w moją stronę. Pogłaskałem ją w nagrodę, że przybiegła. Żeby była jasność, to nie jest moja zasługa. Trafił nam się bardzo karny pies. Ruki była karna do tego stopnia, że sama nauczyła się siadać na komendę. Nie żartuję. W sumie mam wyrzuty sumienia, że nie poświęciłem więcej czasu na jej szkolenie. Byłaby świetna we wszystkich tych psich sportach.

– Dla mnie to po prostu nie ma sensu – powiedziałem do telefonu.

– Jak bije ją mąż, to odchodzi. Biję ją ten pijak z Katowic. Wyrzuca go z domu. W końcu znajduje faceta, który jest dla niej dobry. Nie bije jej. Chce się z nią ożenić. I co? Zabija go.

– Ale dostrzegasz tu pewną eskalację? – nie wiedziałem, czy producentka żartuje, czy mówi poważnie. Jedna z wad rozmów telefonicznych. Nie widzisz rozmówcy. Znika cała sfera komunikacji

niewerbalnej.

– Pamiętasz, że próbowała sprzedać ziemię przez podstawionego człowieka?

Pamiętałem. Po zabójstwie konkubenta próbowała dokonać transakcji przez słupa. Nabywca nabrał podejrzeń. Zawiadomił policję. Kobieta trafiła z tego powodu na chwilę do więzienia.

– A może to dowód jej niewinności? – rzuciłem.

– Dlaczego?

Wstaję z ławki i zaczynam się przechadzać wzdłuż ogrodzenia placu zabaw.

– Może było tak, jak ona mówi. Ma faceta. Facet wyjeżdża do Niemiec. Niby do roboty...

– Sam ten wyjazd nie wydaje ci się podejrzany? – wtrąca się producentka. – Do tej pory facet tylko przemycał alkohol z Czech i żył z renty ojca.

– No właśnie. Ojciec zmarł. Renta się skończyła. Trzeba się było wziąć do roboty – tłumaczyłem gorączkowo. – Ale wróćmy do tej sprzedaży ziemi. Jej facet wyjeżdża do roboty. Znika. Ona nie ma pieniędzy, a i tak mieli sprzedać ten hektar czy dwa, żeby mieć za co wyremontować dom. To znajduje ziomka, który ma jej pomóc i robi głupotę. Tak, to głupota, ale jej się wydaje, że nie robi nic złego. Po prostu jest samotna, przestraszona, może trochę zdesperowana. Facet wyjechał do Niemiec i zniknął. Wiem, że go tam szukali i nie znaleźli. Ale wiesz co? W Polsce też go szukali i nie znaleźli. Ciągłe nie mamy ciała!

Zdałem sobie sprawę, że chyba mówiłem trochę za głośno, bo rodzice z placu zabaw rzucają mi nerwowe spojrzenia. Odchodzę trochę na bok.

– Wojtek – odezwała się producentka.

– Co?

– Ale pamiętasz, że ona została skazana. Prawomocnym

wyrokiem?

– Tak.

Kończymy tę rozmowę. Wołam psa. Wracamy do domu. W głowie mam same wątpliwości.

II.

– Mogę ci sprzedać ziemię. Świętą ziemię. W Bielsku-Białej – odpowiada mężczyzna, który kiedyś był chłopakiem. Ale chłopak się postarzał. Najpierw ukradł samochód. Potem trafił za to do więzienia. Uważał, że mu to pomogło. Odciął się od kobiety. Wyszedł z więzienia. Znalazł nową. Uciekł w podkarpackie. Założył rodzinę. A teraz siedzi z człowiekiem bez twarzy i próbuje mu wcisnąć nieruchomość zamordowanego.

Człowiek bez twarzy... Cholera. Jestem zmęczony, a to najdziwniejszy element tej historii. W aktach występuje jako świadek incognito. Nie wiadomo, kim jest. Mężczyzna czy kobieta? Stary czy młody? Przyjaciel czy przygodny znajomy? Jak wygląda? Co lubi? Pije wino, piwo czy wódkę? W związku czy samotny? Nic nie wiemy. Trudno. Nie będę tego wymyślał. Człowiek bez twarzy to człowiek bez twarzy. Sylwetka z ciemną jamą na miejscu ust, oczu, nosa.

Gdzie się spotkali? Nie wiadomo? Też tego nie będę wymyślał. Siedzieli naprzeciwko siebie na dwóch krzesłach. Wokół nich tylko biała przestrzeń. Ciągąca się w nieskończoność we wszystkich kierunkach.

– Co to za ziemia? – zapytał człowiek bez twarzy.

– Po jednym facecie, którego zlikwidowaliśmy.

– Zlikwidowaliście?

– Zabiliśmy.

– Aha.

Minęło osiem lat. Przez ten czas nic się nie działo. Był człowiek. Nie ma człowieka. Zniknął. Rozwiązał się jak mgła, jakby nigdy nie istniał. Chłopiec stał się mężczyzną. Rozpoczął nowe życie. Ale kłapie dziobem na lewo i prawo. Opowiada wszystko człowiekowi bez twarzy. Człowiek bez twarzy idzie na policję. Powtarza zasłyszaną historię. Policja zatrzymuje mężczyznę, który był chłopakiem, a ten powtarza swoją opowieść. Potem funkcjonariusze z bronią, w kominiarkach, aresztują wracającą z Sopotu kobietę.

Każdy dobry kryminal powinien mieć bohatera, detektywa, który prowadzi śledztwo. Znajduje winnego. Przywraca elementarną sprawiedliwość. Ta historia tego nie ma. Jest tylko facet, który ma za długi język i postanawia z jakiegoś powodu zniszczyć swoje życie.

12.

Żona skończyła czytać opowiadanie. Siedziała na kanapie. Komputer grzał jej nogi. Zamknęła klapę od laptopa i odłożyła go na bok.

– I jak? – zapytałem.

– Dziwne.

– Bo to dziwna sprawa – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Dziwne, bo dużo tu ciebie.

Kiwnąłem głową.

– A jak inaczej opowiedzieć tę historię? – zapytałem. – Wiesz, tutaj nie ma wyraźnego bohatera. Wszystko jest strasznie niejasne, niezrozumiałe. Niby jest zbrodnia, ale przez lata nic się nie dzieje i nagle bum, ten chłopak z jakiegoś powodu postanawia o wszystkim opowiedzieć; kurczę, nawet nie wiadomo, komu on to opowiedział. I próbował sprzedać ziemię, do której autentycznie nie ma żadnych,

ale to najmniejszych praw. Co mu siedziało w głowie?

– Uważasz, że jest z nim coś nie tak?

– Być może.

– To dlaczego opowiadasz całą tę historię z jego perspektywy? – zapytała.

Zamrugalem kilka razy. Terminy mnie gonią. To cecha tego typu projektów. Kiedy podejmowałem decyzję, że w to wchodzę, wydawało mi się, że będę mieć mnóstwo czasu. Była jeszcze zima. Początek roku. Czerwiec, lipiec ledwo majaczyły gdzieś na horyzoncie. Oczywiście w międzyczasie wszystko zdążyło się wysypać kilka razy, a przez ostatnie dwa miesiące miałem wrażenie, że gasiłem jeden pożar za drugim. W tych warunkach nie miałem czasu przeanalizować porządnie własnego opowiadania.

– Co masz na myśli? – zapytałem. – Tam głównie jest o niej, bo ona jest tutaj najważniejsza.

– Głównie jest o niej – przyznała. – Ale jeśli dobrze zrozumiałam to, o czym mi opowiadałeś, to głównym dowodem na jej winę są zeznania tego chłopaka.

– Dokładnie tak. Do dzisiaj nie znaleziono ciała. Nie ma, z tego co wiem, takich mocnych dowodów materialnych. Są jakieś ślady krwi na ścianach, ale wiesz, że to jeszcze o niczym nie przesądza. Do tego jest tam parę wątpliwości. Na przykład nie wiadomo, jak miałyby się pozbyć zwłok. Niby ten chłopak opisuje, jak to zrobiła, ale jej obrońcy wskazują, że to byłoby niemożliwe. Albo by się ciało nie rozpuściło, albo kości nie spaliły w tej temperaturze. Te sprawy.

– Ale mimo to opisujesz te wydarzenia tak, jakby wszystko, co on powiedział, było na sto procent prawdziwe. Zgodnie z jego zeznaniami. Rozumiesz? Dlatego twierdzę, że napisałeś to z jego perspektywy. I to w sposób, którego sobie nawet pewnie nie uświadamiasz.

– Na przykład?

– Na przykład sposób, w jaki ją opisujesz. Ona niewiele mówi. Tylko „tak”, „nie”, jakieś polecenia. Jakby była zimną maszyną. Nie miała żadnych uczuć. Jest jak potwór. Nawet w stosunku do tego swojego nowego faceta. Tego, z którym tworzyła szczęśliwy związek. On się do niej przytula, głaska ją, przymila się, a ona tylko coś tam zamruczy w odpowiedzi.

– Nie chciałem zrobić z niej potwora – zaprotestowałem.

– Ale tutaj taka jest! W twoim własnym tekście! Mogę ci zadać pytanie?

– Dawaj.

– Czy według ciebie właśnie tak się to wydarzyło?

Kiedy zabierałem się do pracy nad tą historią, wszystko wydawało mi się proste. Zresztą był to jeden z powodów, dla których się na to zgodziłem. Kobieta modliszka, która uwiodła najpierw młodego chłopaka, potem starszego faceta. Zabiła konkubenta dla pieniędzy przy pomocy kochanka. Niby nic nowego, ale jednak ciągle pociągające. W miarę zagłębiania się w tę historię rozumiałem coraz mniej. Nawet nie jeśli chodzi o przebieg wypadków, ale motywacje wszystkich bohaterów tego dramatu. Rozłaziło mi się to w szwach. Kobieta zabija konkubenta, żeby przejąć ziemię, do której nie ma żadnych praw. Modliszka, która potem przez lata tworzy szczęśliwy związek, a jej partner twierdzi, że przeżył z nią najlepsze lata swojego życia. Jakby ta sama osoba miała dwie twarze. A może nawet więcej. Bo wcześniej była przykładną żoną, matką, która porzuciła dziecko i wybrała los prostytutki. Chłopak uwiedziony przez starszą kobietę, który potem od niej ucieka, zakłada rodzinę, ale po latach opowiada na lewo i prawo o zabójstwie, którego był współsprawcą.

– Nie – odpowiedziałem szczerze. – Uważam, że ten facet nie żyje. Ale jak zginął? Kto go zabił, w jaki sposób? Nie wiem. Jestem pisarzem. W głowie pojawia mi się mnóstwo scenariuszy, jak to

wszystko mogło się potoczyć.

– To dlatego nie używasz ich imion?

– Słucham?

– Nie używasz ich imion. Chłopak. Kobieta. Mężczyzna. Nawet ja jestem twoją żoną. A mam imię. Oni również.

– Tak.

– Jakie?

– Florentyna. Albo Nina. Tomasz to ten chłopak. Zamordowany Stanisław. Obecny partner Niny, ten, który nie wierzy w jej winę, to Bogusław.

– Ten pijaczek z Katowic?

– Krzysztof.

– To dlaczego ich nie używasz?

Założyłem ręce za głowę. Odetchnąłem głęboko.

– Nie wiem.

– Na pewno?

Przewróciłem oczyma.

– Dobra. Nie używam ich dlatego, że gdybym to zrobił, to zmieniłbym ich w prawdziwych ludzi. Póki co to tylko jakieś postacie. Literackie figury, które mogę przesuwac w jedną czy drugą stronę. Imiona nadają im tożsamość. Jeśli bym ich użył, to nie pisałbym mojej historii, ale opisywałbym ich. A tej, jak właśnie ustaliliśmy, nie znam. To znaczy, wiesz, mam te wszystkie materiały. To jest potwierdzone wyrokiem sądu. Ale... mam wątpliwości. A to są prawdziwi ludzie. Prawdziwe dramaty. Prawdziwe uczucia. Których nie znam, nie rozumiem. I teraz szukam jakiegoś sposobu, możesz to nawet nazwać unikami, żeby to wszystko opisać, ale przy okazji nie skłamać. Nikogo nie skrzywdzić bardziej niż skrzywdziło ich to, co się już wydarzyło.

Rozłożyłem ręce. Poczulem się pokonany.

– To czym jest ten tekst?

– Jedną z wersji prawdy? – zaryzykowałem odpowiedź. – Impresją na ten temat? Próbą zrozumienia tego, co się wydarzyło?

– Udaną?

Pokręciłem głową.

– Wierzę, że fikcja potrafi być prawdziwsza od prawdy – powiedziałem powoli, próbując ubrać myśli w słowa. Czasami jest to trudniejsze niż się wydaje. Nawet dla pisarza. – A tekst oparty na prawdziwych wydarzeniach może być czystym kłamstwem. Tego się boję. Nie chciałbym skłamać. Ale tę historię da się opisać na wiele sposobów.

Żona odłożyła komputer. Podeszła do mnie i przytuliła się.

– Wiem – mówi.

13.

Fale Bałtyku delikatnie obmywały jej stopy. Kobieta stała z lekko uniesioną głową i marzycielsko zamglonym wzrokiem, jakby śniła na jawie. Pierwsze promienie słońca pieściły jej twarz. Jej stopy powoli zapadały się w chłodny piasek. Wyciągnęła je, pozwoliła, żeby obmyły je zimne fale morza.

Miała około pięćdziesięciu lat. Krótkie włosy. Przeciętnego wzrostu. Nie olśniewała urodą, ale sprawiała miłe wrażenie. Jedna z tych kobiet, z którymi, jak się wydaje, można przyjemnie spędzić czas. Dużo się uśmiechała.

Plaża była niemal całkowicie pusta. W oddali, już w Gdańsku, widać było samotną sylwetkę człowieka, który radośnie bawi się z psem. Biegają po plaży w tę i z powrotem. Z drugiej strony biegł jakiś mężczyzna. Jego stopy uderzały miarowo o mokry piasek, w uszach miał słuchawki. Minął kobietę, kiwając jej głową na powitanie nowego dnia. Odpowiedziała ruchem dłoni. Przy Grand

Hotelu, na białym leżaku, przytuleni do siebie śpią młody chłopak z dziewczyną. Odpoczywają po nocnej zabawie.

Nagle fala rzuciła w kobietę kawałkiem wodorostu. Zachichotała, kiedy roślina ją załaskotała.

Za jej plecami pojawił się mężczyzna. W średnim wieku. Z jego uśmiechniętej, opalonej na brązowo twarzy biło szczęście. Otoczył talię kobiety ramionami, przytulił się mocno do jej pleców. Odetchnął głęboko, wdychając jej zapach. Przez chwilę wydawało się, że zaśnie w tej niewiarygodnej i niewygodnej pozycji.

– Pożegnałaś się już z morzem? – zapytał.

– Tak.

Odwróciła się do niego. Otoczyła szyję rękoma. Pocałowała. Potem jeszcze raz. Poglaskała go po policzku.

– Drapiesz.

– Nie zdążyłem się ogolić.

– Nie szkodzi.

Jakby na potwierdzenie swoich słów pocałowała go ponownie.

– Nie chcę stąd iść – powiedziała.

– Wiem. Ja też nie chcę wyjeżdżać.

– To nie o to chodzi.

– A o co?

Wzruszyła ramionami, jakby bała się odpowiedzieć. Pomyślała, że zdarzają się w życiu ulotne chwile absolutnego szczęścia. One zawsze zaskakują. Pojawiają się nie wtedy, kiedy się ich spodziewamy, ale wtedy, kiedy w ogóle ich nie oczekujemy. Nie w dniu przyjazdu, ale ostatniego dnia, kiedy człowiek żegna się z morzem, plażą i może czymś jeszcze. Nie wiedziała tylko, z czym.

Dopiero później to zrozumiała. W momencie, kiedy ich samochód otoczyła brygada antyterrorystów. Kiedy potężnie zbudowany policjant w kominiarce na twarzy zakładał jej kajdanki na przeguby.

Nie żegnała się z Sopotem. Nie żegnała się z morzem. To był

ostatni dzień jej szczęśliwego życia. Życia, którego tak długo szukała i tak długo o nie walczyła. I to właśnie jemu miała powiedzieć: żegnaj.



Mecenas Dawid Biernat wyjaśnia, że możliwe jest skazanie człowieka za morderstwo nawet wówczas, gdy nie ma ciała, jeśli sąd przeprowadzi bardzo szczegółowe postępowanie dowodowe, dowody zaś tworzą łańcuch poszlak i prowadzą do wniosku, że dany człowiek nie żyje (został pozbawiony życia).



DWA KASZTANY W KIESZENI

**MARTA
GUZOWSKA**

MARTA
GUZOWSKA

Pisarka, archeolożka i dziennikarka naukowa. Jako archeolożka pracowała w Grecji i Izraelu, a także przez kilkanaście lat w Troi, na najśłynniejszym stanowisku archeologicznym świata. Jako pisarka zadebiutowała w 2012 roku powieścią *Ofiara Polikseny*, która zdobyła Nagrodę Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej roku. Po udanym debiucie napisała jeszcze sześć kryminałów i thrillerów, z których trzy: *Głowa Niobe*, *Chciwość* i *Reguła nr 1* również zostały nominowane do Nagrody Wielkiego Kalibru. Jest też autorką wielu opowiadań zebranych w tomach: *Mordercze miasta*, *Kryminalny Wrocław. Mroczne przechadzki po mieście* i *Cztery zbrodnie na cztery pory roku* oraz serii detektywistycznej dla dzieci *Detektywi z Tajemniczej 5*. Marta Guzowska jest współzałożycielką grupy pisarskiej *Zbrodnicze Siostrzyczki* (zbrodniczesiostrzyczki.pl). Prywatnie ma partnera Węgra i dwoje trójjęzycznych dzieci.



„Do tej pory, żeby opowiadać historię zmarłych, kopałam ziemię; by opowiedzieć tę historię, przekopałam się przez tony akt.”

1.

Szesnastego lipca 2000 roku dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni i starszy od niej o trzynaście lat mężczyzna wychodzą z domu i nie wracają.

Nie mogą wrócić. Nie żyją. Zostali zamordowani.

2.

A oto, co się wydarzyło.

3.

Podczas odsiadki zaprzyjaźnia się dwóch mężczyzn.

W sumie nic niezwykłego. Po kilku latach w jednej celi zna się współwięźnia lepiej niż własną żonę. No więc siedzą, zaprzyjaźniają się, jeden obiecuje drugiemu, że jak wyjdą, wprowadzi go w grubsze sprawy. Ten drugi ma nadzieję, że naprawdę tak będzie, odwiedza tego pierwszego już po wyjściu, przywozi mu paczki.

Kiedy ten pierwszy też kończy odsiadkę, proponuje drugiemu udział w dwóch sprawach: łatwej i trudnej.

Łatwe ma być włamanie do domu mężczyzny, który pracował w RPA, rzekomo przy wydobywaniu diamentów. Włamanie nie ma nic wspólnego z tą historią. Nie wiem, czy w końcu do niego doszło.

Trudna sprawa to zlikwidowanie mężczyzny starszego o trzynaście lat od dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni. Pozbycie się go. Zabicie. Usunięcie z drogi. Coś jak przestawienie

krzesła, które stoi w przejściu i zawadza. Czy może raczej: porąbanie tego krzesła na drzazgi.

Ten pierwszy mężczyzna ma na imię Zlatan. Jest obywatelem byłej Jugosławii.

Ten drugi ma na imię Piotr, mówią na niego „Głowa”.

4.

Zlatan jest tylko pośrednikiem. Wynajmuje go wspólnik mężczyzny starszego o trzynaście lat od dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni. Wspólnik zna mężczyznę od szczeniaka, od końca lat siedemdziesiątych. Od 1998 roku zajmują się razem pokątnym handlem węglem pod różnymi kopalniami. Nie wiem dokładnie, na czym to polega, podejrzewam, że pilnują, żeby węgiel odbierały właściwe osoby, a inne, niewłaściwe, żeby im nie przeszkadzały.

Rok później zakładają – znowu razem – firmę windykacyjną. Wspólnik nie widnieje w żadnych dokumentach – to ważne, przez to policja długo nie będzie mogła go namierzyć.

Po jakimś czasie wspólnik dochodzi do wniosku, że lepiej prowadzić firmę samemu. W ogóle wszystkie interesy; nie trzeba się dzielić kasą. Mężczyzna starszy o trzynaście lat od dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni zaczyna mu zawadzać.

Wspólnik zna Zlatana jeszcze sprzed odsiadki tego ostatniego. Daje mu zlecenie. Pewnie wychodzi z założenia, że im więcej pośredników w tym łańcuchu, tym trudniej będzie policji natrafić na ślad. Nie wiem dokładnie, tak przypuszczam.

Wspólnik ma na imię Grzegorz, mówią na niego „Sołtys”.

5.

„Głowa” wynajmuje domek letniskowy przy jeziorze Pogoria, niedaleko Dąbrowy Górniczej. Załatwia też paru facetów do pomocy; wie, że sam sobie nie poradzi.

Wszystko przygotowują: kupują styliska siekier, grube drewniane kije, którymi można walić tak samo mocno jak kijami bejsbolowymi. Dwa dni przed zabójstwem kopią w lesie dół. I przynoszą do domku radio, żeby muzyka zagłuszyła krzyki. A Zlatan przekazuje mężczyźnie starszemu od dziewczyny o trzynaście lat, że jest ktoś, kto chce z nim zrobić interes na węgla.

Pomocnicy „Głowy” noszą imiona Paweł, Mariusz, Przemysław i Tomasz.

6.

Spotykają się na parkingu: „Głowa”, Zlatan, dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzna starszy od niej o trzynaście lat. Stamtąd jadą na spotkanie z tym niby-kontrahentem od węgla. Jadą trzema samochodami: „Głowa” i Zlatan każdy swoim, a mężczyzna i dziewczyna razem. Po drodze Zlatan dzwoni jeszcze do „Głowy”, żeby ustalić ostatnie szczegóły. Ważne jest na przykład, kto w jakiej kolejności wejdzie do domku.

Potem „Głowa” dzwoni do swoich pomocników, żeby byli gotowi.

7.

Dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni zostaje pobita drewnianymi styliskami do siekier oraz pięściami, w głowę, klatkę piersiową, ręce i nogi.

8.

Mężczyzna starszy od dziewczyny o trzynaście lat obrywa kolbą pistoletu w tył głowy, pewnie po to, żeby stracił przytomność, żeby się nie szarpał, nie walczył. Później też zostaje pobity drewnianymi styliskami do siekier i pięściami: oprawcy łamią mu nos, kość ciemieniową lewą i kość czołową.

9.

Ze wszystkich kości twarzoczaszki kość czołową złamać najtrudniej. Jej powierzchnia tworzy naturalny łuk, a łuk to najmocniejsza z istniejących struktur. Dlatego skuteczny jest cios z tzw. byka, można czołem rozwalić komuś nos, a samemu ledwo co poczuć. Jak mocno trzeba bić, żeby złamać tę kość?

10.

Mordercy kiepsko się znają na robocie. Wałą na oślep, a dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzna starszy od niej o trzynaście lat ciągle żyją. „Głowa” wychodzi z domku, żeby spytać Zlatana, co robić. Ten każe dusić.

Dziewczynie mordercy zakładają na głowę worek foliowy i zadzierzgują na szyi sznurek.

Mężczyznę duszą jego własnym skórzanym paskiem i sznurówkami wywleczonymi z jego własnych butów. I też zakładają mu na głowę worek foliowy.

Później, dużo później, mordercy zeznają, że kiedy zakładali im te worki, mężczyzna charczał. Dziewczyna była nieprzytomna.

Ciała zawijają w narzuty i wrzucają do tego dołu w lesie, który wykopali wcześniej.

11.

Narzuty są ze sztucznego misia, takiego byle jakiego futerka, w kolorze bordo. Właściciele domku zeznają, że należą do wyposażenia. Kto, na litość boską, przykrywa meble sztucznym misiem w kolorze bordo?

12.

Zastanawia mnie Zlatan. Dlaczego nie jest obecny przy egzekucji, tylko czeka na zewnątrz domku? Taki jest delikatny? Nie może znieść widoku morderstwa? Jeśli tak, to zdecydowanie wybrał sobie zły zawód.

13.

Mordercy nigdy nie dostają pieniędzy. Jeszcze tego samego wieczora zabierają mercedesa mężczyzny starszego o trzynaście lat od dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i jadą na trzy dni nad morze, odreagować. Robią to w Ustroniu Morskim, głównie w knajpach, upijają się i bawią. Po trzech dniach wracają i oddają samochód Zlatanowi, a ten zwraca auto byłej żonie mężczyzny starszego o trzynaście lat od dziewczyny z dwoma kasztanami w

kieszeni.

Zlatan wyjeżdża na Bałkany i znika.

14.

Stop.

Skąd wiadomo, co zaszło w domku nad jeziorem Pogoria? I o tych styliskach od siekier? O tych narzutach z bordowego misia? O tym, że mężczyzna starszy od dziewczyny o trzynaście lat miał złamaną kość czołową? I o tym, że dziewczyna miała w kieszeni kasztany?

Bo przecież stan na wieczór szesnastego lipca 2000 roku jest taki, że dziewczyna i mężczyzna nie wracają do swoich domów. Mordercy odjeżdżają. Nad jeziorem Pogoria zapada noc.

15.

Czym się różni archeologia od śledztwa policyjnego?

Niczym.

I archeolog, i śledczy pracują na ludzkim nieszczęściu.

Tak, dobrze zrozumieliście.

Trzęsienie ziemi, które niszczy wioskę, to dla archeologa okazja, żeby zbadać domy uwiecznione w chwili katastrofy. Grób – okazja do ustalenia, jak wyglądali ludzie w okolicy przed kilkoma tysiącami lat. Kilkanaście srebrnych rzymskich monet rozsypanych na podłodze legionowej łaźni – okazja do precyzyjnego datowania posadzki.

Archeolog nie myśli o tych, którzy zginęli pod walącymi się ścianami, ani o tych, którzy opłakują zmarłych, kiedy kładą ich do grobów, ani o młodym legionście, który zgubił z trudem uciulane

pieniądze. Od nieszczęścia, lamentu, rozdzierania szat i wrywania włosów oddziela go nauka. Metody, metodologia, techniki badawcze. Skład gleby, kolejność warstw ziemi, obraz rysujący się na ekranie magnetometru protonowego, skład mineralny szkliva na zębach szkieletu...

Śledczy też nie powinien myśleć o cudzym nieszczęściu. Myślenie o tym nie pomaga schwytać sprawców.

16.

Czym różni się praca archeologa od pracy śledczego?

Niczym.

I jeden, i drugi musi odpowiedzieć na pytanie: co się stało? Jak dokładnie przebiegało wydarzenie, które pozostawiło ślady? Kto brał w nim udział? Kim jest ofiara? I najważniejsze: kim jest przestępca?

Jedyną różnicą jest czas. W śledztwie często liczą się godziny, a już na pewno dni. Dla archeologa czas liczy się w tysiącletniach albo co najmniej w stuleciach. Przez ten czas ślady się zacierają, bledną i nikt nie odpowie na pytanie: „kto zabił?” na podstawie DNA na filtrze z papierosa...

Ale nie zawsze tak jest. Czasem śledczy musi rozwikłać zagadkę zbrodni, która wydarzyła się przed laty. I wtedy, tak jak archeolog, podąża po na wpół zatartych śladach.

17.

Do tej pory, kiedy chciałam opowiedzieć historię zmarłych, przekopywałam się przez ziemię. Żeby opowiedzieć o śmierci dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat, przekopuję się przez tony akt.



18.

Z akt dowiaduję się, że dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni mieszka z rodzicami. Matka i ojciec zeznają później podczas przesłuchania, że jest dobrą córką, że dzwoni, kiedy ma nie wrócić na noc. Ale rodzice zawsze się martwią. Zwłaszcza, że ich córka z dwoma kasztanami w kieszeni od maja spotyka się z mężczyzną starszym od niej o trzynaście lat. Spora różnica wieku, która matka by się nie martwiła, który ojciec by się nie zastanawiał? Ale z drugiej strony rodzicom chyba też trochę się podoba starszy absztyfikant, który ma pieniądze, fajny samochód, nieźle się ubiera. Raz podwiózł gdzieś mamę dziewczyny; na przesłuchaniu zeznała, że jechała jego mercedesem. I przecież widzą to, co podczas przesłuchania potwierdzają dwie przyjaciółki dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni: że starszy o trzynaście lat mężczyzna o nią dba, jest miły, czuły. Może ich córka wcale źle nie trafiła... Aż do nocy z szesnastego na siedemnasty lipca 2000 roku nie mają specjalnego powodu, żeby się martwić. Tylko takie tam normalne powody. Codzienne.

Rodzice dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni mają na imię Anna i Józef.

Jej brat ma na imię Adam.

19.

Pewnie martwiliby się bardziej, gdyby dokładnie znali sytuację rodzinną mężczyzny starszego od ich córki o trzynaście lat. Który jest po rozwodzie i sam ma dwie córki.

Ale to nie o rozwód chodzi i nie o dzieci. Bardziej o to, że mężczyzna starszy od dziewczyny o trzynaście lat nigdy na dobre

nie opuszcza pierwszej rodziny. W 1997 roku, po pięcioletniej odsiadce, wraca, a była żona daje mu drugą szansę. Kupują nawet działkę, żeby wybudować dom, ale ostatecznie nic z tego nie wychodzi. Mężczyzna wynajmuje oddzielne mieszkanie, ale u byłej żony i dzieci przebywa często i długo. Czy mieszka u nich? Czy jego dziewczyna, ta z kasztanami w kieszeni, ma tego świadomość?

Nie wiem.

Żona mężczyzny starszego od dziewczyny o trzynaście lat ma na imię Danuta, a jego córki – Anna i Jolanta.

20.

Rodzice dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni martwiliby się jeszcze bardziej, gdyby wiedzieli o szemranych interesach mężczyzny starszego od ich córki o trzynaście lat. Bo on na początku lat dziewięćdziesiątych wylatuje z policji za wzięcie łapówki. Niedługo później zostaje zatrzymany za paserstwo i handel kradzionymi samochodami i spędza w więzieniu pięć lat. W 1999 roku, po strzelaninie pod kopalnią „Piast” w Bieruniu, zostaje zatrzymany na czterdzieści osiem godzin, ale niczego mu nie udowadniają.

Na miejscu rodziców dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni też bym się martwiła. Ale kto w latach dziewięćdziesiątych nie prowadzi dziwnych biznesów? I kto spośród właścicieli tych biznesów żyje w idealnej, doskonałej zgodzie z prawem? No, kto?

Takie czasy.

Zawsze tak wiele zależy od tego, jakie akurat są czasy.

21.

Kiedy dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni nie wraca na noc do domu i nie dzwoni, jej brat zaczyna poszukiwania. Od przyjaciółek siostry dowiaduje się, że mężczyzna starszy od niej o trzynaście lat ma żonę, a w każdym razie była żoną. Była żona potwierdza, że jej były mąż też wyszedł z domu szesnastego lipca i też nie dał od tamtej pory znaku życia.

Osiemnastego lipca, dwa dni po zaginięciu dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni, jej brat składa w komendzie policji w Bielsku Białej doniesienie o zaginięciu siostry. Rozmawia z byłą żoną mężczyzny starszego o trzynaście lat, namawia ją, żeby również zgłosiła zaginięcie męża. Była żona robi to, ale wiele dni później. Nie wiem, dlaczego.

Nie wiem też, jak się nazywa policjant, który przyjmuje zgłoszenia. Zresztą, czy to takie ważne?

22.

I tyle. Nic się więcej nie dzieje. Tylko rodzina dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni żyje w przekonaniu, że stało się coś bardzo, ale to bardzo złego. W końcu wiele młodych, atrakcyjnych dziewczyn znika bez śladu, a potem odnajdują się w burdelach w Mexico City. Albo nie odnajdują się nigdy. Czy rodzina myśli, że to mężczyzna starszy o trzynaście lat od ich siostry i córki stoi za jej zniknięciem? Nie wiem.

Czy była żona mężczyzny martwi się o niego? Nie wiem. Tego nie ma w aktach, przez które się przekopuję.

Wiem tylko, że obie rodziny żyją w niewiedzy aż do 2003 roku.

Pierwszy ślad pojawia się dopiero trzy i pół roku po zaginięciu.

Właściwie nawet nie ślad. Drobną wzmianką. Nie wiadomo, czy prawdziwa. Nie wiadomo, czy to nie zwykłe przechwałki bandziorów. Ludzie podczas przesłuchań mówią różne rzeczy. Chcą zwalić winę na innych. Chcą wytargować niższy wyrok. Nie ma sensu wierzyć we wszystko.

W grudniu 2003 roku, a dokładnie czwartego tego miesiąca, w Barbary, trzech policjanci z komendy w Wodzisławiu Śląskim jadą na przesłuchanie do więzienia w Raciborzu. Prowadzą dochodzenie dotyczące włamań, rozbojów i napadów na terenie Wodzisławia Śląskiego, a więc w sprawie zupełnie innej. Kiedy przekraczają próg więzienia, pewnie w ogóle nie pamiętają, że ktoś kilka lat wcześniej zgłaszał zaginięcie dwóch osób. Może w ogóle o tym nawet nie wiedzą.

Przesłuchiwany więzień zeznaje, że słyszał o podwójnym morderstwie dokonanym w ośrodku wypoczynkowym nad jeziorem Pogoria, koło Dąbrowy Górniczej. Słyszał o tym od bezpośrednich sprawców. Podobno. Wszystko w jego opowieści jest „podobno”. Podobno morderstwo zlecił „Głowa”. Podobno działał razem z innym przestępcą o podwójnym obywatelstwie. Podobno wspólnie z czterema innymi mężczyznami miał zwabić do ośrodka dwie osoby i zamordować, a ciała zakopać w lesie.

Więzień, który opowiada o tym wszystkim policjantom w Raciborzu, ma na imię Paweł (tak samo jak jeden z morderców, ale to nie ta sama osoba).

Policjanci noszą imiona Jarosław, Eugeniusz i Marek.

24.

Pytam kumpla-prawnika, jak to wygląda, takie zeznania. Normalnie, odpowiada, chociaż może to normalne dla niego, ale nie dla mnie. Dwóch facetów siedzi razem w celi. Po paru latach zaczynają mieć do siebie zaufanie i jeden opowiada drugiemu, co zrobił. Albo: jeden więzień podsłuchał, co inni gadają pod celą. Albo: więzień chwali się drugiemu: zaciukałem tych i tych. Bo wtedy wznosi się oczko wyżej w więziennej hierarchii. A potem, podczas przesłuchania, ten, który to usłyszał, mówi policjantom: mam dla was niezłą historię, jak mi obniżycie wyrok, to wam opowiem. Policjanci prawie zawsze na to idą. W ten sposób rozwiązują czasami sprawy prawdziwie archeologiczne, pogrzebane od lat. Jak ta.

25.

Przez prawie rok nie dzieje się nic. To znaczy może dzieje się w głowach śledczych. Ale nie ma po tym śladu na papierze. Dlaczego? Nie wiem. Nie wiem naprawdę wielu rzeczy.

26.

Sprawa rusza ponownie pod koniec 2004 roku.

Ósmego października aspirant sztabowy z Komendy Powiatowej Policji w Wodzisławiu Śląskim składa pismo o wszczęciu dochodzenia.

Aspirant sztabowy ma na imię Eugeniusz.

Trzynastego i czternastego października więzień z Raciborza, ten,

który ma na imię Paweł, jest przesłuchany w tej sprawie jeszcze dwa razy.

27.

Więzień, który ma na imię Paweł, jest przesłuchiwany ponownie piętnastego grudnia 2005 roku, tym razem przez Centralne Biuro Śledcze. Przesłuchują go starszy aspirant z wydziału do zwalczania zorganizowanej przestępczości kryminalnej, zarząd w Katowicach, oraz nadkomisarz z CBS Komendy Głównej Policji w Katowicach. Pokazują mu tablice ze zdjęciami osób podejrzanych o zabójstwa i członków grup przestępczych. Do jednej z nich więzień, który ma na imię Paweł, należy od 2000 roku.

Więzień, który ma na imię Paweł, zna morderców, ze szkoły, z podwórka, z siłowni w Będzinie. Twierdzi, że od czasu do czasu rozmawiali o zabójstwie. Ponoć widział nawet dowody osobiste zamordowanych (wspomina, że to były takie książeczki, takie w zielonej oprawie). Myśli, że ofiary były parą, może małżeństwem. Wymienia nazwiska morderców.

Starszy aspirant, który go przesłuchuje, ma na imię Wojciech, a nadkomisarz – Grzegorz.

28.

Ale wcześniej, w połowie 2005 roku, śledztwo wkracza w decydującą fazę.

Trzynastego czerwca – przesłuchanie recepcjonistki z ośrodka wypoczynkowego Pogoria I. Recepcjonistka ma na imię Urszula.

Tego samego dnia – przesłuchanie właścicielki połowy ośrodka, do

której należą parzyste domki. Ten, w którym dokonano morderstwa, nosi numer siedem, jest nieparzysty. Właścicielka ma na imię Genowefa.

Piętnastego i siedemnastego czerwca – pierwsze oględziny ośrodka. Biorą w nich udział sierżant, nadkomisarz, drugi nadkomisarz i starszy aspirant. Towarzyszy im przewodnik psa wyszkolonego do wyszukiwania zwłok. Nic nie znajdują. Sierżant ma na imię Sebastian, nadkomisarze – Krzysztof i Grzegorz, a starszy aspirant – Piotr. Przewodnik psa ma na imię Krzysztof. Nie wiem, jak wabi się pies, ale pochodzi z Bielska Białej.

Siedemnastego czerwca – dalsze poszukiwania. Policjanci zwracają się do leśniczego z prośbą, żeby wskazał na mapie miejsca z nienaturalnymi zmianami. Miejsca te zostają następnie przekopane. Nic. Leśniczy ma na imię Zbigniew.

Piątego lipca – kolejne przesłuchanie: małżeństwa, właścicieli domków nieparzystych. Opowiadają, że w połowie lipca 2000 roku w domkach numer pięć i siedem przebywali młodzi ludzie, głośno się zachowywali. Mieli psa pitbulla. Właścicielka ośrodka poszła ich uciszyć, ale ją zwyzywali, poszczuli psem. Wtedy wezwała policję. Policja wylegitymowała tych młodych ludzi, ale nie wszystkich, bo część z nich uciekła. To nie byli mordercy. Podobno też (innego dnia? tego samego?) w domku numer pięć były dwie młode dziewczyny, dziecko i mężczyzna. Ten mężczyzna, pijany, wytoczył się z piątki i chciał wejść do siódemki. „Głowa” go nie wpuścił. Nie wiem, jak się nazywali ci ludzie, nie dotarłam do policyjnych zapisków z tego dnia. Nie jestem pewna, czy właścicielom ośrodka nie popieprzyły się daty.

Właściciele domków nieparzystych noszą imiona Małgorzata i Zbigniew, a starszy aspirant, który ich przesłuchuje, ma na imię Piotr.

Dwudziestego lipca – dalsze poszukiwania na terenie ośrodka.



Policjanci nakłuwają ziemię mackami saperskimi, ale niczego nie znajdują. Niczego nie wskazuje też pies, który przyjechał z opiekunem. Pies nazywa się Nagler, a jego opiekun ma na imię Grzegorz.

29.

W czerwcu policja przeprowadza też trzy eksperymenty procesowe w ośrodku nad Pogorią. Biorą w nich udział mordercy: Mariusz, Tomasz i Paweł. Dla policji są na razie podejrzanymi; jeszcze za mało dowodów.

Eksperyment procesowy to coś jak sztuka teatralna. Odtworzenie, z jak największą dokładnością, tego, co się wydarzyło. Żeby sprawdzić, czy to się rzeczywiście mogło wydarzyć i w taki sposób, jak w zeznaniach.

Na czym polegają te konkretne eksperymenty? Czy mordercy pokazują, jak mordowali? Gdzie kto stał, kto kogo trzymał? Czy któryś z policjantów wciela się w rolę dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni, a inny w rolę starszego od niej o trzynaście lat mężczyzny?

Nie wiem.

30.

Później śledczy zbierają w domku numer siedem takie same dowody, jakie zebrałby archeolog:

- dwa kawałki papieru toaletowego z plamami substancji koloru brunatnego,
- zeszkrobany z sufitu materiał, przeniesiony na jałową

wymazówkę,

– zeszkrobany z podłogi materiał, przeniesiony na jałową wymazówkę,

– tak samo ze ścian.

31.

Co jest najważniejsze dla archeologa?

Co jest najważniejsze dla śledczego?

Trzy rzeczy: ustalenie miejsca zdarzenia, ustalenie czasu zdarzenia i identyfikacja, czyli ustalenie, kto został zamordowany.

32.

Co do miejsca, to w połowie 2005 roku prowadzący śledztwo policjanci mają już powody, żeby przypuszczać, że je znają. Ale tylko mniej więcej. Z zeznań wiedzą, że morderstwa dokonano w domku numer siedem. Ale gdzie pogrzebano zwłoki?

To jest najtrudniejsze. Przez pięć lat las bardzo się zmienia. Rocznie przyrasta na hektar około tony biomasy. Przez pięć lat – pięć ton!

Ale kiedy archeolog szuka grobu sprzed, dajmy na to, trzech tysięcy lat, też musi założyć, że teren się zmienił. Śledczy w sprawie zabójstwa nad jeziorem Pogoria przynajmniej wiedzą, że na miejscu nadal rosną drzewa. Przez tysiące lat las może się pojawić, zniknąć, a potem jeszcze raz pojawić i nawet jeszcze raz zniknąć. Archeolog musi mieć na to sposób.

Ten sposób nazywa się georadar.

Aparatura składa się – między innymi, bo jest tam dużo różnych

wihajstrów – z dwóch anten: nadawczej i odbiorczej. Antena nadawcza emituje w głąb ziemi falę elektromagnetyczną, która ulega odbiciu, załamaniu i tłumieniu – w zależności od tego, na co natrafi. Fala odbita rejestrowana jest przez antenę odbiorczą. Otrzymany obraz falowy jest odzwierciedleniem budowy geologicznej ośrodka.

Dobra, prościej. Antena nadawcza nadaje. Antena odbiorcza odbiera. W międzyczasie fale elektromagnetyczne wędrują w głąb ziemi i odbijają się od różnych rzeczy, które się tam kryją. A czasem nie odbijają się wcale. Brak informacji to też informacja.

Te informacje analizuje komputer. Jeśli anteny mają dużą rozdzielczość, a nadajnik – sporą moc, można w ten sposób uzyskać ładny obrazek tego, co jest pod ziemią, bez wbicia łopaty.

To się oczywiście tylko łatwo mówi. Antenę trzeba ustawić tak, żeby emitowała falę jak najbardziej prostopadłe do ziemi. Montuje się ją na specjalnym rusztowaniu, a rusztowanie za pomocą uprząży zakłada na ramiona badacza. I badacz maszeruje z tą anteną w tę i we w tę, najczęściej po siatce kwadratów: najpierw po liniach równoległych, a potem po prostopadłych. To ciężka praca, zwłaszcza w środku lata, kiedy żar leje się z nieba, a chodzić trzeba równym krokiem i nie można przyspieszyć, żeby schronić się w cieniu, bo obraz wyjdzie zamazany. Czy już wspomniałam, że cały ten sprzęt waży killkanaście kilo?

Mam nadzieję, że w lesie koło Pogorii było dużo drzew i dużo cienia.

Pomiary są prowadzone dwunastego sierpnia, na obszarze w pobliżu jeziora Pogoria, wyznaczonym przez policjantów. Nie wiem, jaka jest wtedy pogoda.

Siatka, po której chodzą badacze z radarem na plecach, ma metr na metr. Anteny ekranowe mają częstotliwość 500 megaherców. Sprzęt daje możliwość badania gruntu do głębokości trzech metrów,

ale geofizycy analizują zaburzenia ciągłości gruntu do dwóch metrów w głąb. Łącznie wykonują trzydzieści siedem profili o długości od piętnastu do trzydziestu metrów. Profile są bardzo ładne i czytelne.

Problem tylko w tym, że po pięciu latach z ciał zostaje niewiele. A kości są cienkie, przynajmniej z punktu widzenia geologa, cieńsze niż inne rzeczy schowane pod ziemią. To znaczy, że na georadarze nie wyjdą.

Ale wyjdzie coś innego. Geolodzy nazywają to zaburzeniem ciągłości naturalnego warstwowania gruntu. Mówiąc po ludzku, jest to jama. Wkop. Dziura w ziemi. Albo grób. Grób, w którym pochowano dwa ciała, na tyle duży, że powinno się go dać zobaczyć na georadarze.

Jest jeszcze kolejny problem: pod ziemią dużo się dzieje. Zwłaszcza w takim miejscu jak las koło ośrodka wypoczynkowego, nad jeziorem. Bo na przykład ktoś nie chce płacić za wywóz śmieci i nielegalnie zakopuje je w lesie. Albo komuś zdechnie pies i też pójdzie go zakopać do lasu. Takie doły wychodzą na georadarze.

Więc geofizycy nad Pogorią nanoszą na mapę nie jedno, ale kilka miejsc, w których ziemia została zaburzona. Konkretnie pięć punktów głównych oraz kilka punktów pośrednich, czyli takich, które dają na georadarze mniej wyraźny obraz.

Policjanci przekopują najpierw te główne. I znów niczego nie znajdują. Ale jeden z punktów pośrednich pokrywa się z miejscem, na które reaguje pies wyszkolony do odnajdywania zwłok.

Radar, którego używają geolodzy, nazywa się Geomac, jest szwedzkiej produkcji. Geofizycy z Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie noszą imiona Jerzy, Jerzy (tak, dwóch Jerzych) oraz Łukasz.

Pies wyszkolony w odnajdowaniu zwłok wabi się Macka.

33.

„Na głębokości 47 centymetrów ujawniono kości ludzkie w postaci kolana. Rozpoczęto powolne rozkopywanie terenu, tworząc jamę grobową, która wynosiła trzy na nieco ponad dwa metry. Po otworzeniu jamy na tak zwanym katafalku ziemnym na głębokości jednego metra ujawniono podwójne zwłoki ludzkie”.

(Kiedy posługuję się żargonem śledczym, łatwiej mi opanować emocje. Powtarzam słowa z raportu i czasem udaje mi się nie myśleć, że kości należą do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat.)

34.

Miejsce jest. Teraz czas.

Kiedy zginęły osoby, których szczątki znaleziono?

W rzeczywistości nigdy nie jest tak jak w kryminałach, że wchodzi lekarz, zerka na ciało i mówi: „Zgon nastąpił w piątek, o szesnastej trzydzieści trzy, z dokładnością do pięciu minut”. Kiedy zwłoki są świeże – a także, co ważne, śmierć nie nastąpiła w zimie – można ustalić czas zgonu na podstawie stadiów rozwojowych żerujących na ciele larw muchówek. Tak, jesteśmy częścią przyrody. I przyroda dopomina się o nas, kiedy wydamy ostatnie tchnienie. A muchy przechodzą przez stadia rozwojowe na tyle szybko, że wychodzi z tego całkiem precyzyjny zegar śmierci.

Tylko w zimie nie. W zimie muchy nie latają.

Ale dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni i starszy od niej o trzynaście lat mężczyzna zostali zamordowani w lecie. I nawet w tym krótkim czasie, jaki upłynął od ich śmierci do pochowania ciał,

jakieś muchy na pewno zdążyły złożyć jaja na zwłokach. Ale na tej podstawie nie da się już niczego ustalić. Ciała zbyt długo leżą w ziemi. Większość tkanek miękkich ulega rozkładowi, a razem z nimi wszystkie jaja i larwy, które może się z jaj wykluły. A kości... Kości są (nieomal) wieczne. Wyglądają tak samo po pięciu latach, po dwudziestu pięciu i po stu.

Archeolog radzi sobie z tym w inny sposób. Przez stulecia i tysiąclecia ziemia się nawarstwia. Archeolog przekopuje się powoli przez te warstwy, jak przez tort. To, co niżej, jest starsze od tego, co wyżej. Przedmioty, które znajduje, traktuje jako kalendarz.

Ale to kalendarz bardzo mało precyzyjny. Archeolog jest szczęśliwy, jeśli może określić czas śmierci z dokładnością do stu lat. A śledczy z Pogorii muszą ustalić, czy osoby, których szczątki znaleźli, zostały zabite szesnastego lipca 2000 roku.

Oglądanie warstw ziemi nic by im nie dało: w ciągu pięciu lat przybyło tej ziemi może kilka milimetrów. Śledczy mają nadzieję, że same ciała coś im powiedzą.

35.

Bo zmarli mówią. Niektórzy krzyczą.

W jamie, którą wyznaczył georadar oraz pies imieniem Macka, znajdują się dwa ciała w stanie prawie całkowitego rozkładu tkankowego. Przy ciałach są fragmenty mocno zbutwiełej odzieży: koszuli, butów, rajstop oraz krawata z nadrukiem Pierre Cardin.

Najpierw odsłonięte zostaje pierwsze ciało. Po ściągnięciu wierzchnich warstw kopiący policjanci widzą tkaniny koloru brązowego, a pod nimi bryłę ziemi, z której wystają długie kości kończyn dolnych. Na szczycie bryły znajduje się coś, co wygląda na oko jak kości czaszki. Widoczne są też włókna bordowego materiału

oraz pas folii. Zachowane szczątki odzieży to strzępy koszuli, krawat firmy Pierre Cardin i fragmenty spodni oraz półbuty bez sznurowadeł w kolorze czarnym.

36.

Mężczyzna starszy od dziewczyny o trzynaście lat ubrał się elegancko na spotkanie z nowym, nieznanym kontrahentem. A może ubierał się tak na co dzień?

37.

Drugie ciało leży na północ od pierwszego. Fragmenty kości dolnych obleka tkanina przypominająca rajstopy.

38.

Czy to znaczy, że szesnastego lipca 2000 roku dzień był za chłodny, żeby chodzić z gołymi nogami? Czy dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni też chciała być na to spotkanie wyjątkowo elegancka?

39.

Obecni na miejscu anatomopatolog i prokurator oglądają zwłoki, a policjanci zabezpieczają ślady. Potem pakują szczątki w worki foliowe i przewożą do zakładu medycyny sądowej w

Katowicach, na sekcję zwłok.

Zwłoki są prawie całkowicie zeszkieletonowane. Prawie. Tułowia i nogi obu ciał częściowo rozłożyły się i wyschły; anatomopatolodzy znajdują też pozostałości tkanek miękkich w czaszce dziewczyny. Głowy, szyje, klatki piersiowe, ręce, części nóg – to już tylko kości.

Ale kości też krzyczą.

Zwłoki mężczyzny są ułożone na prawym boku w ziemnej jamie. (Nie chcę już nazywać tego miejsca grobem. Grób to miejsce, gdzie składa się zmarłych, żeby o nich pamiętać. Dół wykopany nad jeziorem Pogoria jest miejscem, gdzie wrzucono ciała, żeby o nich zapomnieć.)

I znowu trochę antropologicznego żargonu przy opisie pozycji kości. Czaszka zwrócona w prawą stronę do podłoża. Kości lewej dłoni pod lewym biodrem. Kości prawej ręki pod pośladkiem. Kości nóg zgięte w stawach biodrowych i kolanowych pod kątem ostrym. Prawa stopa na lewej. Podudzia skręcone w lewo.

Wszystko wskazuje na to, że jama była za ciasna. Wykopana na jedne zwłoki. Ciało w niej upchnięto.

Kości czaszki dziewczyny znajdują się pod kośćmi kończyn mężczyzny. Każdy archeolog powie od razu, że dziewczynę wrzucono do jamy jako pierwszą. Skąd ta kolejność? Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Może jama jest wykopana niestarannie i ściany nie schodzą do dna prostopadle? Na dole może być mniej miejsca niż na górze. A może dziewczyna jest lżejsza niż mężczyzna, a mordercy chcą najpierw odwalić łatwiejszy kawałek roboty?

Zwłoki dziewczyny leżą na lewym boku. Kości lewej ręki pod kośćmi tułowia. Kości przedramienia wzdłuż kości uda, kości dłoni w okolicy lewego kolana. Prawa noga mocno zgięta w stawie biodrowym i kolanowym. Kość prawego ramienia przykrywa czaszkę. Wygląda, jakby dziewczyna osłaniała ręką głowę. Ale to złudzenie. Kiedy wrzucają ją do jamy, jest nieprzytomna albo nie

żyje.

Kości przedramienia znajdują się przed twarzoczaszką, są skierowane dłonią ku dołowi i silnie zgięte w stawie nadgarstkowym. Dlaczego? To akurat wiem.

Na kościach przedramienia dziewczyny widać pasek srebrnej folii. Podobne fragmenty są widoczne na dolnej części czaszek obu ofiar i w okolicy innych kości. To taśma izolacyjna. Mordercy zakleili nią usta dziewczyny i mężczyzny, skrupowali im ręce i nogi. To dlatego nadgarstek dziewczyny jest tak ostro zgięty.

40.

Anatomopatolodzy identyfikują uszkodzenia kości. Fachowo to się nazywa uszkodzenia przyżyciowe, to znaczy takie, które powstały za życia. Bo przecież może się zdarzyć, że silne korzenie drzewa, zwierzę ryjące albo nawet człowiek (może ten, który próbuje nielegalnie zakopać w lesie śmieci) uszkodzi kości, kiedy są już w ziemi. Ale anatomopatolog bez trudu potrafi odróżnić, czy zostały złamane za życia, czy po śmierci.

Jeszcze bardziej fachowo takie uszkodzenia nazywa się po łacinie *perimortem*. Znaczy to, że powstały nieomal w czasie śmierci, tuż przed albo tuż po. Ale nie wiadomo, czy to właśnie one spowodowały zgon.

Mężczyzna ma uszkodzoną kość nosową, obie kości ciemieniowe (te, które znajdują się u góry i po bokach czaszki) i kość czołową, tę najmocniejszą. Wszystkie złamane, kiedy jeszcze żyje.

Na kościach dziewczyny nie ma zmian urazowych: jej nie bili tak jak mężczyznę. Dość mocno, żeby zadać ból, ale nie na tyle mocno, żeby połamać kości.

41.

Na szkielecie mężczyzny widać dwie pętle, z paska skórzanego i sznurówki, zawiązane ciasno na poziomie szyi. Obok szkieletu dziewczyny, a konkretnie tuż obok czaszki, policjanci znajdują pozostałości worka foliowego, oklejonego okrężnie taśmą. Ślady po podobnym worku są też obok czaszki mężczyzny.

Już to pisałam, że większość obu ciał zamieniła się w szkielety, prawda? Dlatego anatomopatolodzy nie mogą jednoznacznie określić przyczyny zgonu. Ale złamane kości czaszki, pętle ze sznurówek i paska na szyi mężczyzny krzyczą. Mężczyzna prawdopodobnie umiera z powodu obrażeń głowy lub uduszenia przez zadzierzgnięcie.

Krzyczy też worek foliowy oklejony okrężnie taśmą, znaleziony obok czaszki dziewczyny. Dziewczyna prawdopodobnie umiera z powodu uduszenia.

Biegła sądowa z zakresu anatomopatologii ma na imię Zofia. Ekspert Laboratorium Kryminalistycznego Komendy Wojewódzkiej Policji w Katowicach ma na imię Andrzej. Prokurator obecny przy oględzinach zwłok ma na imię Leszek.

42.

Nadal nie wiadomo, czy mężczyzna i dziewczyna z jamy nad jeziorem Pogoria to dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzna starszy od niej o trzynaście lat. Antropolodzy przyglądają się kościom jeszcze dokładniej.

Szkielet mężczyzny łatwo odróżnić od szkieletu kobiety, wystarczy popatrzeć na kości miednicy. Na coś, co antropolodzy nazywają

kątem spojenia łonowego. To miejsce, w którym łączą się kości: tędy u kobiety wychodzi z brzucha dziecko. Dlatego u kobiet ten otwór jest duży i owalny, a u mężczyzn mniejszy i w kształcie litery V (mniej więcej). Szkielet na dole jamy na pewno należy do kobiety, ten nad nim – na pewno do mężczyzny.

To pasuje do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat. Ale to ciągle za mało informacji.

Badając szkielet, można dowiedzieć się, ile mieli wzrostu: mierzy się kości udowe (to te najdłuższe w ciele) i oblicza według specjalnego wzoru. Wychodzi, że mężczyzna miał około 175 centymetrów – niezbyt wysoki, ale nie niski. Kobieta miała jakieś 156 centymetrów. Różnica wzrostu przyjemna dla oka, mogła nosić przy nim szpilki.

To pasuje do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat. Ale to ciągle za mało informacji.

Łatwo też jest sprawdzić, ile zamordowani mieli lat. Czaszka składa się z kilku oddzielnych kości, łączą je tak zwane szwy. (Gdyby czaszka była jedną kością, mózg nie mógłby urosnąć i jako dorośli mielibyśmy głowy małe jak niemowlęta, bo większe nie zmieściłyby się w kanale rodny kobiety.) Z wiekiem te szwy tracą wyrazistość, zrastają się, coraz trudniej odróżnić je od powierzchni kości. No i są jeszcze zęby. Kiedy człowiek się starzeje, ich powierzchnia się ściera. I jeszcze stawy biodrowe, których powierzchnia zużywa się z wiekiem. Na podstawie stanu zębów, zużycia powierzchni stawów biodrowych i zrośnięcia szwów czaszkowych patolodzy orzekają, że mężczyzna miał w chwili śmierci około trzydziestu–czterdziestu lat. Kobieta – dwadzieścia do trzydziestu. Dokładniej się nie da, to nie kalendarz.

To pasuje do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i

mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat. Ale pasuje też do tysięcy innych osób. Na przykład według Rocznika Statystycznego w 2015 roku pasowało do 3 208 543 mężczyzn i 2 626 538 kobiet w Polsce.

Antropolodzy mówią, że stopień zeszkieletowania zwłok sugeruje co najmniej kilkuletni pobyt w ziemi. To też pasuje do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat, ale to ciągle za mało informacji.

43.

Śledczy sięgają zmarłym do kieszeni. Dosłownie: analizują przedmioty, które znaleziono razem z ciałami. Może któryś z nich pozwoli na jednoznaczną identyfikację.

44.

On (to znaczy szkielet męski) miał przy sobie:

W jednej z kieszeni koszuli – fragment materiału, koloru czarnego, owiniętego w folię. Nie wiem, co to było.

W okolicy górnych żeber, w warstwie częściowo rozłożonych tkanin – kartę telefoniczną. Zapasową? Nie wiem. Telefonu nie miał, pewnie mu zabrali mordercy.

Pasek do spodni, ale nie w okolicy talii, tylko na szyi.

Sznurówkę zaciśniętą w pętlę.

Parę półbutów czarnych, rozmiar 42, bez sznurówek.

Krawat w żółte romby. To ten, o którym wspominałam wyżej, ten od Pierre'a Cardina.

Fragment koszuli, jasnej, z widoczną metką z rozmiarem 42.



I jeszcze znaleziono przy szkielecie fragmenty tkaniny typu tak zwanego sztucznego misia w kolorze bordo, fragmenty szarosrebrnej taśmy i fragmenty taśmy koloru czarnego, o szerokości pięciu centymetrów, zawiniętej w pętle.

45.

Dlaczego mordercy mieli dwie rolki taśmy izolacyjnej w różnych kolorach? Jedna im nie wystarczyła?

Nie wiem.

46.

Dlaczego udusili mężczyznę jego własnymi sznurówkami i własnym paskiem? Mieli tylko styliska od siekier, czy liczyli na to, że pobiją go na śmierć? Nie wiedzieli, jak trudno jest pobić na śmierć człowieka?

Dupy, nie mordercy. Gdybym opisała takich w powieści, wyszłaby parodia kryminału.

47.

Ona (to znaczy szkielet kobiety) miała przy sobie:

Parę żółtych kolczyków. Tak zostały opisane w aktach. Czy to znaczy złotych? Czy z żółtego metalu? A może z żółtego plastiku? Czy dostała te kolczyki w prezencie? Czy sama je sobie kupiła? Były drogie czy tanie?

Nie wiem.

Łańcuszek, żółty. To samo co z kolczykami.

Guzik z czterema otworami koloru grafitowego. Duży? Mały? Od marynarki? Od kurtki? Od spódnicy? Od sukienki?

Nie wiem.

Metkę kurtki z napisem Jone, w rozmiarze XL 52.

Gumki majtek, poprzecierane.

Stanik, zbutwiały

Spódnicę, czarną, zabrudzoną substancją koloru brązowego. Krwią? Bo czym innym?

Rajstopy, tak samo zabrudzone.

Dwa kasztany.

I jeszcze znaleziono przy szkielecie kobiety fragment taśmy, srebrnej, fragment koca, w znacznym stopniu zbutwiały, dwie pętle połączone ze sobą taśmą z częścią worka koloru jasnoniebieskiego.

I fragment majtek z wkładką higieniczną od wewnętrznej strony, zabrudzoną na brązowo.

48.

Miała okres? Zaczęła krwawić ze strachu? Pod wpływem ciosów?

49.

W części zwłok powyżej rajstop resztki zbutwiałej odzieży są poprzerastane korzeniami roślin. Fragmenty tkanin znajdują się na kościach twarzoczaszki. Czy mordercy zarzucili dziewczynie ubranie na głowę? Przed śmiercią? Po? Ale przecież udusili ją workiem foliowym, głowę musiała mieć odsłoniętą. Jak to było? Jak to się wszystko działo?

Nie wiem.



50.

Archeologom by to wystarczyło. Gdyby po tysiącu lat odkopali taki grób, sikaliby w majtki ze szczęścia, że zachowało się aż się tyle

przedmiotów. Już widzę te eseje, te publikacje naukowe, te dyskusje na konferencjach. Na temat obrządku pogrzebowego, który każe zawijać zwłoki w tkaninę ze sztucznego futerka w kolorze bordo. Na temat ubrań, na temat tego, co noszono w południowej Polsce w połowie 2000 roku. Na pewno najbardziej ucieszyliby się z kolczyków i łańcuszka – takie znaleziska fajnie wyglądają w gablocie w muzeum.

51.

Dla śledczych to nadal za mało informacji, żeby ustalić, czy szczątki należą do dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni i mężczyzny starszego od niej o trzynaście lat. Chociaż te kasztany... To nie może być przypadek.

52.

Potrzebna jest metoda, która pozwoli jednoznacznie zidentyfikować zwłoki.

Taką metodą jest badanie materiału genetycznego. Pod warunkiem, że ten materiał genetyczny jest dobrze zachowany.

Dla genetyka „dobrze zachowany” niekoniecznie oznacza tkanki miękkie. DNA pobrany z kości i zębów nadaje się do badań. Poza tym brązowe plamy na tkaninach znalezionych przy zwłokach to krew. Z krwi też da się wyodrębnić materiał genetyczny. Ważne tylko, żeby nie został uszkodzony, zdekompletowany. Tak dzieje się przy zetknięciu z kwasem, wysoką temperaturą, wysokim ciśnieniem...

53.

Już mówiłam: dupy, nie mordercy. Gdyby znali się na robocie, zabraliby ciała w jakieś ustronne miejsce i spalili. Albo przynajmniej częściowo rozpuścili w kwasie. Ogień i kwas niszczą strukturę DNA. Gdyby się trochę postarali, nie udałoby się jej odtworzyć.

54.

Zakład medycyny sądowej w Warszawie dysponuje wyizolowanym materiałem genetycznym pobranym od rodziców dziewczyny z dwoma kasztanami w kieszeni. Badania porównawcze DNA dają wynik pozytywny.

Biegli, którzy wydają opinię w sprawie DNA, noszą imiona Rafał i Piotr.

55.

Dalej już jest prosto. Mój kumpel-prawnik – ten, który opowiadał, jak mogły wyglądać zeznania w więzieniu w Raciborzu – mówi, że w takiej sytuacji policjanci wzywają podejrzanych i pytają: dlaczego w nocy z szesnastego na siedemnasty lipca 2000 roku zabiłeś dziewczynę z dwoma kasztanami w kieszeni i starszego od niej o trzynaście lat mężczyznę? Albo: dlaczego skrupowaliście jej ręce z tyłu srebrną taśmą? Albo: dlaczego udusiliście go jego własnym paskiem i sznurówkami?

Mordercy pękają. I przyznają się do winy.

Pierwszy przyznaje się Tomasz. Po nim Mariusz i Paweł, ostatni

Przemysław.

Po osadzeniu wymieniają grypsy, chcą obciążyć „Głowę”. Trzymają się wersji, że nie mieli zabić, tylko mocno pobić. „Głowa” zeznaje, że od początku wiedzieli, na co się piszą.

Nie wiem, czy sąd traktuje grypsy jako dowód.

56.

Zlatan umiera dwudziestego czwartego września 2005 roku w szpitalu w Sarajewie, na nowotwór.

Tomasz umiera dwudziestego lutego 2007 roku w wyniku przedawkowania leków. Postępowanie przygotowawcze wobec niego zostaje umorzone.

Pozostali dostają różne wyroki.

Grzegorz, inicjator i zleceniodawca zabójstwa – piętnaście lat.

Paweł i Piotr – po dwadzieścia pięć lat.

Mariusz i Przemysław – dożywocie.

Dlaczego różne? Nie wiem. Może zależy to od udziału w zbrodni. Że na przykład jeden tylko trzymał, a drugi bił? Jeden wiązał na szyi pasek, a drugi go zaciskał?

Nie wiem. Nie wiem, czy chcę to wiedzieć.

57.

Tamtego dnia, szesnastego lipca 2000 roku, mężczyzna już wcześniej planuje zobaczyć się ze swoją młodszą o trzynaście lat dziewczyną, tą z dwoma kasztanami w kieszeni, zabrać ją gdzieś. Jedzie po nią do domu jej rodziców. Kiedy dzwoni Zlatan z informacją, że trzeba się pilnie spotkać z nowym kontrahentem,

mężczyzna po prostu zabiera na spotkanie dziewczynę.

Nie wiem, jak Zlatan reaguje na pojawienie się dziewczyny, kiedy spotykają się na parkingu, zanim pojedą do domku nad Pogorią. Wie, że ją zabije. Może mu przecież powiedzieć, żeby odesłał swoją młodszą o trzynaście lat dziewczynę, że kontrahent chce się spotkać w tajemnicy albo coś w tym stylu. Może zmyślić jakieś kłamstwo, cokolwiek. Nie mówi nic.

Wiem – bo mordercy zeznają to podczas przesłuchania – że są zaskoczeni widokiem pary. Umówili się, że zabiją mężczyznę, o żadnej dziewczynie nie było mowy. Nie wiedzą, co robić. „Głowa” wychodzi z domku i pyta Zlatana, co z dziewczyną, bo nie miało jej być. Zlatan stwierdza, że trzeba dokończyć robotę.

Mężczyzna starszy od swojej dziewczyny o trzynaście lat umiera, bo prowadzi szemrane interesy z niewłaściwymi ludźmi.

Dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni umiera, bo znajduje się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

58.

Te dwa kasztany...

Po identyfikacji rzeczy dziewczyny jej brat Adam mówi, że jego siostra zawsze nosiła je w kieszeni. Na szczęście.

59.

Archeolog nigdy nie wie wszystkiego. Znajduje tylko ślady, poszlaki. Resztę zaciera czas.

Ja też nie wiem w tej sprawie bardzo wielu rzeczy. Pewnie nigdy się nie dowiem. Sąd nie udostępnia całości akt.

Tak jest lepiej. Nie jestem pewna, czy chcę znać odpowiedzi na wszystkie pytania.

Milan Kundera pisze w *Żarcie*: „Ludzie wierzą w wieczną pamięć i odwracalność, a tymczasem wszystko zostanie zapomniane i nic nie będzie naprawione”.

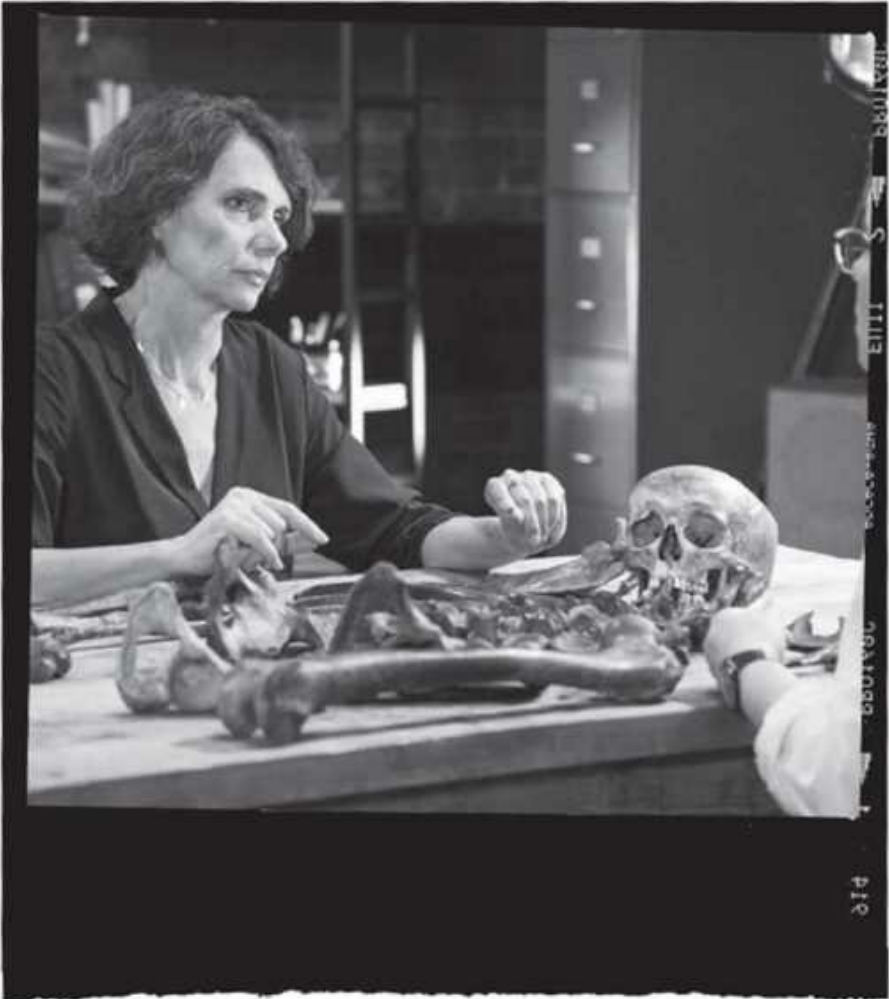
Wiedza niczego nie zmienia. Nie przywraca życia. Więc jeśli nic nie może zostać naprawione, niech lepiej wszystko zostanie zapomniane.

60.

Z wyjątkiem imion.

61.

Dziewczyna z dwoma kasztanami w kieszeni ma na imię Iwona.
Mężczyzna starszy od niej o trzynaście lat ma na imię Wiesław.



Marta Guzowska, sama będąc archeologiem przez wiele lat pracującym na wykopaliskach, razem ze swoim gościem objaśnia, jak na podstawie kości można zidentyfikować płeć i wiek. Jedną z charakterystycznych części ciała, na podstawie której od razu wiadomo, do kogo należy szkielet, jest miednica (miednica kobiety jest szersza, mężczyzny węższa). Także na podstawie kości miednicy można określić wiek.



LUDZIE W AUTOBUSIE

**MAŁGORZATA I MICHAŁ
KUŹMIŃSCY**

MAŁGORZATA I MICHAŁ
KUŹMIŃSCY

Autorzy serii powieści etnokryminalnych o parze nieszablonowych śledczych: antropolożce kulturowej Ance Serafin i dziennikarzu Sebastianie Strzygoniu. Akcja *Ślebody* toczy się na współczesnym Podhalu, a tajemnica sięga mrocznej i niechlubnej przeszłości góralskiej kolaboracji. *Pionek* osadzony jest na Górnym Śląsku, gdzie opowieści o seryjnych mordercach-wampirach wydają się niepokojąco prawdziwe. *Kamień* natomiast to powieść, która zaczyna się od znalezienia zwłok jasnowłosego dziecka na obrzeżach romskiej osady. Wcześniej napisali także dwie powieści sensacyjno-kryminalne retro z akcją na Kazimierzu – żydowskiej dzielnicy Krakowa: *Sekret Kroke* (2009) oraz *Kłątwe Konstancyne* (2011). Za powieść *Sekret Kroke* zostali nominowani do Nagrody Wielkiego Kalibru, za *Pionka* – do nagrody dla najlepszej miejskiej powieści kryminalnej, nadawanej podczas festiwalu „Kryminalna Piła”, za *Kamień* – do nagrody Złotego Pocisku. Ona – z wykształcenia i zamiłowania antropolożka kulturowa, zawodowo manager w branży informatycznej. On – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, autor tekstów piosenek, a niekiedy też food writer.



„Najbardziej niepojęte okazuje się to, co prawdziwe”.

1.

Rok 1976 właśnie przechodził do historii. Jedni wspominać go mieli ze zgrozą, mając przed oczami drastyczne obrazy z czerwcowych strajków w Radomiu. Inni – z łezką tęsknoty w oku za „małą stabilizacją”, której symbolem stały się telewizor, meble i mały fiat. Pod rządami Edwarda Gierka PRL płynął niczym łabędź: nad wodą jeszcze dostojnie, ale pod nią przebierał już rozpaczliwie nóżkami, żeby utrzymać się na powierzchni.

Zrębin też świętował koniec roku. Mała świętokrzyska wieś – ulicówka, trzy kilometry na północny zachód od Połańca – była już po skromnym postniku: na wigilijnym stole mogły stać pierogi, żurek z olejem, kasza ze śliwkami. Na pewno był opłatek, na pewno była wódka. Potem tutejsi rolnicy, chłoporobotnicy żyjący z pracy na budowie elektrowni „Połaniec” i ci nieliczni, którzy robili w usługach, zgodnie ruszyli na pasterkę do miasteczka. Jedna wielka rodzina – bo i większość z nich była ze sobą bliżej lub dalej skolięgacona. Jak to na wsi. Szło się ze czterdzieści minut, chyba że udało się zabrać biało-niebieskim Feliksowym Sanem, albo – jak Jurek, taksówkarz – było się szczęściarzem, który miał własne auto.

Zgromadzeni na pastercie w połanieckim kościele nie myśleli pewnie o polityce, nie roztrząsali katastrofalnych w skutkach decyzji rządu o wielomilionowych pożyczkach, nie zastanawiali się nad słusnością postulatów strajkujących robotników. Kiwały się głowy, ciężły powieki. Kobiety przysypiały, zmęczone przygotowaniami do świąt Bożego Narodzenia. W żyłach kołędowała już gorzalka – chłopom, babom, nawet nastolatkom. Kościelny chłód też robił swoje.

O czym mówił ksiądz, witając wiernych na pastercie? O tym, że Bóg

jest miłością, więc trzeba kochać bliźniego swego jak siebie samego? O dzieciątku, co przyszło na świat dwa tysiące lat temu? A może grzmiał o moralnych dylematach, przed którymi stanie kiedyś każdy z nas? Tłumiąc ziewnięcia, mieszkańcy Zrębina puszczaali pewnie mimo uszu to abstrakcyjne księżę gadanie, nie spodziewając się, jak szybko sami staną przed takimi wyborami. Może jeszcze tej nocy?

O czym myśleli, gdy głos księdza rozpływał się w woni choinki, kapusty z grzybami i trawionego alkoholu? O czym myślała Krysia, gładząc brzuch rysujący się już wyraźnie pod brązowym kozuchem? O mającym się urodzić za cztery miesiące dziecku? Kiedy ksiądz mówił, że należy się weselić, czy wspominała własne niedawne wesele? Białą sukienkę, szczęśliwą rodzinę i sąsiadów, tańce, ciasta i prezenty? Może się skrzywiła, gdy przypomniał się jej ten nieszczęsny epizod z kradzieżą kielbasy, który omal nie zepsuł całej uroczystości?

O czym myślał jej mąż, Staszek? Czy martwił się o utrzymanie powiększającej się rodziny? O to, co jego rodzina sądzi o przenosinach z Połańca do żony na wioskę? Czy może uśmiechał się pod wąsem, spoglądając to na Krysię, to na leżące w żłóbku dzieciątko?

Dwunastoletni Miccio, brat Krysi, myślał za to najpewniej o prezentach pod choinką i o smakołykach, które czekały w domu.

Ale nie wszyscy nudzili się w kościele. W biało-niebieskim Sanie, zaparkowanym nieopodal połanieckiego rynku, tam, gdzie zaczyna się szosa na Zrębin, w najlepsze trwała impreza. Ktoś postawił ćwiartkę, potem drugą. Alkohol rozgrzewał ciała, rozpałał głowy.

W autobusie też się komuś przypomniała tamta kielbasa. Niedoczekanie. Za tamto. Za wszystko. Za całe życie.

Do Krysi w kościele podeszła Zośka, jej cioteczna siostra. Msza się ledwo zaczęła, było kilka minut po północy. Zośka powiedziała, że ojciec Krysi zrobił po pijanemu awanturę w domu, że muszą wracać.

Rodzice byli pokłóćeni, ojciec to nawet na wigilię pojechał do siostry pod Pacanów. Widać wrócił pijany i się zaczęło. Krysia przywołała Staszka i Mietka, wyszli z kościoła.

Musieli być zdenerwowani. Przed nimi długi marsz po nocy, a nie wiadomo, co się dzieje w domu. Więc gdy zobaczyli przy ulicy Zrębińskiej Sana, za którym zaparkował jeszcze czerwony Autosan, odczuli ulgę. Z Sana dobiegał gwar, w środku znać było ruch. Może podwiozą. Weszli.

Wtedy wyrósł przed nimi on. Solidnie już wstawiony. Krzyczał, że nie pojada. Za tamtą nieszczęsną kiełbasę, za obrazę honoru, że nie daruje.

– Bez łaski – odparła Krysia.

Drzwi trzasnęły. Krysia, Miecio i Staszek cofnęli się, minęli jeszcze stojącą przed autobusami Jurkową taksówkę – oliwkowego fiata 125p – i wyruszyli poboczem, prawą stroną szosy na Zrębin.

W swoją ostatnią drogę.

2.

Ściągnięci w środku nocy milicjanci pewnie klęli na czym świat stoi. Że nawet w taką noc coś się musi dziać. Na posterunku MO w Połańcu koło drugiej w nocy stawił się roztrzęsiony kierowca Sana obywatel Feliks S., któremu ktoś podczas pasterki ukradł pojazd. Ukradł, a może figiel chciał spłacać i tylko przestawił? – głowił się przed milicjantami poszkodowany.

Ale autobus niebawem się znalazł. Wypadek.

Paskudny wypadek. Kobieta w ciąży, młody chłopak i mężczyzna rozjechani przez Sana. Przykro patrzeć.

Więc milicjanci nie patrzyli zbyt dokładnie.

Zresztą sprawa wyglądała na prostą. Sto dwadzieścia metrów

przed pierwszymi zabudowaniami Zrębina tkwił w rowie biało-niebieski San. Przed autobusem leżały zwłoki mężczyzny i chłopca. Chłopiec miał całkiem zmiążdżoną czaszkę. Mężczyzna – zmasakrowany kołami tułów i rany na głowie.

Za autobusem leżała dziewczyna. Też przejechana. Rany głowy, zgruchotana miednica. Do tego kozuch podciągnięty, a rajstopy z majtkami zdarte. Gwałt? Po wypadku? Bez sensu, trafil się funkcjonariusze. Prędeż się jej to stało, gdy autobus ją powlókł po asfalcie. Chociaż, żeby tak się ułożył kozuch i bielizna, musiałby ją wlec raz w jedną stronę, raz w drugą, przytomnie zauważy później jeden kapral MO. Ale przecież nie takie rzeczy się zdarzają. Na przykład wiadomo, że ofiarom wypadków często spadają buty.

Ściągnięty z Kielc do Staszowa lekarz też się nie przyglądał. Wypadek komunikacyjny, napisał w protokole sekcji. Prokurator podpisał bez czytania. Na samą sekcję wolał nie patrzeć. Takie widoki i to jeszcze w tradycyjne święta zimowe...

San wkrótce trafi na złom, chociaż jest jeszcze całkiem sprawny. Milicja niemrawo poszukiwać będzie nieznanego kierowcy, który najpierw pozostawiony przy ulicy Zrębińskiej autobus ukradł, a później zbiegł z miejsca wypadku.

W Zrębiniu rodzice Krysi i Mietka odchodzą od zmysłów. W jednym wypadku stracili dwoje dzieci, zięcia i wnuka. Sąsiedzi starają się, jak mogą. W takich chwilach wieś musi trzymać się razem.

Pogrzeb odbywa się w Połańcu. Ludzie patrzą po sobie. Jeszcze niedawno krzyczeli im „gorzko” na weselu, a dziś śpiewają Anielski orszak. Wspominają Krysię. Miła była, skromna, grzeczna, nie jak dzisiejsze dziewczuchy. Staszka, że młody, a taki odpowiedzialny. I Miccia, takiego zdolnego. Chciał być oficerem, pewnie zapatrzony w dziadka ORMO-wca. Dobry był z geografii i z religii.

Trumnę Krysi niesie sam Jan Sojda, najbogatszy gospodarz we wsi.

Też niedawno tańczył na jej weselu.

Sojda ma 6,5 hektara, ciągnik, którego użycza przy zniwach, i maszyny. Gospodarkę prowadzi nowocześnie. Czterdzieści osiem lat, pociągła twarz, wyraziste kości policzkowe, ciemne włosy czesze z lewa na prawo, nosi modne baki. Zrobił kursy PCK i gdy trzeba, wrywa bolące zęby. Ma też kursy weterynaryjne, pomaga ludziom przy zwierzętach, gdy się ciela. Zaskarbia sobie tym wdzięczność i poważanie – choćby u babki tragicznie zmarłych Krysi i Miecia.

Ale nie tylko tym. Sojda ma pieniądze. I zna prawo – był przez pewien czas ławnikiem w Gdyni – więc wiele może załatwić. Ma we wsi posłuch. Mówią o nim „król Zrębina”.

Teraz rodzice ofiar wypadku mogą liczyć na jego pomoc – nieważne, co tam było kiedyś, jak losy ich rodzin splatały się w przeszłości.

Śnieg pokrywa białą świeże groby, miejsce wypadku, połamane krzaki przy drodze. Świat krzepnie, zima koi ból. I tylko ludzie patrzą po wsi, kto z kim gada, kto komu w oczy nie patrzy. I tylko przy gorzałce chłopcy ścisząją głos, gdy mówią o tym, co się stało. Bo tu ORMO-wcy, aktywi i dobrzy katolicy piją wspólnie, a milicja przecież też może usłyszeć. I słyszy, ale co ją to pijackie gadanie obchodzi?

Usłyszą dopiero krzyk.

3.

– Morderco! Bandyto! Zabiłeś mi kolegę!

Chłopięcy krzyk rozległ się w tamto Boże Narodzenie pod oknem Józefa A., trzydziestoczteroletniego szwagra Jana Sojdy, z zawodu kierowcy staszowskiego PKS-u. Józef A. stwierdzi potem, że niczego takiego nie słyszał. A krzyczał jedenastoletni Staszek S., szkolny

kolega Miecia.

I nagle Sojda z rodziną otaczają zainteresowaniem rodzinę S., zwłaszcza chłopaka.

Chociaż mieszkają tuż obok siebie, to rodzinę Staszka i Sojdów dzieli wszystko. Ojciec chłopca jest rzemieślnikiem, a nie rolnikiem z dziada pradziada, jak większość tutejszych chłopów. Rodzice Staszka to porządni ludzie, chociaż urzędnicy mówią o nich, że niezaradni. Są najbiedniejsi we wsi. Jakie musiało być ich zdziwienie, gdy nagle król Zrębina okazuje im swoje łaski. Obiecuje krowę. Obiecuje meble. Staszka zaprasza do siebie, karmi, częstuje drogimi papierosami, chociaż to jeszcze dziecko. Obiecuje w przyszłości własną córkę za żonę. Żeby tylko Staszek i jego rodzice czuli się wdzięczni. Żeby wiedzieli, że winni są Sojdom rewanz. Spłatę długu, który rządzi się starym jak ludzkie społeczności prawem: zasadą wzajemności.

Ale rodzice Staszka wiele już w życiu doświadczyli i wiedzą, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Żyjąc na uboczu wiejskiej wspólnoty, nigdy nie mogli liczyć na solidarność najbogatszego z gospodarzy. Teraz więc na nic nie liczą, tylko obserwują nieufnie taniec, który wykonują Sojdownie wokół ich syna.

Staszek też jest zdezorientowany. To jeszcze dziecko, a nagłe względy ze strony wiejskiej elity potrafią zamącić w głowie. Ale z drugiej strony rodzice zawsze uczyli go mówić prawdę. Ojciec i matka chłopca mierzą się z decyzją, kalkulują – czy wolą obiecywane przez Sojdów gruszki na wierzbie, czy spokojny sen i sumienie.

Za swój wybór zapłacą w przyszłości olbrzymią cenę.

– Trzymaj się synu, ino prawdy – powiedziała Stasiowi matka. I chłopak poszedł na milicję. Był szesnasty lutego 1977 roku. Dwa dni później za nieumyślne spowodowanie śmiertelnego wypadku Józef A. trafia za kratki.

Tamtej wigilijnej nocy Staszek z kolegami wałęsał się po Połańcu.

Do Sana podeszli zaraz po Krysi, jej mężu i Mietku. Też ich nie wpuszczono. Przegonił ich kierowca. Potem autobus minął ich po drodze. Gdy chłopiec dochodził do wsi, zobaczył Sana w rowie. Wokół nie było już nikogo. Z wyjątkiem kręcącego się przy nim Józefa A.

Jan Sojda próbuje bronić szwagra. Jedzie z rodziną do Częstochowy, zamawia mszę w intencji odnalezienia prawdziwego sprawcy wypadku. Przywiezie medaliki dla mieszkańców Zrębina.

Ludzie potem będą opowiadać, jak jednym groził, a innym schlebiał. Jak rozdawał pieniądze, jak kazał przysięgać. Na nic się to nie zdało: dwudziestego piątego marca Jan Sojda sam trafia do aresztu – za utrudnianie śledztwa i nakłanianie świadków do fałszywych zeznań. Miesiąc później prokurator zarzuci mu też uczestnictwo w zabójstwie. Latem dołączają do niego jego zięciowie: Jerzy S. – zrębiński taksówkarz – i Stanisław K. oraz znajomy, Henryk W. Prokurator szesnastego czerwca 1977 roku stawia Janowi Sojdzie i Józefowi A. formalny zarzut zabójstwa Krysi i Stanisława Ł. oraz Miecia K.

Zabójstwa. Ponoć nazajutrz po ich śmierci, pierwszego dnia świąt, nikt we wsi nie mówił o wypadku. Szeptano do siebie, że zostali zabici. A później wszystko ucichło, jak nożem uciął. Nikt nic nie wiedział, nie widział, nie interesował się, każdy mówił, że był wtedy na pasterce. W Zrębinie zapadło milczenie.

Milczenie, na którego złodowaciałej skorupie teraz zaczęły pojawiać się rysy.

4.

Zrębin wrze. Jedni donośnie zaprzeczają, że cokolwiek poza tragicznym wypadkiem w ogóle się wydarzyło. Inni nie puszczaają

pary z ust. Boją się? Czego? Kogo?

I są wreszcie tacy, którzy zaczynają mówić. Staszek S., Henryk W., który płacze się w wersjach wydarzeń. I Leszek B., niski i niepozorny chłopina, który od początku mówi o morderstwie i jako jedyny od samego początku nie zmienia zeznań. Ale przed sądem nigdy nie będzie miał szansy ich przedstawić. Utopi się w rzece Czarnej, chociaż to wyjątkowo trudne, bo woda sięga tam do kostek.

Innych trzeba było przesłuchiwać po kilkanaście razy. Zmieniają się wersje, sprzeczne ze sobą, odwoływane, podtrzymywane, czasem recytowane jak z kartki, czasem wykrzykiwane w emocjach. Zawijają się sojusze, rozpadają się rodzinne więzi, jedni na drugich patrzą wilkiem. Obserwują się. Pilnują. I milczą jak zakłęci.

W listopadzie 1978 roku rusza proces, który elektryzuje cały kraj. Do sądu w Sandomierzu zjeżdżają dziennikarze, obserwatorzy, gapie. Wśród dziennikarzy jest Wiesław Łuka, dzięki któremu mamy dzisiaj szansę zrekonstruować nie tylko to, co działo się na sali sądowej, ale też w głowach i sercach ludzi.

Świadkowie przed sądem nadal zmieniają zeznania. Na sali tumult. Sceny. Zasądzane za składanie fałszywych zeznań areszty. Zakłócanie porządku. Próby porozumienia się z oskarżonymi, przechwytywane grypsy. Groźby, przekleństwa. Z drugiej strony oskarżenia, że milicjanci wymuszali zeznania i w trakcie przesłuchań bili świadków. Specjalna delegacja z wioski pojedzie nawet poskarżyć się do Warszawy. Sąd temu wiary nie daje: nagrane na taśmę zeznania świadków są płynne, nie były pauzowane, nikt im nie przerywa.

Wcześniej ekshumacja ofiar, nowa ekspertyza biegłych. Miażdżące dla pierwszych czynności ustalenia, pytania o niezabezpieczone ślady, zełomowany autobus, niechlujną sekcję. Ale ważniejsze są pytania do mieszkańców Zrębina, które cisną się na usta, gdy z przesłuchania na przesłuchanie coraz bardziej jasne się staje, że o

tym, co naprawdę wydarzyło się tamtej świątecznej nocy, wiedzieli niemal wszyscy. Gorzej: bardzo wielu z nich widziało to na własne oczy. Pytania proste: dlaczego nikt nic nie zrobił? Dlaczego milczeli?



Niemal w rocznicę rozpoczęcia procesu odbywa się wizja lokalna, która staje się lokalną sensacją: dziewięćdziesięciu ośmiu milicjantom towarzyszyło w Połańcu pięć do sześciu tysięcy gapiów, którzy obsiedli płoty, dachy, słupy i drzewa. Niektórzy wzywają do samosądu – by wydać im bandytów, a oni ich wezmą na widły. Inni szydzą z prokuratora i sądu, że „ciemne chłopcy” już trzy lata wodzą ich za nos. Jeszcze inni biadają, że to nie do wiary, że to koniec

świata. Wizja potwierdza: wersja zdarzeń, którą śledczy zmusznie wydlubują spod zaskorupiałego milczenia świadków, jest nieubłagane prawdopodobna.

Po roku zapada wyrok. Sąd nie dopatry się żadnych okoliczności łagodzących. Uzna, że mordercy działali planowo, z pełną premedytacją, z najniższych pobudek i – zabijając kobietę w ciąży i dwunastoletniego chłopca – w szczególnie bestialski sposób. W dodatku doprowadzili w Zrębinie do powstania „wyjątkowo szkodliwej społecznie atmosfery nieposzanowania prawa i lekceważenia organów ścigania”.

Ich zbrodnia będzie jedną z najczęściej przywoływanych w kolejnych reportażach, programach, kryminałach, powstanie o niej film i sztuki teatralne. Nieodmiennie, jak refren, będzie się o tej zbrodni powtarzać, że to niemożliwe, niepojęte, nieludzkie. Ale być może zło, które w tamtą świąteczną noc zstąpiło na Zrębin, było właśnie złowrogo proste.

I ludzkie.

5.

Wtedy, w wigilię 1976 roku, mieli w Sanie dwie półlitrowki wódki. Pili wszyscy. Przy tej wódce Jan Sojda miał rozpamiętywać, jak rodzina Krysi i Mietka oczerniła jego rodzinę, jak zszargała jego honor.

Może myślał o tym, jak wzgardzono jego wielkodusznością: bo przecież zaszczycił swoją osobą wesele Krysi K. i Staszka Ł. Wiele spraw puścił tym samym w niepamięć. A oni mu się tak odwdzięczyli.

Było tak: siostrę Sojdy, Helenę, żonę Józefa A., rodzice Krysi poprosili przy weselu na kucharkę. Dostała za to półtora tysiąca

złotych i dwa półmiski wędlin. Ale podczas wesela brat panny młodej Miecio zauważył, że Helena wynosi wędliny i mięso. Poskarżył się matce, Zdzisławie – i wybuchła awantura.

– Wy mnie jeszcze popamiętacie! – miała do rodziców panny młodej wykrzykiwać Helena.

Zdzisława dała jej więc jeszcze wędliny i odprawiła. Potem zgodziła się, żeby Helena wzięła też ciasto, bigos i dzbanki z wypożyczalni. W końcu była siostrą Jana Sojdy. Ale wieś zaczęła gadać. Dla Sojdy była to ciężka obraza. Obraza honoru. Rodzice młodej, ród Jana R., znowu pohańbili Sojdów.

Czy to wtedy w Sanie ulął się mu plan wendety? Wiele wskazuje na to, że stało się to już wcześniej, że wszystko było umówione. W uzasadnieniu wyroku sąd odnotował, że do Jerzego S. w wigilijny dzień 1976 roku dzwoniła na postój taksówek w Wodzisławiu żona, ściągając go do Zrębina, i że po osiemnastej pojechał z Sojdą na miejsce, gdzie później odnaleziono zwłoki.

Niedługo po rozpoczęciu pasterki Sojda posyła cioteczną siostrę Krysi, Zofię, żeby wywabiła kuzynkę z mężem z kościoła. W autobusie pomstuje na nich, a gdy ci wchodzi do Sana, wybucha i wyrzuca ich na mróz. Po czym proponuje uczestnikom libacji w autobusie, żeby pojechać do wsi po wódkę, bo się skończyła.

Rusza kawalkada.

Na czele oliwkowy fiat 125p Sojdowego zięcia, w nim taksówkarz i drugi zięć Sojdy – Stanisław K., i ich żony. Za nimi San z Sojdą i Józefem A. oraz mocno już wstawione, rozweselone towarzystwo. Sześćdziesiąt pięć osób, w tym żony Sojdy i Józefa A., Otolia i Helena; po drodze dosiądzie się jeszcze stróż z piekarni. Jako trzeci rusza pusty Autosan – są w nim tylko kierowca, Maciej W., którego Sojda miał zmusić do jazdy, oraz jego szwagier.

Jadą szybko; sto trzydzieści metrów za połaniecką piekarnią doganiają Krysię, Staszka i Miecica. Jerzy S. robi nieznaczny ruch

kierownicą fiata. Zderzakiem potrąca chłopca. Miecio ze złamaną nogą pada na asfalt. Przyskakują do niego siostra i szwagier.

Zatrzymuje się przed nimi niebieski San. Snopy świateł, drobiny śniegu, parujące oddechy, mróz. Jęk chłopca, krzyk dziewczyny. Otwierają się drzwi.

Zaczyna się zabijanie.

Sojda z Józefem A. wyskakują na drogę, dopadają Staszka. Ten się broni. Szarpią się. Stanisław K. i kierowca fiata pilnują, żeby nikt nie wysiadał z autobusu. Grożą. Józef A. wyciąga z wozu ponad półmetrowy, dwuipółkilogramowy klucz do kół. Bierze zamach. Uderza Staszka w głowę, w szyję.

– Wujku!!! – krzyczy Krysia.

Stanisław Ł. pada nieprzytomny.

– Wujku!!! Nie zabijaj mi męża!!! – krzyczy dziewczyna i ucieka w pola, w ciemności, w śnieg.

Sojda i jego szwagier ruszają za nią. Krysia jest w piątym miesiącu ciąży. Zaspy nie pomagają. A śnieżna biel odbija światło księżyca i dziewczynę dobrze widać. Również z okien autobusu. Jak ucieka, jak się potyka, jak dopadają ją po dwudziestu raptem metrach.

– Co oni tam robią! – krzyczy Henryk W., który wydostał się z Sana, zanim w drzwiach stanęli Jerzy S. i Stanisław K. Podobno krzyczy jeszcze, że trzeba ich powstrzymać. Biegnie.

Widzi, jak trzymają dziewczynę. A ona błaga.

– Wujku! Nie zabijaj mnie! Zostaw choć mnie matce!

Jan Sojda łapie ją za gardło. Henryk W. zatrzymuje się tuż przy nich. Nie robi nic. Tylko oświetla ich latarką.

Teraz, pośrodku pola, widać ich jeszcze lepiej, w żółtym kręgu światła. Długie cienie kładą się na śniegu.

Stanisław K. każe wszystkim w Sanie siedzieć na miejscach.

– Albo podzielicie los Ł. – grozi.

– Wujku!!!

Jeden trzyma. Drugi uderza dziewczynę kluczem do kół. Po głowie, po szyi. Krysia pada. Kopia. Tłuką.

– Sojda! – krzyczy Henryk. – Sojda, co robicie? Nie bijcie tej kobiety!

Potem wloką ją po śniegu, ku autobusom, na jezdnię. Czy jest już martwa, jak zapisano w uzasadnieniu wyroku, czy żyje jeszcze, jak chciał akt oskarżenia?

– Mamo! – jęczy Miecio.

Stanisław Ł. jeszcze nie umarł. Sojda staje nad nim. Bierze zamach kluczem do kół. Tłucze, aż ten przestaje krzyczeć i kona z rozbitą czaszką.

– Mamo! – jęczy Miecio, gdy oprawcy wloką go na środek jezdni. Trzaskają drzwi fiata, silnik przegazowuje. Jerzy S. odjeżdża z pięćdziesiąt metrów, zawraca. I rusza znowu. Sojda daje mu znaki rękami, nakierowuje. Żona kierowcy, Zofia, i żona Stanisława K., Mieczysława, siedzą z tyłu.

– Mamo, ratuj! – krzyczy chłopiec. Sojda naprowadza auto zięcia. Fiat 125p prawymi kołami przejeżdża po głowie Miecicia.

Krzyk się urywa.

Dwóch świadków próbuje uciekać. Sojda ich dogania.

– Bo z wami zrobię to samo! – straszy.

Więc zostają. I patrzą.

6.

Sześćdziesiąt pięć osób w autobusie San. Czy w alkoholowym zamroczeniu zdawali sobie sprawę z tego, na co patrzą? A raczej – kiedy się zorientowali? Podobno niektórzy „werbalnie protestowali”. Co mówili? Czy cokolwiek myśleli, czy tylko patrzyli, zdjęci zgrozą?

Bali się, to pewne. Pewnie nigdy w życiu nie widzieli, jak katuje się

kluczem do kół kobietę w ciąży. Jak naprowadza się auto na głowę dwunastoletniego chłopca.

Ale morderców było czterech, do tego kilku pomagierów. A ich ponad pół setki. Cały autobus. Nikt nie oczekiwał od nich bohaterstwa, jedynie czystej przyzwoitości. Czegokolwiek, jednego choćby gestu, żeby powstrzymać mord. To nie trwało kilku sekund, nie spadło z zaskoczenia jak strzelanina. To były długie minuty brutalności, krzyku i grozy.

Ale nikt nic nie zrobił.

Może zabrakło kogoś równie silnego jak Jan Sojda, kto by przełamał bierność, dał przykład odwagi, postawił się. A tak pewnie każdy oglądał się na sąsiada. Sąsiad nie robił nic. Więc lepiej było się nie wychylać. Bo skoro nikt nie ruszył na ratunek katowanemu, to i za interweniującym nikt się nie wstawi. A to były przecież Sojdy.

Siedzą więc cicho. Popatrują jedni po drugich. Pewnie trzeźwieją w ekspresowym tempie.

Wśród morderców za to poruszenie. Dokonało się. Potomkowie rodu Jana R. są martwi. Czy spodziewali się, że to takie proste, zabić człowieka? Teraz chcą upozorować wypadek.

Zabójcy wnoszą zwłoki Krysi, Staszka i Miecia do Sana. Część świadków przechodzi do Autosana. Jerzy S. na polecenie Sojdy jedzie do wsi po jego aktówkę.

A Henryk W., który najpierw protestował, a potem świecił latarką? Teraz pomaga nosić ciała.

Autobusy ruszają znowu. W Sanie niemi świadkowie, sprawcy i zwłoki. Żywi patrzą na martwych i na siebie nawzajem. Zatrzymują się kilometr dalej, tuż przed Zrębinem. Jerzy S., Józef A., Stanisław K. i Henryk W. układają ciała Miecia i Staszka w rowie. Józef siada za kierownicą Sana. Wprowadza wóz do rowu. Najeżdża na zwłoki.

Ciało Krysi ułożą za autobusem. Obnażą. Wymyślić to miał według świadków Jan Sojda. Żeby wyglądało na gwałt.

Jaka logika nimi kierowała? Czy spodziewali się, że ktoś uwierzy, że ofiara wypadku drogowego najpierw została potrącona, a potem zgwałcona? Sądzą, że ktokolwiek kupi tę maskaradę? Już sam wypadek, jak później orzekną biegli, pozorowali nieudolnie. Ułożenie zwłok było nienaturalne, a scenariusz całej sytuacji naciągany. Ale pomysł, żeby dodać do tego jeszcze gwałt, przekracza granice przestępczej nieudolności.

Nie, Sojda kierować musiało coś innego. Nie trzeźwa kalkulacja, lecz potężne pragnienie. Wcale niekoniecznie lubieżne. Ten gest kryminalistyka zna dobrze, sięgało po niego wielu morderców kobiet, którzy obnażali je po zabójstwie. Dla profilerów to sygnał, że sprawca pragnął swoją ofiarę ostatecznie upokorzyć. Okazać swoją dominację. Władzę.

Milicjanci, którzy tej nocy przyjechali na miejsce zdarzenia, nie zadawali sobie takich pytań, a o profilerach nawet pewnie nie słyszeli. Maskaradę kupili gładko.

Inscenizacja dobiegła końca. Wszyscy aktorzy i statyści mają wsiąść do drugiego autobusu, czerwonego Autosana. Jan Sojda ma różaniec i przywiezioną przez zięcia aktówkę. W środku – pieniądze. Jest jeszcze agrafka i kartka papieru. Mieszkańcy Zrębina, świadkowie zbrodni, będą musieli zaraz zrobić coś, co w całej tej opowieści jest być może najbardziej zdumiewające.

– Co się tu stało – mówi Sojda – nie ma prawa nikt wiedzieć. Jeżeli ktoś powie cośkolwiek na ten temat, to się z nim stanie to samo, co z tamtymi.

Jak reagowali, gdy po tym wszystkim Jan Sojda kazał klękać?

„Każdego z obecnych wzywał przed siebie, polecał całowanie Krzyżyka od różańca i składanie podpisu krwią z nakłutego agrafką palca. Niektórym spośród tych osób wręczył pieniądze w kwotach od 5 do 20 tysięcy złotych” – napisze potem prokurator w akcie oskarżenia.

Podchodzili więc, całowali krzyż. Brali pieniądze. Przysięgali, że nic nie powiedzą. Kogo bardziej się bali, przysięgając: Boga, który za dobre wynagradza, a za złe karze, ale jest przecież tak bardzo daleko? Czy Jana Sojdy, króla Zrębina, który stał właśnie przed nimi z krwią na rękach?

Autosan odjeżdża. Odwozi wszystkich do Połańca, gdzie jeszcze trwa pasterka. Wracają do kościoła, żeby zapewnić sobie alibi. Czy śpiewają kolędy? Czy idą do komunii? Czy odwracają wzrok od szopki z matką i dzieciątkiem? Czy wróciwszy tej nocy do domu, zdołali zasnąć?

7.

Powiedzą potem dziennikarzowi Łuce, że „była krew, był krzyż, przysięga wiąże”, chociaż nawet wikary głosił z ambony, że przysięga na dewocjalia w takiej sprawie jest nieważna. Do zbyt potężnych sił odwołał się Jan Sojda, żeby można było przejść nad przysięgą do porządku dziennego. Przecież krew – święta i nieczysta, groźna i potężna – to życie. Przysięgając więc na krew, mieszkańcy Zrębina przysięgali na własne życie. Przysięgając na krzyż – na zbawienie własnej duszy.

Ale chociaż był krzyż, był różaniec, a potem będą jeszcze medaliki, chociaż peerelowski sąd chętnie wśród rozmaitych przywar wytknie później Zrębinowi dewocję, to nie była to już religia, nawet nie dewocja. To nie chrześcijański Bóg był siłą, do której odwołał się Sojda.

Czym więc był ów dziwny rytuał, który – gdyby zapomnieć, co wydarzyło za oknem – wyglądać musiał raczej śmiesznie niż strasznie? Jak silna musiała być wiara w magiczny,

przedchrześcijański jeszcze porządek rzeczy, w którym można wziąć Boga na zakładnika świadczącego na rzecz mordercy?

Jan Sojda, odbierając od sąsiadów wykonane krwią podpisy w zamian za zwitek banknotów, przetrącił im kręgosłupy moralne i ustanowił we wsi zмовę milczenia. Od tej pory złamanie przysięgi będzie działaniem wymierzonym w całą wieś, we wspólnotę. I to cała wspólnota, już nie tylko Sojda, będzie strzec dotrzymania przysięgi. Ci, którzy się wyłamia, zostaną skazani na banicję. Zrębin zwiera szeregi, muruje barykadę i wystawia warty, broniąc prawdy o zbrodni oraz własnej tchórzliwej bierności.

Mija noc, potem druga, czas płynie. W Zrębinie panuje pozorny spokój. Ale Sojdownie nie próżnują. Chodzą po ludziach, dyktują zeznania, grożą, kupują milczenie, przypochlebiają się. A kiedy Józef A. trafi do więzienia, jadą do Częstochowy, gdzie Jan Sojda daje na mszę, „żeby się okazali sprawcy wypadku”, każe całej rodzinie iść do spowiedzi i do komunii, przywozi medaliki, które będzie potem wciskać ludziom do kieszeni owinięte w zwitki banknotów. Organizuje kolejną przysięgę, jakby jednej, tej w autobusie, było mało, jakby Bogu i Matce Najświętszej trzeba było przypomnieć, po czyjej stronie mają stać.

A może trzeba to było przypomnieć ludziom?

Z akt:

„Jan Sojda oświadczył zebranym, że posiadanych przez nich wiadomości w sprawie nie wolno ujawniać, a na potwierdzenie tego odbierze od nich przysięgę. Na stole w mieszkaniu rodziny K. ustawił zapaloną świeczkę i trzymając w ręce krzyż, odebrał od klęczących przyrzeczenie o zachowaniu tajemnicy wobec organów ścigania. Wszystkim wręczył przy tej okazji pieniądze w kwotach od 5 do 50 tysięcy złotych”.



A gdzie w tym wszystkim Bóg – oprócz tego, że na krzyżu, na który Sojda każe ludziom przysięgać? Przecież chłop, wiadomo: jak trwoga to do Boga. Ale kiedy wspólnota jest zagrożona, wtedy pleban, razem z panem i wójtem, stoi poza granicami wsi. Ksiądz wikary ze swoją autorytarną oceną nieważności przysięgi, jak i cały Kościół katolicki, który uważa przecież, że chłop polski przechował w swej kulturze i ludowej religijności tradycyjne wartości, okazują się wobec potęgi Sojdowych gestów bezradni. Religia kapituluje, oddaje swoje święte symbole w ręce siły zupełnie innej. Gwarantem skuteczności rytuału jest wieś, nie Bóg. To Zrębinowi składali przysięgę. Przed Sojdą, królem Zrębina.

Bóg i religia służą tu do przypieczętowania zмовы swoją magiczną mocą. Sojda zna moc krwi: klnie się na własną krew, że jest niewinny, później w śledztwie chce padać krzyżem, rozerwie też zębami własny kciuk, żeby krwią zaświadczyć o swojej niewinności. Bierze Boga na świadka. Bo w jego świecie tak to działa: przysięga na krew i na Boga sprawia, że to, co przysięgane, staje się prawdą.

Czy Sojda wierzy w magiczną skuteczność swoich gestów, czy działa czysto cynicznie? Przecież wie, że przysięgając – kłamie. Zdaje sobie sprawę z mocy rytuałów i bezwzględnie ją wykorzystuje. Wie, jak manipulować strachem, napuszczać ludzi na siebie i wykorzystywać wiążące wszystkich we wsi więzy krwi i zasadę wzajemności. Ale czy przyrzekając na krew i krzyż, że jest niewinny, odgrywa teatrzyk na użytek organów ścigania z nadzieją, że ktoś mu uwierzy (jakimś cudem takie przysięgi nie przekonają socjalistycznej władzy)? Czy chce pokazać wspólnocie, że Jan Sojda u Boga też „ma załatwione”, że nawet Boga się nie boi i nawet Bóg go nie powstrzyma?

A może wierzy, że Bóg stoi po jego stronie albo nie jest dla niego konkurencją? Czy tak głęboko uwierzył we własną wszechmoc, że w

Zrębinie sam jest już nawet nie królem, lecz bogiem? A co jest dobre dla niego, jest dobre w ogóle?

8.

Kiedy Sojda, a potem jego zięciowie trafią do aresztu, rolę strażniczek zmowy przyjmą kobiety.

Powołują się na odwieczny porządek wsi. „Swoich chłopów trzeba bronić”, mówią. Przekonują, że tak naprawdę liczy się gromada, obłożona ze wszech stron przez organa ścigania komunistycznego państwa, przez dziennikarzy, a nawet przez księży – bo przecież ci księża nigdy w tę społeczność nie wrośli, nie stali się ludźmi stąd, a śmiały Zrębinowi mówić, co jest dobre, a co złe.

Przecież zawsze tak było. Zawsze na tym świecie chłop był sam przeciwko wszystkim. Przeciwko ziemi, z której wydierał gołymi rękami chleb powszedni, na której walczył o przetrwanie. Przeciwko panom, dla których był jak pociągowe zwierzę. Przeciw zaborcom. Przeciw okupantom. I wreszcie przeciw państwu, które choć z nazwy było ludowe, z chłopem poczynało sobie bez szacunku.

Przecież przodkowie tutejszych gospodarzy odrabiali pańszczyznę, płacili dziesięcinę, wystawiali zaciągi i podwoły, oddawali kontyngenty i świadczenia rzeczowe. Zrębin dobrze o tym wszystkim pamięta, choćby nikt tego głośno nie przypominał. Że chłop może liczyć tylko na Boga po śmierci i na gromadę tu, na ziemi, więc tylko gromadzie ufa, jej broni, bo ona broni jego, jej winien jest lojalność i posłuszeństwo.

Bo gdy przyszło morowe powietrze, głód, ogień i wojna, za chłopem nie stawał nikt. Nie stało po jego stronie nawet prawo, chociaż to właśnie tutaj, w Połańcu, Tadeusz Kościuszko ogłosił znoszący pańszczyznę uniwersał. Prawo i sprawiedliwość zawsze

były po stronie pana, pan był prawem i to pan wymierzał sprawiedliwość. Z chłopem praw nikt nie ustalał, prawo było przeciw chłopu, narzucane batem, knutem, karabinem, milicyjną pałką.

Takiego prawa nie nosi się w sercu.

Więc prawo można, a nawet trzeba oszukiwać. Okpić tak, jak kiedyś pana. Pan nie miał dla chłopu litości, więc chłop, kiedy mógł, odpłacał panu pięknym za nadobne. Sprawiedliwość ziemską chłop nie chroni. Zrębin nie potrzebuje więc takiej sprawiedliwości. Zrębin sobie poradzi, ma swoją sprawiedliwość. Zrębin nie chce, żeby jakaś władza mieszała się w jego sprawy, Zrębin ma też swoją władzę. Rząd dusz i ekonomiczny postronek dzierży Jan Sojda, nawet przez mury więzienia.

Sojdowe baby przekonują zatem, że adwokaci mają tak zapłacone, że zaraz wszystkie chłopy wyjdą. Że Sojda przecież zna prawa. Ma znajomości. Ma pieniądze. A jak wyjdzie, to będzie wiedział, komu winien jest wdzięczność, a kto go w chwili próby zdradził. I nikt nie chciałby być wtedy w skórze zdrajców.

Więc Zrębin Sojdowych bab słucha. Ludzie wiedzą swoje. Jak odnotuje sąd w uzasadnieniu wyroku, za mówienie grozi wrogość reszty wsi. A gdy warunkowo wychodzi na wolność siostra Sojdy, skazana za nakłanianie do składania fałszywych zeznań, przekonują się, że Sojda rzeczywiście jest mocniejszy niż sąd. I że sam też niebawem do Zrębina wróci. Zatem milczą.

Można się zdumiewać, że jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku istnieje w Polsce wieś niczym z Reymonta: gdzie granica wsi wyznacza granicę świata, dlatego tych granic trzeba bronić, bo dobre jest to, co jest dobre dla wsi i co ze wsi pochodzi. Ale czy to takie dziwne, skoro dopiero z początkiem czerwca 2018 roku mógł się zacząć proces w innej głośnej sprawie: brutalnego morderstwa siedemnastoletniej Iwony Cygan ze Szczucina? Tam też najpierw

trzeba było przełamać trwającą dwie dekady zмовę milczenia chroniącą jej oprawcę.

Szczucin leży tuż za Wisłą, niecałe dwadzieścia kilometrów na południowy zachód w linii prostej od Zrębina.

9.

Ludzie będą potem mówić, że się bali. I to nie tylko Sojdy, który, jak ktoś powie redaktorowi Łuce, „miał ciągnik, liczył się jako Bóg i znawca prawa” – czyli trzeba się z nim było liczyć, bo od tego, czy użyczy traktora mogły zależeć żniwa, i dlatego, że jako były ławnik znał się na prawie, a oni nie, więc jasne było, że prędzej czy później z aresztu wyjdzie i się z nimi policzy. Ale też dlatego, że był Sojda.

Trudno było nie bać się Sojdy. Psychiatrizy, którzy badali go na potrzeby procesu, napisali o nim, że jest silną osobowością o skłonnościach przywódczych, naturalnym liderem. Sąd w uzasadnieniu wyroku podkreślił: „Jego struktura osobowości ujawnia odchylenia w sferze charakteru i niedostatki w uczuciowości wyższej. Posiada on skłonności do zadrażnień, trudności w opanowaniu się, był wybuchowy”.

Ze wspomnień ludzi, akt procesowych i udzielonych Wiesławowi Łuce wywiadów wyłania się człowiek mściwy, pamiętliwy i pozbawiony skrupułów. Potrafi korzystać z wpływów. Ktoś wspomina, że gdy Sojda wmieszał się jego rodzinie w proces o miedzę, już wszystko było przegrane. Ale nie stroni też od przemocy i gróźb, potrafi złapać za siekiere. Gdy oskarża sąsiada, że jego pies zeżarł mu kury, żeby to udowodnić, chce zwierzęciu rozpruć brzuch.

Sojda bezwzględnie egzekwuje swoją pozycję we wsi – za pomocą łapówek i strachu. Wobec mieszkańców Zrębina występuje z pozycji

siły. Rzucone na niego oskarżenie uważa za dopust Boży, jawną niesprawiedliwość. Jakby uwierzył we własną wszechmoc, rzeczywiście czuł się królem.

Czy jest w nim rys psychopatyczny? Charakterystyczny jest jego brak empatii – czy gdy chce rozplatać psa, czy gdy katuje dziewiętnastolatkę w ciąży. Znakomicie manipuluje otoczeniem, odgrywa skrzywdzoną niewinność, jest przeczulony na punkcie własnego honoru. Mimo to Jan Sojda intuicyjnie świetnie rozumie ludzką naturę, której słabości potrafi wykorzystywać.

Ale przecież to ten sam Sojda, który po kursach PCK spieszy na pomoc, wyrywając bolące zęby i dając dzieciom zastrzyki. I pomaga przy zwierzętach, a na wsi uratowanie gospodarskiego zwierzęcia to przysługa nieoceniona. Gdy rozmawia z redaktorem Łuką, sprawia wrażenie wręcz ujmującego, dobrodusznego. Więc Sojdy ludzie się i boją, i podziwiają go. Czują wobec niego i trwogę, i fascynację. Dla Zrębina Sojda jest trochę jak ojciec – troskliwy, chociaż groźny, hojny, chociaż krewki, wymuszający swoją wolę za pomocą kija i marchewki. Od jego autorytetu nie ma się do kogo odwołać. Jest niczym prawdziwy król, kapryśny władca, którego trzeba czasem przebłagać, żeby spoglądał obliczem łaskawym, nie groźnym.

To taki człowiek, po którego stronie chce się być.

Pierwszy krąg, dwór otaczający Jana Sojdę, stanowi jego rodzina. Karna i posłuszna, jak gdyby był nie królem świętokrzyskiego Zrębina, lecz donem z Sycylii czy Kalabrii. Jest wśród tego dworu kierowca Józef A., którego żonę posądzono o kradzież wędlin i który posłusznie zrealizuje morderczy plan szwagra. Są też zięciowie Sojdy: taksówkarz Jerzy S., ojciec dwojga dzieci, cieszący się – jak zostanie to odnotowane w wywiadzie środowiskowym – dość dobrą opinią i prestiżem, którego przydawał mu fiat 125p. Sąd zaznaczy też, że „w sytuacjach trudnych szuka on oparcia o jednostki silniejsze, stosunkowo łatwo ulega wpływom otoczenia”. Jest też

Stanisław K. – tak jak Socha przed trzydziestką, z trójką dzieci. Majster na budowie połanieckiej elektrowni, w środowisku lubiany, ale w Zrębinie znany z opryskliwości i drażliwości. To on będzie groził stłoczonym w Sanie świadkom zbrodni, że mogą skończyć jak Krysia z mężem i bratem, będzie też wulgarnie lżył jej rodzinę. A na sali rozpraw nie zawaha się grozić świadkom i prowokować sąd.

Są też ich kobiety: siostra i córki Sojdy, zdaniem sądu: „znacznie bardziej od nich przedsiębiorcze” i wywierające na nich wpływ. One też potrafią zastraszać, a nawet zwyzywać od nazistów milicjantów przy aresztowaniu.



Jak zauważy sąd, wszyscy uczestnicy zbrodni, podczas której jedna z ofiar wołała do jednego z morderców „wujku”, „utrzymywali poprawne stosunki rodzinne i byli ze swymi rodzinami uczuciowo związani”. Sprzeczność? Niekoniecznie. Rodzina w Polsce uchodzi za świętość, a wszystko, co z nią związane, kojarzy się jednoznacznie pozytywnie. Są jednak sytuacje, kiedy jej dobro, w tym dobro własne, wypiera i zastępuje normy moralne.

Jan Sojda znajduje się w centrum zamkniętego świata Zrębina, dla którego mieszkańców jego figura urasta do monstrualnych rozmiarów. Im bliżej króla, tym jego wpływ oddziałuje silniej. Na peryferiach wsi, gdzie lądują wszyscy ci, którzy w hierarchii stoją najniżej, magnetyzm Sojdy działa najslabiej. To tam pęka mur milczenia. Pierwsze wyłamują się dzieci. Staszek S., dziecko z najuboższej rodziny we wsi, ale też siostry G., dziewczynki wyzywane przez bliskie Sojdom kręgi od głupich. Dzieci nie są jeszcze pełnoprawnymi członkami wspólnoty, nie ciążyą więc na nich powinności, które wspólnota nakłada, nie znają konsekwencji złamania jej zasad. Poza tym od dorosłych słyszą, że trzeba mówić prawdę. Najmłodszy nie mieli się jeszcze czasu nauczyć o życiu tego, co z czasem sprawia, że dorośli o zasadach zapominają.

Im dalej w las, tym Zrębin bardziej podzielony, nawet w wiernym królowi centrum. Jedni bronią go do upadłego, pozostając pod jego czarem, a inni opowiadają o absurdalnym i nieadekwatnym strachu przed królem. Strachu, z którego zgodzili się robić rzeczy głęboko niemoralne. Czego się boją mieszkańcy Zrębina? Przecież Sojda to nie Niemcy, którzy przyjdą spacyfikować zbuntowaną wieś, chociaż opowiadają o nim, że dopuścił się kiedyś rozboju. Może nawet zabił. I wiedzą, co się stało tuż po wojnie.

Ale oni bali się nie tylko Sojdy. Bali się sąsiadów, którzy też widzieli i wiedzieli. Bali się, bo wieś, która przecież jest miejscem życia, karmi i daje bezpieczeństwo, nie wybacza tym, którzy wyłamują się

z reguł gromady i stają po stronie obcych: prokuratora, milicji, sędziów. To wieś, jej porządek, jest gwarantem Sojdowej władzy. Dlatego wielu świadków tłumaczyło swe milczenie tym, że chodziło im o honor wsi. Bo kiedy nie ma się nic, jedynie honor, to dla niego się zrobi wszystko.

Babka Krysi i Miecia, matka Zdzisławy K., matki zamordowanych, wyrzucać będzie córce, że na swojego wygaduje. Że dzieciom życia to nie przywróci, a Sojda przecież przy zwierzętach pomagał.

10.

Ale korzeni zrębińskiej zbrodni należy szukać głębiej, również w czasie.

Jak później ludzie powiedzą dziennikarzowi Wiesławowi Łuce, opisując atmosferę w czasie śledztwa i procesu, „we wsi jest strach jak za Niemca”.

W czasie wojny Zrębin doświadczał grozy w różnych postaciach. Świętokrzyskie lasy były schronieniem grup partyzanckich od NSZ przez AK po BCH i AL. Walczyły one z Niemcami, z komunistami i ze sobą nawzajem. Powstawał z tego mętlik w głowach i sumieniach. A w 1945 roku wojna wcale się tu nie skończyła: walki ciągnęły się jeszcze do 1949 roku. Mieszkańcy połanieckich lasów na pewno byli świadkami potyczek, egzekucji, pacyfikacji, mordów na Żydach. Widzieli krew i śmierć na własne oczy, doświadczyli głodu, strachu i bólu.

Uczyli się przetrwania, milczenia i samoobrony. Patrzyli, jak życie ludzkie taniało. I jak czyjaś śmierć może przynosić całkiem konkretne korzyści. Takiej lekcji nie da się zapomnieć.

Także Jan Sojda, urodzony w 1928 roku, na pewno dobrze zapamiętał wojnę. W czasie okupacji był nastolatkiem, wchodził w

wiek męski. Należał do pokolenia, które wojna ukształtowała. Dojrzewał, kiedy zawieszeniu uległ normalny porządek moralny, a zastąpił go prymitywny etos przetrwania, siły lub honoru. Jakież piętno odcisnęła na nim wojna?

Wojenne pokolenie to ludzie, którzy patrzyli na śmierć, często sami ją zadawali, wyrastali więc skrzywieni, nawykli do walki i przemocy. W relacji Wiesława Łuki mieszkańcy Zrębina wciąż przywołują wojenną traumę, wspomnienia łapanek i grozy. Organizują się we wspólnotę przetrwania, sami nieufni przeciw wrogiemu światu.

A podziały w Zrębinie, zauważa dziennikarz, przebiegają dokładnie po liniach, które wyżłobiły tam czasy tuż powojenne.

II.

Jan R. był wtedy młodym komunistycznym działaczem, ORMO-wcem, zaprowadzał nowe porządki, namawiał, żeby się zapisywać do PPR, urządzał pochody pierwszomajowe. A jednej soboty roku 1947 przyszedł do dziewiętnastoletniego Jana Sojdy z trzema milicjantami i wyrokiem. Osiem miesięcy więzienia za gwałt na siedemnastoletniej Krystynie W., z którą pracowali dorywczo przy pasaniu bydła i czyszczeniu stawów. Dziewczyna zaszła w ciążę, dziecko zmarło niedługo po urodzeniu. Osiem miesięcy to niski wyrok za gwałt – ale w aktach sprawy zachowała się notatka urzędowa z nieco inną wersją: w jej świetle wyrok młody Sojda dostał za to, że o ojcostwo pomówił... ojca dziewczyny. Tak czy inaczej, przy aresztowaniu był Jan R. Miało do niego dojść na wiejskiej zabawie, ORMO-wiec wystrzelił w powietrze. Zadra w Sojdzie została na zawsze.

Trzy lata później na podwórku Sojdy zostaje zastrzelony Marian,

syn Jana R. Karabin należy do Sojdy, miał go jeszcze z czasów wojny. Strzelał jego kompan, Bronisław C. Tłumaczą, że chcieli strzelić do psa, którego chłopak prowadził, trafili w niego. Przykrywają zwłoki gałęziami, ciało leży na Sojdowym podwórzu dwa dni.

Według oficjalnej wersji był to nieszczęśliwy wypadek. Bronisław C. dostanie krótki wyrok. Po odsiadce zginie w tajemniczym wypadku samochodowym.

A Sojda zaczyna budować we wsi swoją pozycję, cały czas rywalizując z Janem R. o rolę lidera. Jan zasiada w Gromadzkiej Radzie Narodowej, reprezentuje władzę. Sojda kpi z mieszkańców Zrębina, że się przed R. trzęsą. Ja się go nie boję – ma podkreślać. Tych dwóch mężczyzn większość życia spędzi na konkurowaniu o swoją wieś.

Formalny działacz i nieformalny lider. Szeryf i król. Jeden noszący sztandar na Pierwszego Maja, drugi noszący chorągiew w kościelnych procesjach.

Czy Marian R. był pierwszą ofiarą wróżdy Sojdy na rodzie Jana? Bo Krysia i Miecio byli ostatnimi: to wnuki Jana R. Jak odnotuje sąd, w wigilijną noc w autobusie San Jan Sojda miał mówić, że pragnie wybić całe Janowe plemię.

Bo to nie była zbrodnia za kiełbasę ani nawet za obrazę siostry. To, co się wydarzyło dwudziestego czwartego grudnia 1976 roku, było ostatnim aktem zemsty na starym wrogu, ostatecznym zwycięstwem, spełnieniem nabrzmiewającej, pielęgnowanej przez lata nienawiści.

„Też jestem cham! Wiem, jakie chamy są na wsi! – podyktował już w więzieniu Jan Sojda redaktorowi Łuce, chcąc powiedzieć coś na swoją obronę, ale być może streścił w tym swój motyw. – Są takie, że jak dziadek powiedział wnuczce, że pradziadkowi wnuczka ktoś z jakiejś rodziny wyrządził krzywdę, to ten prawnuczek zapamięta i pomści krzywdę”.

Jan Sojda pokonał konkurenta, wyniszczył jego ród i dowiódł swego prawa do przywództwa przed całą wsią. To dlatego na miejsce zbrodni przywiózł ze sobą pełen autobus świadków.

To tylko pozornie zdumiewające, że zbrodniarz, zamiast ukrywać swój czyn, dopilnowuje, żeby świadkowie wszystko zobaczyli. Ludzie w Sanie nie byli świadkami, lecz publicznością. Ta zbrodnia nie mogła pozostać w ukryciu, bo miała być świadectwem Sojdowej władzy.

To nie Krysia miała popamiętać krzywdę z wesela. To Zrębin miał zapamiętać, kto tu jest królem.

12.

Z akt sądowych:

„Środowisko okolic Połańca, a w szczególności wsi Zrębin, Wolica i Kamieniec, jest wyjątkowo specyficzne. Pomijając już nawet bardzo szerokie koligacje rodzinne, podnoszące w pewnym sensie hermetyczność środowiska – charakteryzuje się ono daleko posuniętym alkoholizmem i niskim poziomem rozwoju etycznego i intelektualnego, co dało się wyraźnie odczuć podczas rozpraw. Zwraca tu szczególną uwagę fakt, że w czasie «Pasterki» wszyscy, nie wyłączając miejscowego aktywu i kilkunastoletnich dziewcząt, byli pijani. Z wypowiedzi świadków wynikało wyraźnie, iż nie interesowało ich nic, co nie dotyczyło samych świadków bezpośrednio. (...) Dodać do tego należy również autorytet, jakim cieszył się oskarżony Jan Sojda w niniejszym środowisku. Znany on był jako człowiek bardzo zamożny, potrafiący dbać o swe interesy w sposób wskazujący na jego ustosunkowania, pełnił funkcje społeczne, jak np. ławnika sądowego. Uważany był za obrotnego i zaradnego człowieka, a jednocześnie stała za nim cała, szeroko

rozwinęta rodzina, której był przywódcą. Znany był również fakt jego uprzedniego skazania za gwałt.

Uwzględnij tu też należało, że na wymienionym terenie w ubiegłych latach dochodziło do innych zabójstw, których sprawca nie został wykryty.

Widoczna jest również w środowisku niechęć do organów ścigania i ich ingerencji w życie mieszkańców Zrębina”.

Ciężko miał sąd z mieszkańcami Zrębina. Świadkowie utrudniali, motali, ich zeznania były sprzeczne, wielokrotnie zmieniane, ustalane między sobą. Na sali rozpraw coraz więcej emocji, coraz mniej konkretów. We wsi się cieszą, że „chłopy zaraz wyjdą”. Nikt tam nie zna się na prawie. Oprócz Jana Sojdy oczywiście, który przecież nie pozwoli sobie zginąć.

Ludzie więc chodzą do sądu i kłamią, dziwiąc się, jakie to łatwe.

Sąd sięga zatem po argument siły. Tych, którzy kręcą, wsadza do aresztu. A za kratami wpływ wspólnoty słabnie, zaczyna za to doskwierać sankcja za złamanie prawa. Jest dużo czasu, żeby pomyśleć, zatęsknić za bliskimi, zastanowić się nad sobą.

Tym, którzy składają zeznania, ich sąsiedzi, jeszcze niedawno bliscy jak bracia w niedoli, teraz okazują pogardę, wrogość, plują, wyklinają, rzucają kamieniami, niszczą dobytek. Niektórzy świadkowie, wróciwszy do wioski, odwołują zeznania. Nie starcza im odwagi, by mówić prawdę, gdy przeciwko sobie mają wszystkich.

Ale proces nieubłaganie się toczy, chociaż przecież „było zapłacone”, a Sojdowe chłopy już nie raz miały wychodzić. Mijają miesiące. Czyżby więc Jan Sojda nie był taki wszechmocny? Zaczyna się chwiać konstrukcja zbudowana z przysięg i zobowiązań. Ludziom coraz mniej przychodzi z ukrywania prawdy. A spora część gospodarzy siedzi w więzieniu za fałszywe zeznania, nie ma więc kto oporządzić zwierząt, gospodarstwa leżą odłogiem. Ci, którzy z

więzienia wychodzą, wracają z piętnem. Sojdowe łapówki przestają wystarczać na życie, gospodarstwa podupadają, ludzie popadają w nędzę.

Do tego przychodzi nieurodzaj. Jak notuje redaktor Łuka, „w przyrodzie koło Połańca latoś wszystko się pokołowało». Patrzcie: do połowy maja deszcz, kartofli nie można było posadzić, do końca lipca prażyło, bez kropelki rosy, puste kłosa kruszyły się podczas żniw...”.

Jan Sojda może być królem, bogiem Zrębina, i trzymać rząd dusz nad jego mieszkańcami, nie ma jednak władzy nad naturą. Czyżby król nie docenił niebios, które brał na świadka i zakładnika?

Na wsi gwarantem sprawiedliwości zawsze był Bóg. A była to sprawiedliwość surowa, zazdrosna i bezkompromisowa. Chłop liczył, że choć za życia cierpi, to po śmierci rachunki zostaną wyrównane z nawiązką. Godził się więc z niesprawiedliwością świata, pana, państwa, losu. Ale wiedział też, co to obraza boska. I że czasem wina jest tak wielka, że woła o pomstę do nieba. Wtedy Bóg zsyła plagę.

I plaga spadła na Zrębin tego lata. Susza, powódź i katastrofalne zbiory w niejednych oczach urosły do rangi boskiego skarania. „Kara boska na okolicę – mówił dziennikarzowi jeden ze świadków. – Ludzie inaczej nie gadają, ino kara boska. Suchota na okolicę za łzy Krysinej matki. Bo za co?”.

Okazało się wtedy, że u Boga Jan Sojda nie ma załatwione. Że Bóg za nim nie stoi. I że Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy. A boska kara uderza we wszystkich po równo: w tych, co zabijali, i w tych, co patrzyli. Więc skoro tak, to czy znaczy to, że wszyscy są winni?

Być może to wtedy przynajmniej do niektórych w Zrębinie dociera, co się wydarzyło, w czym uczestniczyli. Co uczynili. I że Sojda może i jest królem, ale nie jest bogiem.

Przerwany zostaje łańcuch wzajemności. Okazuje się, że przyjęcie na siebie ryzyka uczestnictwa w zмовie milczenia przestaje przynosić korzyści. Że mieszkańcy Zrębina ryzykują dużo więcej niż nieprzyjemności na milicji i niełasę miejscowego watażki. Dużo więcej nawet niż własne bezpieczeństwo, którego nie zapewnią im już pieniądze z Sojdowej kieszeni – a w niej też widać już dziury.

Że ryzykują własną duszę.

13.

Sędzia nie znalazł okoliczności łagodzących. Sąd Wojewódzki w Tarnobrzegu z siedzibą w Sandomierzu dziesiątego listopada 1979 roku skazuje Jana Sojdę, Józefa A., Stanisława K. i Jerzego S. na karę śmierci. Henryk W. dostaje pięcioletni wyrok. Osiemnastu kolejnych mieszkańców Zrębina trafia do więzienia za składanie fałszywych zeznań.

We wsi szok. Ale jest jeszcze możliwa apelacja. Sojdowe baby się nie poddają. Nikt nie odetchnął z ulgą, ludzie dalej czujni, nieufni. Dla nich to nie koniec.

Ostatecznie Jerzemu S. i Stanisławowi K. Rada Państwa okaże nieco łaski i zamieni wyroki na dwadzieścia pięć i piętnaście lat. Odsiedzą jedenaście i czternaście lat. Jan Sojda i Józef A. nigdy do Zrębina nie wrócą.

Dopiero wtedy coś się przełamuje. Sprawiedliwości staje się zadość, chociaż dla rodziny zamordowanych sprawiedliwość ma gorzki smak samotności. Sojdy już nie ma, matka Zdzisławy może wreszcie zacząć żałować wnuków i pogniewać się na rodzinę Sojdów. Nic już jej nie zrobią.

Ale do Zrębina nie powróci także spokój.

Krajobraz po zbrodni. Ojciec Staszka S. się powiesił. Sam Staszek skończy w Morawicy, miejscowym szpitalu psychiatrycznym, na

odwyku. Leszek B. podobno się utopił. Wieś jest w rozłamie. Ludzie zamknięci, skrzywdzeni i w poczuciu głębokiej niesprawiedliwości. Niektórzy, jak ich dziadowie i pradziadowie, hodują głęboko w siebie myśl o zemście.

Czas nie leczy ran. Ci, których nie stracono, wracają do wioski i żyją tuż obok rodzin swoich ofiar. Dobrze im się powodzi. Krzaki na zakręcie przed wsią odrosły. Ludzie na pastercie dalej śpiewają kolędy. Czy udało im się zapomnieć? Czy rodziny zamordowanych i tych, co mordowali, fałszywie zeznających i milczących siadają obok siebie w kościele i przekazują sobie znak pokoju? Czy może śni im się czasem żółte światło latarki, krzyk chłopca i płacz kobiety? Czy w tym śnie znowu muszą podjąć decyzję? I co robią?

Zrębin zapisze się w dziejach polskiego sądownictwa i kryminalistyki. Co jakiś czas do wioski powracać będą dziennikarze, pisarze, naukowcy. I powtarzać o niesłychanej zbrodni, która nie mieści się w głowie.

Ale to przecież nieprawda.

14.

Pośród zbrodni, które wydarzyły się w Polsce, ta ze Zrębina jest zarazem jedną z najbardziej niezrozumiałych, jak i banalnych. Przemyślnych, jak i nieudolnych.

Nieudolny – jakkolwiek to zabrzmiało – był sam mord, nieudolne było zacieranie śladów, ale też początki dochodzenia. A równocześnie wszystko odbyło się niebywale przemyślnie, bo z wykorzystaniem potężnych mechanizmów, którym podlegał nie tylko chłop na świętokrzyskiej wsi, ale którym podlegamy my wszyscy. W relacjach z rodziną. Na ulicy. Wobec władzy. W urzędzie podatkowym. W autobusie.

O babce Krysi i Miecia, która odradzała ich rodzicom donosić na

Sojdy, bo dzieciom życia to nie przywróci, sąd napisał w uzasadnieniu wyroku, że to się „nie mieści w kategoriach myślenia normalnego człowieka”. Przeciwnie. Trudno o coś bardziej normalnego.

W Zrębinie stało się coś strasznego, ale nie zdumiewającego. Zasada wzajemności, konformizm, rozproszenie odpowiedzialności, anomia, ludowa religijność, magia, poczucie sprawiedliwości i honoru – to występujące powszechnie w życiu społecznym zjawiska i mechanizmy. Nie wszystkie pozytywne, ale wszystkie – ludzkie.

Sojdom jest mało, ludzi w autobusie – tysiące. Ale zło czynione przez tych pierwszych może się wydarzyć za sprawą tego, jak postąpią ci drudzy. Bierność ludzi w autobusie była warunkiem powodzenia planu Jana Sojdy. Geniusza-naturszczyka społecznej manipulacji, który wiedział, że może na nią liczyć. I się nie przeliczył.

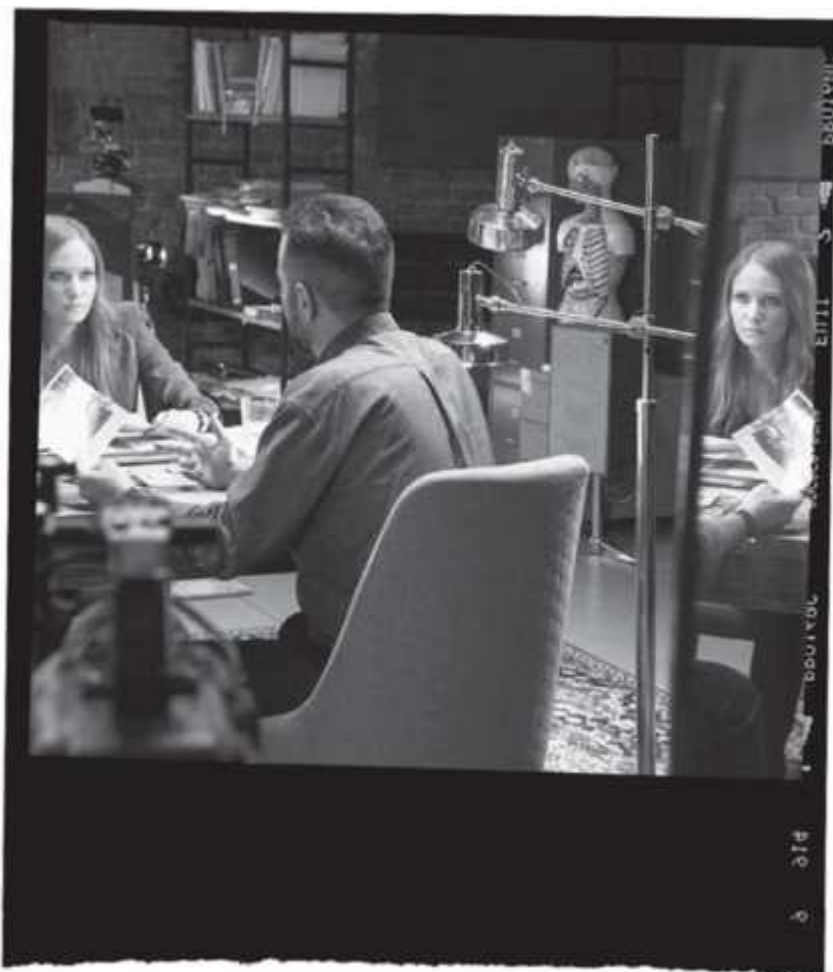
Co takiego musi się stać, żeby dobrzy ludzie robili złe rzeczy? Może wystarczy lęk, że nie pożyczą ciągnika. Może wiara, że ważniejsi są nasi, że kto nie z nami, ten przeciwko nam. Może tylko myśl, że lepiej się nie wychylać. A może zbyt ufnosc, że to nie o nas chodzi, że zło nas nie dotyczy i nie dotyka. Że my przecież jesteśmy porządnyimi, dobrymi, odważnymi ludźmi.

A tak często siedzimy w autobusie.

15.

Jan Sojda i Józef A. zawiśli na szubienicy dwudziestego trzeciego listopada 1982 roku w krakowskim areszcie śledczym przy ulicy Montelupich. I to też potomkom rodu Jana R. życia nie przywróciło.

Nienarodzone dziecko Krysi i Staszka miałyby dziś czterdzieści jeden lat.



Sprawa połaniecka pochłonęła ich bez reszty z kilku powodów. Po pierwsze, to jedna z najbardziej znanych spraw w polskiej kryminalistyce. Po drugie, ze względu na antropologiczne wykształcenie Małgorzaty zainteresowała ich sama wieś Zrębin i mieszkający tam ludzie. Na pozór to typowa, niczym niewyróżniająca się wioska, a ludzie z autobusu też nie różnią się od tych z innych wsi. Dlaczego więc właśnie tam doszło do zbrodni i zмовy milczenia?



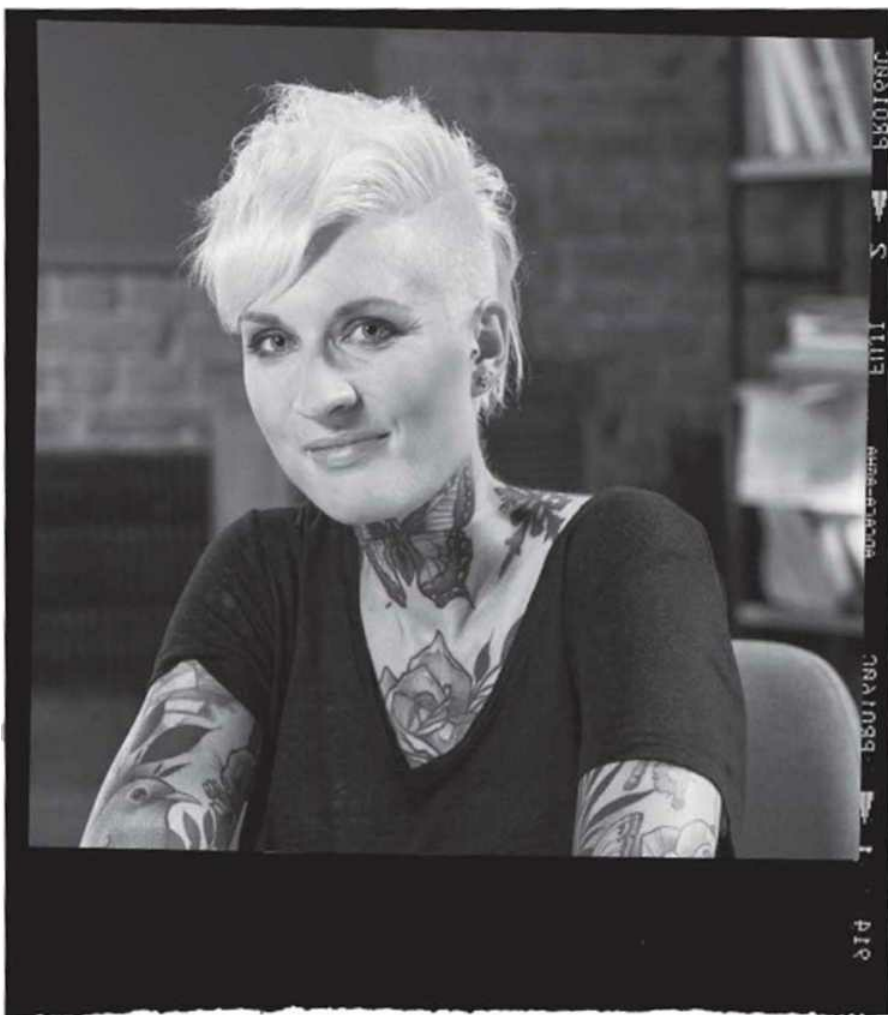
MORDERSTWO NA DZIESIĄTYM PIĘTRZE

**KATARZYNA
PUZYŃSKA**

KATARZYNA PUZYŃSKA

Urodzona w 1985 roku. Z wykształcenia psycholog. Przez kilka lat pracowała jako nauczyciel akademicki na wydziale psychologii. Teraz całkowicie skupiła się na swojej największej pasji, czyli pisaniu. W wolnych chwilach biega i zajmuje się swoim czworonożnym stadem – psami, kotem i końmi. Uwielbia Skandynawię i Hiszpanię. Kocha muzykę punkową i metalową. Mówi się, że jest najbardziej wytatuowaną polską pisarką. Od lat jest wegetarianką.

Debiutowała doskonale przyjętą książką *Motylek*, która rozpoczyna sagę o policjantach z niewielkiej wsi Lipowo. Seria o Lipowie to nie tylko trzymające w napięciu klasyczne kryminały psychologiczne, ale także powieści z rozbudowanym wątkiem społecznym i obyczajowym, porównywane do książek Agathy Christie i Camilli Läckberg. Prawa do publikacji powieści Puzyńskiej sprzedano do ponad dwudziestu krajów. Puzyńska jest też autorką książki *non-fiction* pt. *Policjanci. Ulica*, w której razem ze swoimi rozmówcami przedstawia służbę funkcjonariuszy prewencji oraz ruchu drogowego od zupełnie innej strony niż robiono do tej pory.



„Nie można ufać nikomu, nigdy”.

Wtorek, trzydziesty sierpnia 1994 roku. Gorąco. Taki dzień, że ciężko złapać oddech. W Bydgoszczy taki sam skwar jak w reszcie kraju. Całe lato rekordowe temperatury. Dobrze, że w okolicy jest całkiem sporo zieleni. Można znaleźć choć odrobinę zbawiennego cienia i nareszcie odpocząć. Na przykład pod jednym z bloków.

Zbliża się godzina piętnasta. Życie toczy się swoim rytmem. Zaaferowane kobiety dyskutują pod blokiem. Za kilka dni początek roku szkolnego. Nie wszystkie zdążyły kupić podręczniki i zeszyty dla swoich pociech. Poza tym galowe ubrania ciągle jeszcze niewyprasowane.

Dzieciaki biegają wokół matek jak szalone. Zupełnie nie zważają na upał. Ani myślą siedzieć na ławce pod blokiem, jak im kazano. Przecież już za chwilę długie miesiące szkoły. Bezruchu będzie aż nadto. Trzeba jak najlepiej wykorzystać ostatnie dni wakacji.

Nikt nie wie jeszcze, że już za kilka godzin pojawi się tu karetka pogotowia, policyjne radiowozy i prokurator. Na razie nikt nie patrzy w górę na dziesiąte piętro. Choć potem wszyscy będą zadzierać głowy w daremnej próbie, żeby coś dojrzeć.

Nikt nie wie, że przed chwilą brutalnie zadźgano tam Joannę S. Ogarnięty furją sprawca zadał jej kilkanaście ran. Nikt nie wie, że jej ciało stygnie powoli w kałuży krzepnącej krwi. Nikt o tym nie wie. Jeszcze.

Potem będą mówić o tym wszyscy.

Joanna

Piękna, długowłosa blondynka. Pół roku temu skończyła dwadzieścia dwa lata. Jak wielu młodych ludzi miała mnóstwo

planów na przyszłość. Kochała muzykę. Zwłaszcza Depeche Mode – mogła ich słuchać godzinami. Sama też chciała śpiewać zawodowo. Dlatego niedawno rozpoczęła naukę w Akademii Muzycznej. Na razie jednak jest sierpień. Joanna cieszy się z wakacyjnej laby. I powoli, nieśmiało zaczyna planować ślub.

Dwa tygodnie temu, podczas wakacyjnego wyjazdu, chłopak poprosił ją o rękę. Poznali się jakieś cztery lata wcześniej. Można powiedzieć, że połączyła ich muzyka. To było na zlocie fanów Depeche Mode. Teraz mieli być razem już zawsze.

Joanna nie posiada się ze szczęścia. Jest rozemocjonowana. Trzeba to wszystko zorganizować. Pomyśleć, kogo zaprosić, jaką sukienkę założyć. Białą czy może kremową? Długą czy krótką? Tyle rzeczy do zrobienia! To wszystko napędza ją radością i ekscytacją.

Chętnie dzieli się tym z innymi. Jest towarzyska, zawsze otoczona wianuszkiem zgranych przyjaciół. Łatwo nawiązuje kontakty i natychmiast zjednuje sobie nowych ludzi. Jest spokojna, uczuciowa i właściwie nigdy nie zdarza jej się nawet przekląć. Całe życie przyświeca jej zasada, że jeśli będzie dobra dla innych, to inni będą dobrzy dla niej.

Czas pokaże, że grubo się pomyliła. Trzydziestego sierpnia 1994 roku zostanie zamordowana. Zabójca zada jej kilkanaście ciosów. Biegli z Zakładu Medycyny Sądowej powiedzą później, że żaden z nich sam w sobie nie był śmiertelny. Dziewczyna umiera z powodu stopniowego wykrwawienia.

Czerwona kałuża wokół jej ciała robi się coraz większa. Metaliczny posmak krwi w ustach sprawia, że Joanna raz po raz się krztusi. Wie, że zbliża się koniec. Nie ma siły już krzyczeć. Jedynie cicho błaga swojego oprawcę o pomoc.

Ale on tylko patrzy. Stara się uspokoić oddech po szarpaninie. Ubranie ma całe we krwi. Jej krwi. Kolejne błaganie o pomoc. O nie, on nie zamierza pomagać. Nie po to przecież przyszedł tego

sierpniowego dnia do mieszkania na dziesiątym piętrze. Przyszedł po to, żeby ją zabić.

Dlaczego?

Znajomy

Dzwonek do drzwi. Może dwa. Jest niedługo po godzinie czternastej. Joanna zerka przez wizjer. Zawsze tak robi. Najczęściej jest bardzo ufna w stosunku do ludzi, ale bywa też bardzo ostrożna. Nigdy na przykład nie otwiera, jeżeli nie upewni się najpierw, kto jest po drugiej stronie drzwi. Za dużo mówi się o tym, jak niebezpiecznie się zrobiło, żeby bez sensu ryzykować.

On jej jeszcze nie widzi, ale dziewczyna uśmiecha się pod nosem na widok mężczyzny czekającego na korytarzu. Chłopak niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Kciuki ma zaczepione o szlufki przy plecaku. Patrzy na swoje buty. Podnosi wzrok dopiero, kiedy słyszy zgrzyt klucza przekręcanego w zamku. Pora na kolejne uśmiechy i krótkie, serdeczne powitanie. Joanna nie wie przecież, że właśnie wypuszcza do domu swojego zabójcę.

Śledczy nie znajdą potem śladów włamania. Drzwi mieszkania na dziesiątym piętrze pozostały nietknięte. To tylko potwierdzi tezę, że sprawcą był ktoś, kogo Joanna знаła. Albo przynajmniej ktoś, kogo się tamtego dnia spodziewała zobaczyć po drugiej stronie drzwi.

Ten ktoś jej nie zaskoczył, skoro otworzyła mu drzwi mimo swojej ostrożności. Daje to śledczym pewien punkt zaczepienia. Uznają, że trzeba zacząć od znajomych dziewczyny. Niestety szybko się okazuje, że osób do przesłuchania jest bardzo dużo. Nie ma wyjścia. Pozostaje porozmawiać ze wszystkimi po kolei. Rodzina, bliźsi i dalsi znajomi. Koledzy i koleżanki. Od podstawówki po Akademię Muzyczną. Wszyscy stawiają się na wezwanie policji.

Śledczy nie od razu zorientują się, że któraś z tych osób kłamie. Dojście do prawdy zajmie długie dwadzieścia lat.

Narzeczoney

Na pierwszy ogień idzie Marcin K., narzeczoney Joanny. Najbliżsi ofiary zawsze znajdują się w kręgu podejrzanych. Poza tym to właśnie Marcin znalazł ciało Joanny. To wszystko nie stawia go w najlepszym świetle.

Dzień wcześniej chłopak rozpoczął nową pracę. Kilka ulic dalej, po drugiej stronie rzeki. Kiedy wychodzi rano, Joanna jeszcze śpi. Są przecież wakacje, nigdzie się nie spieszy. Marcin stara się jej nie obudzić. Tylko delikatnie całuje ją w czoło na do widzenia. Skąd ma wiedzieć, że to ostatni raz? Gdyby tylko wiedział... Obudziłby ją, porozmawialiby... Gdzie tam, w ogóle by nigdzie nie poszedł... Nie dopuściłby do tego, co się stało...

A tymczasem idzie do pracy. To jakieś pół godziny na piechotę od miejsca, gdzie kobieta, którą kocha, zostaje zamordowana. Z pracy wychodzi po osiemnastej. O niczym oczywiście nie wie. Dowie się dopiero za jakieś dwie godziny. Nie wraca bowiem od razu do domu. Ma jeszcze w planach wizytę u swoich rodziców. Oni też są podekscytowani ślubem. Przyszła synowa wydaje im się chodzącym ideałem. Ale najważniejsze jest to, że syn ją kocha.

Marcin je u rodziców późny obiad. Po dziewiętnastej dzwoni do Joanny, żeby powiedzieć jej, że będzie niedługo. Dziewczyna nie odbiera. To dziwne. Umówili się przecież wcześniej, że Marcin da jej znać, kiedy będzie wychodził. Chłopak wykreca numer kilkakrotnie. Może jakieś kłopoty na linii? Trzeba będzie to zgłosić.

Dorota

Marcin po raz ostatni próbuje wykręcić numer. Joanna znowu nie odbiera. Chłopak rusza więc do jej domu z mieszaniną irytacji i niepokoju. Na końcu języka dusi słowa delikatnej nagany. Denerwowałem się, odbieraj, proszę, następnym razem. Myślałem, że coś ci się stało. Nie wie jeszcze, że tym razem naprawdę tak jest.

Dzień powoli chyli się ku zmierzchowi. Dni są coraz krótsze. Już prawie wrzesień. Wieczór przynosi obietnicę ulgi po całodziennym upale. Mimo to chłopakowi nadal jest gorąco. Zdenerwowany wciska guzik domofonu. Raz po raz. Ale Joanna nie odpowiada. Gdyby spojrział w górę na dziesiąte piętro, zobaczyłby, że w oknach mieszkania jego dziewczyny nie pali się światło. Joanna gdzieś poszła? Niemożliwe, przecież by mu o tym powiedziała.

W końcu Marcin decyduje się zadzwonić do państwa M. Mieszkają na dziewiątym. Dorota M. to przyjaciółka Joanny. To ona wpuszcza narzeczonego ofiary na klatkę. Z Asią widziała się w ciągu dnia. Chyba koło południa. Wzięła dziecko i poszła na dziesiąte piętro, żeby rozmienić pieniądze. Joanna nie miała drobnych. Ot i cała rozmowa. Przyjaciółka zachowywała się zupełnie normalnie. Nie była zaniepokojona ani zdenerwowana. Nie bała się. Układała właśnie włosy. Być może kogoś oczekiwała?

Dorota wróciła na dziesiąte piętro dopiero koło osiemnastej. W ciągu dnia była z mężem u szwagierki. Po psa. Miał być właśnie dla Joanny. Przyszła jej o tym opowiedzieć. Zadzwoniła do drzwi, ale nikt nie otworzył. Pół godziny później spróbowała znowu. Z tym samym rezultatem. Nikt nie reagował na dzwonek.

Dorocie nie przyszło do głowy nacisnąć klamki. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby, że drzwi są otwarte.

Sprawca nie zamknął ich, wychodząc. Klucze zostały w środku. Może nie chciał sobie zadawać trudu? A może po prostu o tym nie

pomyślał?

Nie był przecież zawodowcem.

Asia chyba nie żyje

Marcin wbiega do mieszkania państwa M. niedługo po tym, jak Dorota wpuściła go do klatki. Przyjaciółce Joanny zdaje się, że minęło najwyżej pięć minut. Zupełnie się Marcina nie spodziewała. A już na pewno nie w takim stanie. Jest tak zdenerwowany, że początkowo trudno jej zrozumieć, co bełkocze.

W końcu do Doroty docierają poszczególne słowa. Nadal jednak ciężko jej je pojąć. Asia chyba nie żyje. Najwyraźniej to właśnie Marcin z uporem powtarza. Asia chyba nie żyje? Zdanie wydaje się zupełnie abstrakcyjne. Jak to? Nie żyje? Marcin jest kompletnie roztrzęsiony. Ciężko czeokolwiek się od niego dowiedzieć.

Biegną we dwójkę piętro wyżej. Echo niesie ich kroki po całej klatce schodowej aż do parteru. Dorota nie zwraca na to uwagi. Serce bije jej szybko. Zagłusza wszystko inne.

W przedpokoju idealny porządek. Nic niepokojącego. Przez chwilę Dorotę ogarnia irracjonalny spokój. Jednak nic się nie stało, powtarza sobie w głowie. Ale tymczasem Marcin już znika w małym pokoju. Z korytarza słychać jego błagania. Prosi, żeby Joanna wstała.

Kiedy Dorota zagląda do środka, pokój tonie w ciemności. Za oknem zapadł już szarawy zmierzch, a lampy nadal nikt nie włączył. Nie miał przecież kto. Marcin płacze głośno. Leży na ziemi obok ciała narzeczonej. Joanna ułożona na boku. Nogi ma podkulone, jakby przed śmiercią zwijała się z bólu. Na szyi widnieje głęboka rana. Wszędzie pełno zakrzepłej już krwi.

Dorota próbuje odciągnąć Marcina od ciała, ale jej się nie udaje. Na nic tłumaczenie, że już za późno. Joanna nie usłyszy jego

nawoływać, choćby krzyczał z całych sił. Chłopak pewnie gdzieś w głębi ducha o tym wie, ale nie ustaje w staraniach.

W końcu Dorota wycofuje się z powrotem do przedpokoju. Chce zadzwonić na pogotowie. Chyba to właśnie się robi w takich przypadkach. Chociaż Joanna już przecież nie żyje i nawet laik widzi, że śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Może więc najpierw trzeba wykreślić numer na policję? Dorota nie jest pewna, ale stara się z całych sił zachować resztki rozsądku w tej straszliwej sytuacji.

W końcu decyduje się zacząć od pogotowia. Może mimo wszystko nie jest jeszcze za późno? Może coś da się zrobić... Próby nawiązania połączenia z numerem 999 kończą się niepowodzeniem. Nie ma sygnału.

Dorota dopiero po chwili zauważa, że wtyczka telefonu jest wyciągnięta z kontaktu. Policja będzie później podejrzewać, że to sprawca ją wyjął. Może po to, żeby Joanna na pewno nie mogła zadzwonić po pomoc, kiedy powoli umierała? A może zrobił to przypadkiem, sprząając mieszkanie po dokonaniu morderstwa?

Ten szczegół długo będzie zaprzętał głowę śledczym, ponieważ na kablu zachowa się fragment odcisku palca. Niestety jest na tyle zatarty, że w dziewięćdziesiątym czwartym roku nie można go jeszcze skutecznie odtworzyć. Dwadzieścia lat później, kiedy dochodzenie zostanie wznowione, biegli również będą mieli z tym problemy. Nieuwaga mordercy tym razem uchodzi mu płazem.

Obcy w skórzanej kurtce

Nie tylko Marcin i Dorota próbują skontaktować się z Asią w ciągu dnia. Wczesnym popołudniem dzwoni też do niej Sławomir G. To kolega Joanny z wieżowca na Żmudzkiej. Mieszka kilka pięter niżej.

Znają się dość dobrze. Lubią razem spędzać czas. Narzeczony Joanny nie zabrania. Nie jest zazdrosny. Przynajmniej nigdy tego nie okazał. Poza tym nie dali mu przecież powodów. Przyjaźnią się tylko. Nic więcej.

Sławomir niestety niewiele może wnieść do sprawy. Od siódmej do siedemnastej był w pracy. Przyznaje się policji, że robi na czarno. To nie moment, żeby takie sprawy ukrywać. Stało się coś znacznie poważniejszego. Unikanie płacenia podatków to przecież nic w stosunku do tego, co morderca zrobił Joannie. Sławomirowi, jak i pozostałym znajomym dziewczyny, też nie przychodzi do głowy nikt, kto mógłby Joannie źle życzyć.

Co innego sąsiadki! To dzięki nim nieoczekiwanie następuje pewien przełom w śledztwie. Zeznają policji, że w dzień morderstwa widziały, jak wokół bloku kręcił się obcy mężczyzna. Nietrudno było zorientować się, że nietutejszy.

Niby blokowisko, ale i tak wszyscy się znają. Chociażby z widzenia. A to przystaną, żeby pogadać na skwerku przed blokiem, a to powiedzą „dzień dobry” na klatce schodowej. Jego nigdy tu nie widziały.

Poza tym ten nieznaną człowiek niezbyt tu pasował. Na oko miał może ze dwadzieścia kilka lat. Trzydziestu na pewno nie. Ciemne włosy. Ale najbardziej charakterystyczne było ubranie. Skórzana kurtka, granatowa koszula i do tego turkusowe spodnie.

Na podstawie zeznań spostrzegawczych sąsiadek zostaje sporządzony portret pamięciowy nieznanego mężczyzny. Rysunek trafia do lokalnych mediów, ale nie przynosi to wiele. Tylko matce Joanny wydaje się, że kojarzy nieznanego. To chłopak, którego Joanna знаła kilka lat temu. Nazywał się chyba Jacek. Uczeń zawodówki. Już wtedy pani Ewa nie chciała, żeby córka się z nim zadawała.



Czy to Jacka zobaczyła Joanna, kiedy wyjrzała przez wizjer na korytarz? To z nim była umówiona? Na tym etapie śledztwa nikt nie potrafi na te pytania odpowiedzieć. Wiadomo natomiast ponad wszelką wątpliwość, że kogoś jeszcze tego dnia oczekiwała.

Listonosz

Śledczy szybko ustalają, że w dniu swojej śmierci Joanna na pewno spodziewała się wizyty listonosza. Doręczyciel był jedną z ostatnich osób, które widziały ją żywą.

Lech S. zjawia się w bloku koło południa. Jak zwykle rozpoczyna roznoszenie poczty od dziesiątego piętra. Logiczne. Potem planuje przecież systematycznie kierować się w dół, aż do wyjścia. Joannie ma zostawić rentę po zmarłym ojcu. Dokładnie trzy miliony siedemset dwadzieścia dziewięć tysięcy sześćset starych złotych.

Dziewczyna zaprasza go do środka. Nie będą przecież załatwiać takich spraw przez próg. Poza tym listonosz i tak nachodzi się przez cały dzień. Niech przynajmniej na chwilę usiądzie w spokoju. Dla Joanny to żaden problem.

Już w przedpokoju doręczyciel zwraca uwagę na białe tenisówki niedbale ustawione na wycieracze. To męski rozmiar. Na pewno nie należą więc do Joanny. Obok, oparty o ścianę, stoi niebieski plecak ze stelażem. Nic w tym dziwnego. Wakacyjny czas, wszyscy w podróży. W każdym razie wygląda na to, że dziewczyna nie jest sama.

Kiedy listonosz wchodzi do dużego pokoju, jego przypuszczenia od razu się potwierdzają. Na tapczanie siedzi jakiś mężczyzna. Młody. Ciemny blondyn. Szczupły i niepozorny. Lech go nie zna. Chłopak nie odezwie się ani słowem podczas całej wizyty listonosza. Trudno powiedzieć, dlaczego. Jest nieśmiały? Czy może ma coś do ukrycia?

Listonosz opisze go potem policji. Na tej podstawie powstanie kolejny w tej sprawie portret pamięciowy. On też trafi do lokalnej prasy. Znowu bez powodzenia. Nikt nie wie, kim był tajemniczy gość Joanny ani czy to on właśnie zabił dziewczynę.

Książka

Białe męskie tenisówki i niebieski plecak ze stelażem pojawiają się w tym dochodzeniu raz jeszcze. Tym razem za sprawą Macieja Z. Jedna z wersji śledczych mówi, że to właśnie on mógł mieć motyw, żeby zabić Joannę.

Dzień przed śmiercią dziewczyny Maciej wpadł z niezapowiedzianą wizytą. To było wieczorem. Przyjęła go sama Joanna, bo Marcin spał już wtedy w drugim pokoju. Narzeczony dziewczyny był zmęczony pierwszym dniem w nowej pracy.

Podczas przesłuchania Maciej twierdzi, że przychodząc do mieszkania na dziesiątym piętrze, wcale nie spodziewał się zastać Joanny. Myślał, że będzie tam tylko pani Ewa S., jej matka. Przepuszczenie jak najbardziej uzasadnione. Joanna wyprowadziła się już dobrych kilka miesięcy wcześniej. Do Marcina.

Mogli wreszcie pójść na swoje, bo narzeczony odziedziczył mieszkanie po krewnym. Nie było zbyt duże, ale dla ich dwojga starczało. Zapewniało młodym ludziom tak potrzebną im swobodę. Każdy przecież marzy o własnym mieszkaniu. Mimo to, kiedy mama Joanny wyjechała na wakacje, postanowili na ten czas wrócić do mieszkania pani Ewy. Żadne z nich nie spodziewało się, jak tragiczne będzie to miało konsekwencje.

Maciej ma więc wszelkie powody, żeby być zaskoczonym, kiedy w poniedziałek wieczorem drzwi otwiera mu Joanna. Wyjaśnia, że przyszedł po książkę. Pożyczył ją kilka miesięcy wcześniej rodzicom

dziewczyny. Na Lekach z Bożej Łaski tak bardzo by mu nie zależało, gdyby nie to, że książka należy do koleżanki jego matki. Ta z kolei naciska, żeby ją odzyskać. Maciej podjął więc decyzję na gorąco. Wracając z pracy, postanowił wstąpić, żeby wreszcie załatwić sprawę i położyć kres ciąglemu niecierpliwemu gadaniu matki i jej koleżanki.

Jest u Joanny jakieś pół godziny. Szukają książki na półkach w salonie i w średnim pokoju. Do małego nie zagląдают, żeby nie budzić niepotrzebnie Marcina. Przy okazji poszukiwań rozmawiają na różne tematy. Wtedy też Maciej dowiaduje się, że Joanna niedawno się zaręczyła.

To zupełnie zaskoczenie. Chłopak o niczym nie wiedział. Tak przynajmniej twierdzi podczas rozmowy z policją. Śledczy ustalają dość szybko, że Maciej był w Joannie zakochany. Podejrzewają, że poniedziałkowa rozmowa mogła stanowić punkt zapalny, który sprowokował go do działania. Ślub z innym mężczyzną? To oznacza, że traci Joannę bezpowrotnie.

Czy jest to motyw na tyle silny, żeby następnego dnia zabić? A może chodzi o coś zupełnie innego?

Kradzież

Gdy policja zawiadamia matkę Joanny o morderstwie, pani Ewa natychmiast wraca do miasta. Jednego dnia odpoczywa spokojnie w swoim domu w górach, drugiego dostaje wiadomość, że jej córkę zabito. Niesamowity cios.

Ciężko pogodzić się z czymś takim. Rodzice nigdy nie powinni przeżyć swoich dzieci. To nienaturalna kolej rzeczy. Tragedia, której nie zrozumie nikt, kto jej sam nie przeżył. Jeszcze niedawno Asia śmiała się wesoło, podśpiewywała pod nosem, opowiadała, jaka jest

szczęśliwa z Marcinem... A teraz jej nie ma. Tak po prostu. Jakby ktoś ukradł pani Ewie jej największy skarb. Tak przecież było. Największy skarb. Nie ma nic cenniejszego niż życie.

Mimo pustki i rozpacz, którą odczuwa, matka Joanny musi jak najszybciej zebrać się w sobie. Nie ma czasu do stracenia. Musi pomóc policji, jak najlepiej potrafi. Niech ten, kto to zrobił, odpowie za swój czyn. Pani Ewa pomaga między innym ustalić, czy z mieszkania coś zginęło. Motyw rabunkowy często bywa powodem zbrodni. Może i tym razem o to chodziło.

Niemal natychmiast okazuje się, że przeczucia kryminalnych nie zawiodły. W mieszkaniu na dziesiątym piętrze brakuje kilku rzeczy. Nie ma na przykład radiomagnetofonu, pieniędzy z renty i emerytury, a także dokumentów Joanny: paszportu, dowodu osobistego, legitymacji szkolnej. Zginął też notes z adresami, trochę płyt i, co zaskakujące, kilka ubrań. Zarówno tych należących do Joanny, jak i do Marcina.

To wszystko faktycznie mogło sugerować kradzież. Tylko czy te przedmioty były warte aż morderstwa?

Otello

Wydaje się, że mimo wszystko można wykluczyć motyw rabunkowy. Wszystkie oczy kierują się więc znów na Macieja i jego zawiedzioną miłość. Podczas sekcji zwłok lekarz z Zakładu Medycyny Sądowej sprawdza, czy mogło dojść do gwałtu.

Na ciele ofiary zostają znalezione liczne otarcia naskórka. Do tego wiele innych obrażeń, w tym głębokie rany szyi, brzucha i klatki piersiowej. Sprawca atakował więc miejsca szczególnie newralgiczne. Rany na rękach dobitnie świadczą o tym, że ofiara próbowała się aktywnie bronić. Niestety bezskutecznie.

Za bezpośrednią przyczynę zgonu uznaje się wykrwawienie spowodowane uszkodzeniem mnogich naczyń krwionośnych wskutek odniesionych ran. Natomiast w pochwie Joanny lekarze nie znajdują żadnych śladów nasienia. Bezpośrednio przed jej śmiercią nie doszło więc do stosunku seksualnego.

To, że Joanna nie została zgwałcona, nie wyklucza oczywiście motywu, który przypisywano Maciejowi. W psychologii mówi się nawet o tak zwanym syndromie Otella, czyli patologicznej zazdrości. Osoba owładnięta tym uczuciem woli zabić przedmiot swojego pożądania i miłości, niż pozwolić, aby ktoś inny go posiadał. Zupełnie tak, jak zrobił to tytułowy Otello w klasycznej sztuce Williama Szekspira.

Otello jest dowódcą weneckiej armii. Żeni się z kobietą, którą kocha nad życie. Piękna wybranka nazywa się Desdemona. Początkowo nic nie zapowiada tragedii. Później jednak, na skutek intryg chorążego Jagona, Otello zaczyna obsesyjnie podejrzewać żonę o zdradę. W końcu ją zabija. Później zaś, zrozpaczony, popełnia samobójstwo.

Według niektórych statystyk właśnie zazdrość seksualna jest dominującą przyczyną przemocy w związkach i stanowi też jeden z głównych motywów zabójstw partnerów. W tym również byłych partnerów, którzy rozpoczęli nowe życie i zwiążali się z kimś innym.

Zupełnie, jak w przypadku Joanny i Macieja.

Zdążyłby

Maciej oczywiście wszystkiemu gorąco zaprzecza. Wiadomość o zaręczynach Joanny i Marcina była, co prawda, niespodzianką. To fakt, nie ma co z tym dyskutować. Ale związek z Asią to już przeszłość. Maciej zapewnia, że nie poczuł się jakoś szczególnie

tymi rewelacjami dotknięty ani tym bardziej zazdrosny. A już na pewno nie na tyle, żeby kogokolwiek zabijać. Co to, to nie.

Upiera się ciągle przy tym, że ostatni raz widział Joannę w poniedziałek, kiedy przyszedł odebrać pożyczoną książkę. Zapewnia solennie, że w dzień zabójstwa ani nie widział się z zamordowaną, ani w żaden sposób się z nią nie kontaktował. Zdaje się być pewny swego, ale jednocześnie nie ma alibi na czas morderstwa.

We wtorek trzydziestego sierpnia ma co prawda spotkanie z kolegą, ale przed południem. Wybierają się do jednego z popularnych lokali pogadać i wypić po kilka piw. O tej porze nie ma zbyt wielu ludzi. Poza tym po południu Maciej ma iść do pracy. Spotkanie nie może więc trwać zbyt długo.

Po spotkaniu chłopak żegna się z kolegą i wsiada do autobusu. Mówi mu, że wraca do domu. Śledczy nie mogą jednak wykluczyć, że skłamał i zamiast tego pojechał prosto do mieszkania na dziesiątym piętrze, żeby zabić Joannę.

Zdążyłby. Następne osoby, które mogły z całą pewnością potwierdzić, gdzie Maciej był krytycznego dnia, to jego rodzice. Zeznają, że we wtorek wrócili do domu około siedemnastej trzydzieści. Syn spał wtedy u siebie w pokoju, odpoczywając przed wyjściem do pracy. Joanna zginęła niedługo przed piętnastą. Dwie i pół godziny to aż nadto, żeby wrócić do domu po dokonaniu zbrodni i położyć się do łóżka, udając sen.

Kolega, z którym Maciej widział się tamtego dnia, zwraca uwagę na to, że podczas ich spotkania chłopak był elegancko ubrany. Może wybierał się gdzieś jeszcze, bo przecież oni mieli tylko iść we dwóch na piwo. Męski wypad, po co się stroić.

Tymczasem ubrania Macieja aż błyszczały nowością. Błękitne dżinsy, jasnopopielata marynarka, czarna koszulka. I białe tenisówki. Świadcowi wydaje się, że to niezbyt istotny szczegół, ale śledczy zapewniają, że w takich sprawach dosłownie wszystko może

mieć znaczenie.

Tym bardziej, że białe tenisówki nie pojawiają się w sprawie po raz pierwszy.

Białe tenisówki

Śledczy uznają, że trzeba bliżej przyjrzeć się butom Macieja. Dokładane badania są potrzebne, bo przecież listonosz Lech S. wspominał w swoich zeznaniach o białych tenisówkach. Stały w przedpokoju, kiedy przyszedł do mieszkania na dziesiątym piętrze zostawić rentę po zmarłym ojcu Joanny. To wtedy widział w salonie małomównego mężczyznę. Czyżby Macieja?



Biegli dokonują więc analizy zabezpieczonych przez policję białych tenisówek. Wyniki okazują się bardzo interesujące. Ze sprawozdania sądowo-lekarskiego wynika, że są na nich ślady krwi. Cóż w tym dziwnego? Maciej mógł przecież zranić się sam przy jakiejś okazji. Badania wykluczają jednak od razu, żeby krew pochodziła od samego chłopaka.

Przynależność grupowa wskazuje natomiast, że mogła to być krew Joanny. Badania prowadzone w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych nie mogą jednak potwierdzić tego z całą pewnością. Nadal nie ma więc stuprocentowej gwarancji, że to Maciej zabił Joannę.

Sąsiadki, które przedtem pomogły stworzyć portret pamięciowy obcego kręcącego się przy bloku w dzień morderstwa, podczas okazania też nie rozpoznają w Macieju mężczyzny, który je wtedy zaniepokoił.

Przeciwko chłopakowi świadczą więc tylko niepewne ślady krwi i nie do końca potwierdzone alibi. To za mało, żeby kogoś oskarżyć o zabójstwo. W toku śledztwa nie udaje się zebrać żadnych innych dowodów, które jednoznacznie wskazywałyby na Macieja.

Czy to dlatego, że go tam nie było? Czy też może bardzo skutecznie zatarł po sobie wszelkie ślady?

Ogłędziny

Pierwsze śledcze ogłędziny mieszkania w wieżowcu na Bartodziejach odbywają się trzydziestego pierwszego sierpnia 1994 roku. Dzień po zabójstwie.

Policja zabezpiecza wtedy między innymi płyn z syfonów. Zarówno tych w łazience, jak i w kuchni. Pomijając zakrzepłą krew wokół ciała Joanny, wszędzie jest bardzo czysto. Trzeba więc ustalić, czy sprawca próbował jakoś zatuszować swoją obecność i w tym celu

dokładnie sprzątnął mieszkanie.

Oprócz tego do materiału dowodowego zostają włączone między innymi rozmaite dokumenty i kartki papieru pochodzące z domu Joanny. Nie wiadomo przecież, czego morderca dotykał. Może czegoś szukał? Do tego policja zabiera też ubrania i pościel pokrytą brunatnymi śladami. Brunatne ślady. Tak to zostaje wpisane do protokołu. Wszyscy wiedzą jednak, że to po prostu krew.

Zabrane zostają także kubki i filiżanki z zawartością płynów, które stoją w dużym pokoju. Śledczy chcą wykonać specjalistyczne badania śliny. Z przeprowadzonych podczas sekcji zwłok analiz chemicznych wynika bowiem, że w chwili zgonu Joanna znajdowała się w stanie jednoznacznie wskazującym na spożycie alkoholu. Najprawdopodobniej piła go razem ze sprawcą podczas ich spotkania. W toku oględzin pobrane zostają więc również ślady linii papilarnych na serwisie do kawy oraz na butelkach z alkoholem znajdujących się w barku meblościanki.

Badania daktyloskopijne pokazują, że większość odcisków palców, które udało się zebrać, należy do domowników lub osób, które odwiedzały mieszkanie na Żmudzkiej. Do pani Ewy, matki Joanny, do Marcina K., narzeczonego dziewczyny, i do samej Joanny. Jedynym obcym śladem jest ten z kabla telefonu w przedpokoju. Spędza wszystkim sen z powiek.

Oględziny mieszkania zostają przeprowadzone ponownie już kilka dni później. Matka Joanny chce uporządkować rzeczy córki. Ma nadzieję, że to pomoże jej choć trochę poradzić sobie z tragedią. Może usystematyzować jakoś myśli. Poza tym nie można z tym zbyt długo zwlekać. Nic już przecież nie przywróci córki. Nie można żyć w mieszkaniu zalanym krwią.

Przy okazji porządków pani Ewa odkrywa w pokoju Joanny przedmioty, których zupełnie się tam nie spodziewała. Natychmiast zawiadamia policję.

Narzędzie zbrodni

Po lewej stronie od wejścia do małego pokoju znajdują się szafy. Między nimi pani Ewa odkrywa zakrwawione dziecięce śpioszki. Na pewno ich tam wcześniej nie było. Gdyby nie to, że matka zamordowanej dziewczyny jest skrupulatna, być może by ich nawet nie zauważyła. Są częściowo ukryte.

Pani Ewa zwraca również uwagę na spore nożyczki. Leżą na stercie czasopism i magazynów przy biurku. Z jakiegoś powodu ją niepokoją. Wydaje jej się, że córka by ich tam nie położyła. Poza tym pani Ewa ich nie kojarzy. Od razu pojawia się zatem pytanie, czy to właśnie one posłużyły sprawcy do dokonania zbrodni.

Zdaniem biegłego z Zakładu Medycyny Sądowej rany zadano Joannie jakimś narzędziem o ostrym końcu. Skłania się ku temu, że najpewniej mógł być to nóż jednosieczny. Prawdopodobnie o szerokości około dwóch centymetrów i długości ostrza co najmniej czternaście centymetrów.

Nożyczki zostają więc od razu wykluczone. Lekarz tłumaczy, że rany zadane nimi wyglądałyby zupełnie inaczej. Gdyby dźgnięto Joannę zamkniętymi nożyczkami, powstałaby rana kluta o długości około jednego centymetra. Żadna z ran pokrzywdzonej nie miała takich cech.

Gdyby zaś nożyczki były otwarte, to każde z ich ramion stanowiłoby wprawdzie narzędzie o ostrym zakończeniu, które – przynajmniej teoretycznie – mogłoby spowodować ranę ciętą. Jednakże atakującemu bardzo trudno byłoby je trzymać w ten sposób, żeby spowodować takie rany, jakie powstały na ciele zamordowanej. Zdaniem biegłego wymagałoby to wręcz aktywnej współpracy atakującego i poszkodowanej. Niezbyt prawdopodobne,

żeby Joanna chciała pomóc swojemu oprawcy. Nikt nie bierze więc takiej wersji na poważnie.

Czas pokaże, że być może zbyt szybko odrzucono tę zaskakującą możliwość.

Koniec nadziei

Sprawa ciągnie się przez dwa długie lata. Policja przesłuchuje dosłownie setki osób. Każde alibi i każdy ślad są wnikliwie analizowane. W mediach publikowane są obszernie materiały dotyczące dochodzenia. Śledczy mają nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto coś wie, a dotychczas się nie zgłosił. Cały czas bez powodzenia.

W końcu prokuratura uznaje, że wyczerpano wszystkie procesowe możliwości wykrycia sprawcy. Dwudziestego ósmego czerwca 1996 roku postępowanie zostaje formalnie umorzone. Przekreślając, zdawałoby się, szanse na odkrycie prawdy na zawsze.

Archiwum X

Przełom następuje, kiedy wielu o śmierci Joanny już nie pamięta. W 2013 roku sprawę odkurza bydgoskie Archiwum X. To zespół policjantów kryminalnych badających zagadki, które nie znalazły rozwiązania przed laty.

O pracy operacyjnej żaden funkcjonariusz nie może mówić. Pozostaje więc zagadką, jak dokładnie doprowadzono do przełomu w sprawie morderstwa na dziesiątym piętrze. Wiadomo natomiast, że zaangażowano do pracy policyjnego profilerę. Mówi się, że to przygotowany przez niego profil nieznanego sprawcy przyczynił się w dużym stopniu do wytypowania winnego.

Ale nie tylko on. Wiadomo też, że jeden z policjantów, którzy ponownie badali sprawę, zauważył niezgodność w zeznaniach dwóch świadków. W dziewięćdziesiątym czwartym roku zostało to z jakiegoś powodu przeoczone.

A przecież ktoś z przesłuchiwanym wówczas kłamał.

Kłamstwo

Policjanci ponownie rozpatrujący sprawę wertują setki kartek z zapisami zeznań świadków. Analizują raz jeszcze krok po kroku wszystko, co udało się dotychczas zebrać w sprawie. Dokumenty spisane są jeszcze na maszynie, choć wydawałoby się, że dwadzieścia lat temu to nie tak dawno. Zeznania, które składali świadkowie, miejscami są nieczytelne. Charakter pisma poszczególnych osób bywa trudny do odcyfrowania. Czasem zajmuje to naprawdę dużo czasu.

Mimo wszystko jeden z policjantów zwraca uwagę na pewien szczegół. Zeznania dwóch świadków nie zgadzają się. Z akt wynika, że jeden z nich twierdził wyraźnie, iż trzydziestego sierpnia dziewięćdziesiątego czwartego roku w ciągu dnia nie było go w bloku. Miał być w tym czasie w pracy.

Drugi świadek z kolei wspominał podczas któregoś z przesłuchań, że krytycznego dnia widział pierwszego na klatce schodowej. To było około godziny piętnastej, a więc mniej więcej wtedy, kiedy Joanna została zabita.

Który z nich mijał się z prawdą?

Wyjaśnienia

Uwagę śledczych zwróciły zeznania sąsiada z dziewiątego piętra. Piotr M., mąż przyjaciółki Joanny, Doroty, podczas któregoś z

kolejnych przesłuchań w dziewięćdziesiątym czwartym roku wspomniał, że w dzień morderstwa około godziny piętnastej widział na klatce schodowej Sławomira G.

Tymczasem dobry kolega Joanny twierdził przecież, że tego dnia był w pracy. Nie ukrywał, że pracował na czarno. Mówił, że w ciągu dnia wyszedł tylko na chwilę, żeby zajrzeć do Urzędu Pracy. Faktycznie podpisywał tam dokumenty. Wydawało się więc, że jego alibi jest pewne. Jednak tę niespodziewaną niezgodność zdecydowanie trzeba było wyjaśnić.

Dwudziestego piątego kwietnia 2014 roku Sławomir zostaje wezwany do Komendy Wojewódzkiej Policji. Ma być przesłuchiwany w charakterze świadka. Nikt go o nic nie oskarża. Policjanci spokojnie wyjaśniają mu powody wezwania. Wtedy, nieoczekiwanie dla wszystkich, Sławomir przyznaje się do popełnienia morderstwa.

A przynajmniej do pewnego stopnia się przyznaje. Nic w tej sprawie nie jest tak proste, jak by się wydawało. A przebieg wydarzeń sprzed dwudziestu lat może być zupełnie inny niż początkowo sądzono.

Przyjaciel

Po dwóch dekadach od śmierci Joanny Sławomir w końcu decyduje się powiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się tamtego tragicznego dnia. Przez cały ten czas usilnie próbował wymazać to wszystko z pamięci. Wyprzeć dramatyczne wydarzenia z głowy. Zapomnieć. Często przy butelce. Jego rodzina powie później, że zapijał smutek.

Sławomir przyjaźnił się z Joanną od kilku lat. Lubili spędzać razem czas. Nie mieli daleko. Przecież on mieszkał zaledwie kilka pięter niżej. Cóż łatwiejszego niż wspiąć się po schodach albo zejść na dół,

kiedy jedno lub drugie chciało odwiedzić przyjaciela.

Słuchali muzyki, spacerowali, pożyczali sobie książki. Lubili wymieniać o nich opinie. Nie przestali spędzać razem czasu nawet wtedy, kiedy dziewczyna zaczęła spotykać się z Marcinem, a później się z nim zaręczyła.

Sławomir i Joanna spotkali się również na dzień przed jej śmiercią. To był akurat przypadek. Wpadli na siebie na przystanku autobusowym pod blokiem. Wymienili kilka uwag o pogodzie, porozmawiali o jakichś nieistotnych szczegółach. Joanna trochę się spieszyła, więc umówili się, że Sławomir wpadnie po prostu do niej następnego dnia, to pogadają. Dziewczyna zaproponowała, żeby wpadł koło czternastej. Marcina miało wtedy nie być. Znalazł właśnie pracę.

W poniedziałek Sławomir nie zwrócił szczególnej uwagi na te słowa. Dopiero we wtorek wyjaśniło się, że nie były przypadkowe. Chłopak przyszedł do Joanny po wizycie w Urzędzie Pracy. Spóźnił się kilka minut. Usiedli najpierw w salonie. Słuchali muzyki, rozmawiali.

Joanna naląła alkohol. Sławomir myślał, że po to, żeby było przyjemniej. Szybko okazało się jednak, że być może po prostu chciała dodać sobie animuszu, by zrobić to, co planowała. Chwilę później zaczęła mówić o tym, że – mimo oświadczeń – pomiędzy nią i Marcinem coś się psuje. Już nie jest tak, jak dawniej.

Chciała, żeby Sławomir ją pocieszył. Chłopak próbował tłumaczyć, że to być może przejściowy kryzys. Nie czuł się zbyt komfortowo w roli pocieszyciela. Tym bardziej że atmosfera robiła się coraz bardziej napięta. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego.

Nagle dziewczyna odstawiła filiżankę, z której piła wino. Kieliszków nie chciało im się wyciągać. Przysiadła się bliżej Sławomira i próbowała się do niego przytulać. W tamtym momencie chłopak nadal łudził się, że chodzi o zwykłe pocieszenie. Ale wtedy

Joanna zaczęła go całować. Usta miała miękkie i słodkie od wina.

Skłamałby, gdyby twierdził, że nigdy nie myślał o niej jako o kobiecie. Była przecież piękną, smukłą blondynką. Trudno było tego nie zauważyć. Ale przyjaźń pomiędzy nimi zawsze była ważniejsza. Gdyby posunęli się o krok dalej, mogliby wszystko zniszczyć. Zresztą Sławomir nie chciał stawać między Joanną a Marcinem.

Spróbował ją delikatnie odsunąć. Tłumaczył, że nie chce stracić przyjaciółki. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Stawała się coraz bardziej natarczywa. Wręcz napastliwa. To było zupełnie do niej niepodobne. Może zbyt dużo wypija? Nie widział jej wcześniej po alkoholu. A że było gorąco, może tym bardziej uderzył jej do głowy.

Znów próbował ją odsunąć. Wtedy zaczęła wyzywać go od gnoi i świń. Sławomir bezskutecznie próbował ją uspokoić. Słowa, które płynęły z jej ust, były ostre. Raniły. Nigdy nie przypuszczał, że Joanna może być tak agresywna.

W pewnym momencie zerwała się z kanapy w salonie i pobiegła do małego pokoju. Nie wracała, więc Sławomir postanowił pójść za nią i sprawdzić, co się dzieje. Nie była w najlepszym stanie. Kiedy stanął w drzwiach, znów zaczęła krzyczeć.

Chyba zdenerwowało ją, że chłopak nie reaguje, bo podbiegła do niego i zaczęła okładać go pięściami. Chwycił ją za rękę i siłą usadził na tapczanie. Miał wyrzuty sumienia, że traktuje ją tak ostro, ale nie widział już innego wyjścia. Joanna nie przestała go atakować. Trzymał ją za rękę, więc zaczęła kopać i wierzgać nogami.

W pewnym momencie w szamotaninie przewrócił ją na ziemię. Rozkazała mu, żeby ją podniósł. Zrobił to natychmiast. To wszystko zaszło już za daleko. Przez chwilę oboje oddychali ciężko. Sławomirowi wydawało się, że Joanna nareszcie się uspokoiła. Przestała go atakować, więc ją puścił. Chyba było już po wszystkim.

Jak bardzo się mylił! Spokój był tylko pozorny. Chwilę później Joanna zrobiła coś, czego Sławomir zupełnie się nie spodziewał.

Groźba

Kiedy Sławomir myślał, że Joanna nareszcie się uspokoiła, okazało się, że jest jeszcze gorzej niż przedtem. Zaczęła z niego szydzić i drwić. W końcu krzyknęła, że jeżeli on nie ma tyle jaj, żeby ją uderzyć, to ona sama sobie coś zrobi. Potem powie innym, że to on ją tak załatwił. Sławek doigra się, że jej nie chciał.

Chłopak początkowo nie wziął jej gróźb na poważnie. To brzmiało niedorzecznie. Poza tym jego Asia nie była taka. Zachowywała się tamtego dnia jak zupełnie inna osoba, ale przecież były pewne granice.

Niestety szybko okazało się, że nie. Sławomir znów próbował opanować sytuację. Przytulił Joannę po przyjacielsku, ale teraz ona go odtrąciła. Ruszyła w stronę biurka. Chwyciła nożyczki leżące na stercie czasopism. Zagroziła, że zada sobie nimi kilka ran, a potem rzuci winę na niego. Zupełny surrealizm. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Joanna miała chyba wrażenie, że on wciąż nie traktuje jej poważnie. To chyba jeszcze bardziej ją rozsierdziło. Uniosła nożyczki i z wyrazem satysfakcji na twarzy zadała sobie pierwszy cios. W szyć.

Sławomira zamurowało. Przez moment patrzył w zupełnym bezruchu na powiększający się strumień krwi. Dopiero po chwili rzucił się w stronę Joanny, żeby odebrać jej nożyczki, zanim zrobi sobie coś jeszcze.

Szarpali się. Była od niego dużo mniejsza, ale w ataku furii jakby wstąpiły w nią dodatkowe siły. A może to on był zbyt delikatny? W każdym razie nie udało mu się od razu odebrać jej nożyczek. Nie może sobie tego wybaczyć. Zdążyła zadać sobie kolejne rany.

W końcu Joanna upadła na ziemię. Sławomir próbował ją zaasekurować, ale nie zdążył. Padając, nadziała się na te piekielne nożyczki. Krztusiła się krwią. Patrzył na to wszystko w pełnym szoku. Z perspektywy czasu wie, że powinien był postąpić inaczej, ale wtedy jedyne, co potrafił zrobić, to pójść do łazienki i umyć ręce. Cały był we krwi. Chciał się pozbyć tej okropnej, czerwonej lepkości.

Nowe życie

Śledczy zasypują Sławomira pytaniami o szczegóły, ale on niewiele pamięta. Ma wrażenie, że po tym, jak umył ręce i zostawił ciało Joanny w mieszkaniu, po prostu działał bezwiednie. Jak na autopilocie. Nie pamięta, czy wracał potem jeszcze do mieszkania na dziesiątym piętrze, czy je sprzątał, żeby zatrzeć ślady, czy wyjął wtyczkę telefonu z gniazdka.

Nie pamięta właściwie nic, oprócz tego, że włożył Joannie pod głowę poduszkę. Chyba w irracjonalnym wrażeniu, że w ten sposób dziewczyna sobie odpocznie. Jakby to mogło cokolwiek dać w tamtej chwili. Nie wie nic o śpioszkach.

Śledczy pytają o nożyczki. Sławomir nie wie, co z nimi zrobił – czy zabrał je ze sobą, czy zostawił na miejscu. Nikt mu nie tłumaczy, że zostały znalezione w pokoju Joanny już w dziewięćdziesiątym czwartym. Czyste. Wygląda zatem na to, że chłopak musiał je wymyć. Nie wie, nic nie wie.

Pamięta natomiast, że później zszedł na dół do siebie do mieszkania. Tam się przebrał. Zakrwawione rzeczy wyrzucił do śmietnika przy innym bloku, żeby nikt na pewno nie skojarzył ich z morderstwem. Wiedział, że musi działać ostrożnie. To wszystko nie była jego wina, ale przecież nikt mu nie uwierzy. Nie miał w tym względzie żadnych złudzeń. Jeżeli znajdą cokolwiek wskazującego

na niego, oskarżają go o morderstwo.

Po wszystkim wrócił do pracy. Potrzebował przecież jakiegoś alibi. Wieczorem po raz pierwszy poszedł się upić. To wydarzenie tak nim wstrząsnęło, że wyparł je z pamięci na długie dwadzieścia lat. Tak długo starał się o nim zapomnieć, że wreszcie się udało.

Zaczął nowe życie. Ożenił się, miał dziecko. Nadużywał wprawdzie trochę alkoholu, ale był przykładnym ojcem. Dopiero zaproszenie na przesłuchanie do Komendy sprawiło, że zaczął sobie wszystko przypominać i ostatecznie zdecydował się o tym opowiedzieć. Chciał nareszcie wyrzucić to z siebie. Nie zabił Joanny, ale też nie udało mu się zapobiec jej śmierci.

Takiego obrotu sprawy nikt w Komendzie Wojewódzkiej się nie spodziewał. Sławomir pasował do profilu nieznanego sprawcy stworzonego przez biegłego profilera, ale nagłe wyznanie było prawdziwym zaskoczeniem. Czyżby wreszcie udało się odkryć prawdę dotyczącą wydarzeń w mieszkaniu na dziesiątym piętrze?

Rysa na szkle

W aktach udaje się znaleźć opinię jednego ze znajomych Joanny, że po alkoholu robiła się czasem wyzywająca i natarczywa. To właściwie jedyna rysa na idealnym wizerunku dziewczyny, który wyłania się z opowieści pozostałych świadków. Być może to, co mówi Sławomir, jest prawdą?

Niedługo po przesłuchaniu w mieszkaniu na dziesiątym piętrze zostaje przeprowadzony eksperyment procesowy. Sławomir odtwarza w nim wydarzenia, o których próbował przez te lata zapomnieć. Śledczy odnotowują, że jest spokojny. Składnie przedstawia wszystkie fakty. Wizualizacja jest całkowicie zgodna z tym, co powiedział podczas przesłuchania na komendzie. Nie ma się

do czego przyczepić.

Wykonane zostaje również kolejne badanie daktyloskopijne. Trzeba sprawdzić, czy niezidentyfikowany dotychczas ślad linii papilarnych z wtyczki telefonu należy do Sławomira. Od dziewięćdziesiątego czwartego roku technika kryminalistyczna znacznie poszła naprzód. Mimo to niestety nie udaje się do końca odtworzyć zamazanej odbitki. Biegli uznają w końcu, że odcisk nie należy do Sławomira. To jednak o niczym nie przesądza. Chłopak sam wszak powiedział, że nie jest pewny, czy dotykał telefonu.

Następne w kolejności do badania są nożyczki znalezione w pokoju Joanny dwadzieścia lat temu. Sławomir mówi przecież, że to nimi Joanna sama zadała sobie ciosy, planując, że potem zrzuci winę na niego. W dziewięćdziesiątym czwartym roku biegły z Zakładu Medycyny Sądowej ustalił podczas sekcji zwłok, że narzędziem zbrodni był najprawdopodobniej jednosieczny nóż. Czy to możliwe, że jednak się pomylił?

Nożyczki

Minęło dwadzieścia lat, ale okazuje się, że nadal można przeprowadzić badanie identyfikacji genetycznej na zabezpieczonych w mieszkaniu nożyczkach. Analiza wykazuje, że nie ma na nich krwi ofiary. Biegły podtrzymuje też swoją opinię sprzed dwóch dekad, że narzędziem zbrodni był nóż. Jego zdaniem rany na ciele denatki są typowe dla działania takiego narzędzia. Jakkolwiek by próbować naginać fakty, nic się w tym względzie przez dwadzieścia lat nie zmieniło.

Lekarz wyklucza też możliwość, żeby rany mogły powstać w okolicznościach, o których Sławomir mówił podczas przesłuchania i eksperymentu procesowego. Chodzi zwłaszcza o trzy głębokie, penetrujące rany szyi.



Znajdują się one po prawej stronie. Joanna była praworęczna. Oznacza to, że byłoby jej niezwykle trudno zadać sobie samej te ciosy. A przynajmniej nie tak silne. Jeżeli już miałyby porywać się na coś takiego, celowałyby raczej w lewą stronę szyi. Zdaniem biegłego zasadnicza część obrażeń powstała przy użyciu dużej siły, kiedy ofiara się broniła. Nie zrobiła tego sama.

Biegły psycholog również zwraca uwagę na to, że tak znaczne samookaleczenie pozostaje w całkowitej sprzeczności z tym, co mówili o Joannie inni świadkowie. Dziewczyna przeżywała przecież jeden z najszcześniejszych okresów swojego życia. Miała chłopaka, którego kochała. Właśnie się zaręczyła. Była zdrowa i młoda. Nie miała żadnych poważniejszych problemów. Trudno uwierzyć, żeby byłaby zdolna do tak silnej samoagresji, jak twierdził Sławomir. Nawet jeżeli przedtem wypijała zbyt dużo alkoholu.

Najwyraźniej więc Sławomir kłamie. Co w takim razie wydarzyło się naprawdę?

Prawda

Aby dokładnie ustalić, jaki był przebieg wydarzeń trzydziestego sierpnia 1994 roku, Instytut Genetyki Sądowej wykonuje analizę rozmieszczenia plam krwi w pokoju, w którym zginęła Joanna.

Wynika z niej, że walka zaczęła się przy biurku. To na stertę czasopism i magazynów, które leżały obok niego, skapnęły pierwsze krople krwi. Część plam znajdowała się poniżej blatu. Ponieważ na ciele Joanny nie było ran w obrębie nóg, może to oznaczać, że w chwili ataku dziewczyna siedziała na krześle, a nie stała, jak twierdził Sławomir. Gdyby wszystko przebiegało tak, jak on mówił, doszłoby do powstania rozlicznych rozprysków na szafie, blacie biurka, ścianach czy drzwiach do pokoju.

Analiza wykazała, że później źródło krwawienia przemieściło się w

kierunku tapczanu. Wiele ciosów zadano Joannie, kiedy stała. Świadczą o tym liczne obrażenia górnej części ciała. Następne rany powstały, kiedy leżała na tapczanie.

Brunatne zabrudzenia na prześcieradle i pościeli świadczą z kolei o tym, że dopiero później ciało przemieszczono na podłogę. Biegłym trudno stwierdzić, czy zsunęło się samo, czy też zostało ściągnięte przez sprawcę.

Jakkolwiek było, to właśnie na podłodze doszło do najbardziej rozległego krwawienia ze wszystkich powstałych podczas ataku ran. To z kolei oznacza, że serce pracowało i pompowało krew. Czyli Joanna nadal żyła. Gdyby pomoc nadeszła wcześniej, być może udałoby się ją uratować.

Uratować?! Ale sprawca przecież tego nie chciał. Świadczą o tym chociażby miejsca, gdzie zadawał ciosy. Brzuch, szyja, klatka piersiowa. Tam uderza się w jednym celu. Żeby zabić.

Kłamstwo na temat narzędzia zbrodni też wydaje się dość jasne. Łatwiej uwierzyć, że w pokoju znajdowały się nożyczki niż nóż. Joanna chwyciła je w ferworze chwili, a potem wydarzenia wymykają się spod kontroli. Obecność noża zdecydowanie trudniej byłoby wyjaśnić.

To z kolei sugeruje, że Sławomir wszystko dokładnie sobie przemyślał i zaplanował, a więc działał z premedytacją. Przyszedł do Joanny z nożem, ale być może przyniósł również nożyczki, żeby potem w razie czego mieć gotową inną wersję przebiegu wydarzeń.

Dlaczego zatem, będąc tak przygotowanym, w ogóle się przyznał? Przecież tak długo nikt go nie podejrzewał.

W swoje ręce

Trudno powiedzieć, dlaczego Sławomir przyznał się do wszystkiego podczas przesłuchania w 2014 roku. Być może

naprawdę odczuwał wyrzuty sumienia. A może po prostu uznał, że policja znalazła jednak jakieś dowody jego winy, a on wcale nie ma być przesłuchiwany w charakterze świadka, jak mu powiedziano, lecz oskarżonego. Wolał więc zawczasu wziąć sprawy w swoje ręce.

Spójność jego zeznań i późniejsze bezbłędne powtórzenie ich podczas eksperymentu procesowego w mieszkaniu na dziesiątym piętrze świadczą o tym, że nie mógł tej historii wymyślić na poczekaniu. Raczej miał wszystko wcześniej przygotowane. Najwyraźniej próbował przedstawić śledczym taką wersję zdarzenia, która umniejszałaby wagę jego czynu, a wręcz wskazywałaby na nieszczęśliwy wypadek.

W potwierdzeniu tych domysłów pomocne okażą się zeznania Marcina W. Jest współwięźniem Sławomira. W jednej celi mieszkają niecałe trzy miesiące. W tym czasie wielokrotnie w swych rozmowach poruszają sprawę morderstwa sprzed dwudziestu lat.

Sławomir często opowiada o swojej miłości do Joanny. Kochał ją nad życie. Była jego drugą połówką, wymarzoną dziewczyną. Pojawił się jednak pewien problem. Ona go nie kochała. Chciała, żeby zostali przyjaciółmi. Tylko przyjaciółmi? To absolutnie nie satysfakcjonowało Sławomira. Absolutnie. Ostatecznym ciosem było to, że dziewczyna zaręczyła się ze swoim chłopakiem. Tego Sławomir nie mógł już znieść.

Dzień przed jej śmiercią spotkali się zupełnie przypadkowo na przystanku autobusowym. W tej kwestii Sławomir akurat nie skłamał. Już w tamtym momencie poczuł, że coś w nim pękło, że dłużej tak nie da rady.

Początkowo Sławomir zastanawiał się nad zabiciem narzeczonego Joanny, Marcina. W końcu uznał jednak, że nie jest to najlepszy pomysł. To nie gwarantowało przecież, że kiedyś dziewczyna nie znajdzie sobie kogoś innego. Sławomir doszedł więc do wniosku, że jest tylko jedno logiczne wyjście. Joanna będzie albo jego, albo

niczyja.

Syndrom Otella pojawił się już raz w sprawie, kiedy podejrzewano dawnego chłopaka Joanny, Macieja. Motyw patologicznej zazdrości okazał się więc dobrym tropem. Tylko że śledczy przypisali go początkowo nie tej osobie, która faktycznie popełniła morderstwo.

Sam na sam

Podczas rozmowy na przystanku Sławomir próbował namówić Joannę na spotkanie następnego dnia. Zależało mu na tym, żeby zostać z nią sam na sam. Na ulicy nie mógł przecież ani spokojnie omówić z nią sprawy, ani tym bardziej jej zabić, gdyby nie poszła po rozum do głowy. Wiedział, że Marcin znalazł pracę i dziewczyna będzie sama w domu. To byłaby idealna okazja.

Joanna okazała się niezbyt chętna, żeby się umówić. Od jakiegoś czasu miała dość tego, że przyjaciel coraz bardziej na nią naciska i próbuje namówić do zerwania z narzeczonym. Starła się ograniczyć kontakty. Sławomir skłamał więc, że ma problemy sercowe związane z kimś innym i potrzebuje porady. Joanna mu uwierzyła. Nie spodziewała się przecież, że chłopak ma wobec niej złe zamiary.

We wtorek trzydziestego sierpnia 1994 roku Sławomir zjawił się w mieszkaniu na dziesiątym piętrze punktualnie o umówionej porze. W drodze z Urzędu Pracy zadzwonił jeszcze, żeby upewnić się, że Joanna jest w domu.

Miał ze sobą plecak. W środku ukrył bluzę na zmianę. Morderstwo to brudna robota. Nie mógł przecież wyjść na klatkę schodową cały poplamiony krwią. Zabrał też narzędzie zbrodni. Prawdopodobnie nóż, jak mówił biegle, mimo że w zeznaniach Sławomir przez cały czas upiera się, że chodziło o nożyczki.

Joanna niczego nie podejrzewa. Wpuszcza przyjaciela do środka. Proponuje wino, ale Sławomir odmawia, twierdząc, że woli piwo. Ma ze sobą własną butelkę. Nie chce przecież zostawić niepotrzebnych śladów swojej obecności. Potem po prostu ją zabierze.

Rozmowa od samego początku dotyczy jego miłości. Sławomir nie ma zamiaru już dbać o pozory, jak dzień wcześniej na przystanku. Skoro dostał się do mieszkania, nie było to już potrzebne. Może spokojnie przejść do meritum. Joanna nie jest zadowolona, kiedy wreszcie dociera do niej, o co chodzi. Złości się, że Sławomir ją oszukał. Próbuje uciąć temat i wyprosić go z mieszkania. Chłopak się wścieka i zaczyna się kłótnia.

Współwięzień opowiada, że kiedy Sławomir zaczynał mówić o tej kłótni, zupełnie się zmieniał. Robił się zdecydowanie bardziej wulgarny. Nazywał Joannę kurwą. Wspomniał, że „trząśł tą suką i mówił jej, że ją kocha”.

Joannie udaje się wyrwać i uciec do małego pokoju. Chwilowy ratunek okazuje się tylko złudną nadzieją. Sławomir szybko ją tam dogania. Atakuje dziewczynę przy biurku. Joanna próbuje się zasłaniać przed jego ciosami, ale nie ma najmniejszej szansy na ratunek. Teraz Sławomir jest pięćdziesięcioletnim, łysiejącym mężczyzną z brzuszkiem, ale wtedy intensywnie trenował na siłowni i brał sterydy. Te w połączeniu z alkoholem wpędzają go w jeszcze większą furję. Joanna jest od niego zdecydowanie słabsza.

Po chwilowej szarpaninie na stojąco przemieścili się w kierunku tapczanu. Kolejne ciosy padły, kiedy dziewczyna już leżała. Sławomir opowiadał współwięźniowi, jak Joanna charczała na podłodze. Przyznał, że jedyne, co chciał wtedy zrobić, to „zerznąć ją”. Zgwałcić, póki jeszcze żyła. Ostatecznie jednak nie dał rady.

Sławomir zostawia Joannę w pokoju, mimo że dziewczyna jeszcze żyje i błaga o pomoc. Myje się trochę w łazience, zmienia bluzę i

schodzi do swojego mieszkania. Po krótkim namyśle wraca na górę. Nie daje mu spokoju myśl, czy ona na pewno umrze.

Poza tym w jego głowie rodzi się pewien plan. Zabiera pieniądze, dokumenty, magnetofon i trochę innych rzeczy, które leżały na wierzchu. Chce w ten sposób upozorować rabunek i odsunąć od siebie ewentualne podejrzenia.

Sławomir opowiadał też współwięźniowi, jak kłamał podczas zeznań w prokuraturze i na policji, a podczas wizji lokalnej w mieszkaniu na Żmudzkiej specjalnie mylił tropy. Gdyby to wszystko nie przyniosło spodziewanych rezultatów, miał jeszcze plan awaryjny.

Plan B

Gdyby wszystkie starania zawiodły, Sławomir ma jeszcze plan awaryjny. Podczas procesu ma zamiar wycofać się ze złożonych w komendzie wojewódzkiej wyjaśnień. Chce zeznać w sądzie, że to przesłuchujący go policjanci zmusili go do przyznania się do winy. O tym planie mówi także żonie podczas widzeń. Pracownikom operacyjnym udaje się to nagrać.

W sądzie Sławomir faktycznie odwołuje swoje pierwsze zeznania. Twierdzi, że podczas ich składania był pijany. Tłumaczy, że rano przed przesłuchaniem wypił jedno mocne piwo i dwie setki wódki, a dzień wcześniej pił do dwudziestej. W rezultacie nie mógł sobie nic przypomnieć na temat wydarzeń sprzed dwudziestu lat. To policjanci wmówili mu, że mają dowody jego winy. W końcu on sam uwierzył, że jest winny i wymyślił przebieg całego zdarzenia.

Sąd nie daje wiary Sławomirowi. Gdyby policjanci faktycznie zmuszali go do czegokolwiek, przyznałby się do winy w całości. Tymczasem przedstawił szczegółową wersję wydarzeń, którą trudno

byłoby wymyślić na poczekaniu. Potem zaś spokojnie trzymał się jej podczas eksperymentu procesowego i wizji lokalnej w mieszkaniu na dziesiątym piętrze. Tam z pewnością nikt na niego w żaden sposób nie naciskał.

Podczas badania sądowo-psychiatrycznego i sądowo-psychologicznego biegli stwierdzają, że Sławomir nie cierpi na chorobę psychiczną w rozumieniu psychozy. Ma natomiast mieszane zaburzenia osobowości i jest uzależniony od alkoholu. Ponadto jego osobowość ma rysy histrioniczne, czyli wzorzec jego zachowań zdominowany jest przez przesadne wyrażanie emocji, teatralność i próby zwrócenia na siebie uwagi.

Poza tym według biegłych Sławomir jest niedojrzały emocjonalnie. Przede wszystkim nie występuje u niego poczucie winy i odpowiedzialności. Nikt natomiast nie ma wątpliwości, że oskarżony w momencie popełnienia czynu miał pełną zdolność zarówno rozpoznania jego znaczenia, jak i kierowania swoim postępowaniem. To najbardziej interesuje sędziego.

Podczas procesu świadkowie zaczęli przypominać sobie coraz więcej szczegółów dotyczących relacji między Joanną a Sławomirem. Przyjaciółka zamordowanej, Dorota M., widziała na przykład listy miłosne, które Joanna od niego dostawała. Wtedy chłopak nie wydawał się szczególnie natrętny, a wręcz sprawiał wrażenie gotowego do dużych poświęceń dla Joanny. Zdaniem Doroty do żadnych kontaktów seksualnych między nimi nigdy nie doszło. Joanna tolerowała Sławomira, mimo że był trochę samotnikiem, a trochę dziwakiem. Zdecydowanie wyalienowany i niepasujący za bardzo do ich grupy.

Maż Doroty przypomniał sobie natomiast, że latem dziewięćdziesiątego czwartego roku widział Sławomira i Joannę na ławce przed blokiem. Przytulali się. To było zaskakujące, bo przecież dziewczyna była wtedy związana z Marcinem. Dorota przyznała, że

Asia bywała kokieteryjna i mężczyźni mogli czuć, że jest nimi zainteresowana, mimo że w rzeczywistości nie była. Być może tak stało się również w przypadku Sławomira.

Zbrodnia i kara

Odrzucona, obsesyjna miłość sprawiła, że Sławomir zdecydował się zabić kobietę, którą kochał. W listopadzie 2015 roku sąd uznał go winnym zarzucanych mu czynów, to jest popełnienia przestępstwa z artykułu sto czterdziestego ósmego paragraf pierwszy kodeksu karnego – morderstwa.

Na wolność Sławomir wyjdzie prawdopodobnie w 2030 roku. Dziewiętnastego listopada 2015 roku zostaje skazany na piętnaście lat więzienia. Sąd bierze pod uwagę, że oskarżony nigdy nie był karany i poza morderstwem, którego się dopuścił na Joannie, nie wszedł w konflikt z prawem. Nie przychyła się do wniosku prokuratury o większy wymiar kary. Potem sąd apelacyjny utrzyma w mocy wyrok sądu okręgowego.

Wyrok zapada dwadzieścia jeden lat po tym, jak Joanna wykrwawiła się na podłodze mieszkania na dziesiątym piętrze.



Biegły patolog dr Adam Piotrowski wyjaśnia, że już podczas pierwszych oględzin ciała, na miejscu zbrodni, może postawić wstępną diagnozę, jakim narzędziem zostały zadane rany. Kolejne badanie, już na stole sekcyjnym, dokładnie odpowie na pytanie o liczbę ran ciętych, ich głębokość i miejsce zadania. Dla biegłego patologa ocena ran zadanych nożem bądź nożyczkami jest jednoznaczna już na pierwszy rzut oka.



